Hanni

SIELANKI SZLACHECKIE

PRZEZ AUTORA

„KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA"

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Z drukarni Wł. Łozińskiego.

1881.

I.

Po ostatniej zawierusze w kraju, było ze szlachtą niezmiernie krucho. Naraz z chłopów zrobili się panowie, a my ani pieniędzy za grunt, ani roboty, ani żadnej rzeczy, która jego jest, i w dodatku cena żyta dziesięć złotych polskich za korzec, czego już od lat dwudziestu nie bywało. Inwentarza do roboty nie ma, kupić za co nie ma, więc czemże tu i kimże tu zaorać i zasiać na wiosnę? Żebyś dawał dwa złote najemnikowi za dzień, do dworu nie pójdzie, bo wtedy mając morg gruntu, każdy uważał się za gospodarza i brał za dyshonor, żeby iść do pana do roboty. A jeżeli już znalazł się jaki łaskawca, to szedł niby na spacer o godzinie dziesiątej rano, szedł noga za nogą, ziewał, przeciągał się, aż od widoku samego wnętrzności się w człowieku przewracały.

Przychodzi termin raty Towarzystwa kredytowego — ma się rozumieć nie płaci się, bo zkąd? Wzywają, piszą, doręczają, na hypotekę się pakują, ale jakoś na gruncie cicho. Był to grzmot, ale grzmot jeszcze daleki. Z góry się wiedziało, że choć przyjdzie do pierwszej licytacyi, to tam nikt do kupna nie stanie, aby korzystać z cudzego nieszczęścia; pod tym względem trzymało się obywatelstwo za ręce. Idzie drugi termin — no to już Towarzystwo gotowe kupić na siebie, wiec zebrało się jakbądź na zapłacenie jednej raty, prolongowali resztę i w ten sposób klepała się bieda do lepszych czasów.

Ale gorsza rzecz była z podatkami. Naczelnik w powiecie, poczciwa dusza, folguje jak może, grozi to niby, posyła i sekwestratora do tradowania, jednak powiada: Mój panie Adamie, postaraj się, bój się Boga, bo jak mię naprą, to ci poszlę kozaków i spadną ci jak bomba na głowę.

Przypominam sobie, było nas bardzo wielu w podobnych tarapatach, jednak wykręciliśmy się jak piskorze, gdy na dobitkę wszystkiego, pewnego dnia występuje moja żona z projektem jazdy na imieniny ojca do Pawęczyna. Mówi:

— Słuchaj Adasiu, może ja tam co

wydobędę, jakąś pomoc albo radę, dwa lata nie byłam...

— Ha, jedź! — odzywam się na to, choć w duszy wiedziałem, że w Pawęczynie tak samo krucho jak w Sieciechowie, ale że z kobietami trudna sprawa, skoro sobie coś uroją — więc pojechała z dziećmi

Zostałem tedy sam z moją biedą i czarniejszemi myślami od smoły, boć przecie starej, ślepej i głuchej jak pień klucznicy Dygalskiej za coś więcej jak za dodatkową biedę poczytywać nie mogłem.

Żona wzięła lokaja, wzięła kucharza, wzięła niańkę, a nawet Marysię pokojówkę, bo droga okropna — mówi — kto będzie powóz podtrzymywał, kto ugotuje kaszki na popasie dla Władzia, który ciągle jest na dyecie, a wreszcie co do Marysi, to jakże można taką młodę dziewczynę zostawiać we dworze.

— Sam powiedz Adasiu, czy wypada? Do ciebie tu przyjeżdżają rozmaici panowie i z powiatu i z sąsiedztwa, taki naprzykład birbant Komanowski.!.. a ona mi się tam przyda u rodziców, trzeba coś przeprasować....

Wiedziałem ja dobrze, że mojej magnifice chodziło nie tyle o Komanowskiego, jak o kogo innego, ale trudno się było sprzeczać

i targować z żoną wtedy, kiedy się ją traci na całe dwa miesiące z domu, i kiedy ona będzie tam bezemnie o dwadzieścia mil drogi. Przystałem więc na wszystko co chciała, pomyślawszy, że i bez Marysi da Bóg, jakoś tu nie zaginę.

Siew owsa jeszcze nie był skończony, bo, jak powiedziałem, tylko swoją czeladzią trzeba było robić, a że mimo zapewnień ekonoma, jako w szpichrzu mamy jeszcze osiemdziesiąt dwa korcy owsa, nie chciało mi się temu wierzyć, bo gromadka nie była wielką, więc nazajutrz kazałem go przy sobie przemierzyć

Stoję tedy od samego rana w pyle i zaduchu, piszę kreski na ścianie, gdy gumienny półkorcówką owies do drugiego sąsiada przesypuje. Gumienny ten, już niemłody człowiek, niezwykle jest powolny i robi to wszystko tak *langsam*, że mi się już nie wiedzieć co dzieje, patrząc na takie niedołęztwo. Bo nim on to spiłuje strychulcem ten owies, nim ten strychulec położy na młynku, potem zrobi z nosem porządek i wreszcie weźmie ową półkorcówkę za uszy, to zejdzie najmniej kwadrans czasu. Ja moi państwo jestem gorączka, więc przy końcu mierzenia nie mogę wytrzymać, ale

łap za półkorcówkę z owsem, podnoszę i wysypuję gdzie trzeba. Widocznie, że całą tę manipulacyę musiałem zrobić za energicznie, bo nagle coś mi tam chrupnęło w krzyżach, i ani się wyprostować.

Zrazu wydaje mi się, że to przejdzie, stoję schylony, każę dalej mierzyć gumiennemu, ale gdy ani stąpnąć ani się obrócić nie mogę, powiadam: zamykaj spichrz i prowadź mnie do pokoju.

Z wielkim bólem i stękaniem idę, a tu dowiedziawszy się klucznica przybiega z ogromnym lamentem, łamaniem rąk, poprawianiem czepka na głowie i oczami wytrzeszczonemi na pół cala. To mię jeszcze bardziej irytuje, bo czuję wprawdzie że boli, jednak mam całą przytomność i nie umieram. Że zabolało strasznie choć się położyłem na łóżku, dziś jeszcze dobrze pamiętam: ani się obrócić, ani się podnieść, ani kaszlnąć, bo zaraz tam w krzyżach siecze, kłuje, pali, rżnie jakby nożami lub sztyletami. A tu baba mi takie krzyki i lamenta rozwodzi nad głową, że musiałem jej kazać wyjść do drugiego pokoju, gdzie słyszę schodzą się różni ludzie z czeladników i ze wsi, a ona im rozpowiada, jak mi kość w krzyżu pękła aż końce jej na zewnątrz wystają, że trzeba posłać na-

tychmiast po księdza i po panią, bo do wieczora nie doczekam.

— Ho, ho — klekocze Dygalska — już ja takie rzeczy widziała nieraz, jak jednemu kowalowi wbiły się widły w żywot przy nakładaniu siana na furę; widzicie tylko żył do zachodu słońca, póki mu doktor tych wideł nie wyciągnął.

Inne kobiety również przyświadczają, a że moja klucznica jest głuchą i muszą głośno mówić, więc słyszę każdziusieńkie słowo i choć śmieję się z ich gadań, to jednak czasami przychodzi mi na myśl, a nuż to jest źle ze mną na prawdę? Nigdy w życiu czegoś podobnego nie doświadczałem, ani wiedziałem o takiej chorobie, więc wśród irytacyi na babę, strach jak migotliwe światełko słońca, przedzierające się wśród liści drzewa, zaczyna się i w moim umyśle kołysać.

Każę wołać ekonoma — powiadają mi, że jest w polu za lasem, gdzie sieją owies; posyłam po arendarza Berka — także go nie ma; powlókł się z cielęciem do miasteczka — więc zły jestem, ale zły, co się zowie.

— No, jeszcze mi tego było potrzeba — myślę sobie — żeby przy tylu kłopotach moich zachorować. — I jak to zwykle bywa w takich razach, zaczynam wyszuki-

wać sprawców tego nieszczęścia, przechodząc myślą najprzód na żonę, która wyjechała. Ot panie kobieca natura! Nie mogą usiedzieć w domu, i tylko aby się kręcić i szwędać. Niech pioruny siarczyste z nieba lecą, niech mróz trzaskający będzie, niech się świat wali, one muszą podróżować czy to kolejami, czy po roztopach, czy nawet balonem.... Wszystką służbę zabrała, bo powiada, że się boi.... A skoro się boisz, to siedź w domu kamieniom.... Żeby choć Marysię zostawiła, to taka zręczna dziewczyna miałbym jakąś pomoc.... Jeszcze mi dzieci w drodze pozaziębia, i potem kuruj, płać doktorom, po nocach nie spij.... Zostawiła mi oto jak Łazarza jakiego, i to się nazywa kochająca, dobra żona!.... Oj kobiety, kobiety, kto was wymyślił, to ciężki rachunek odda Panu Bogu za to.... Gdzież tu jest uczucie, gdzie tu jaka miłość?... Posyłam natychmiast umyślnego, niech ją dogoni, niech wraca zaraz i niech zobaczy, co się ze mną stało!

Powziąwszy takie postanowienie, zaczynam wołać na Dygalską. Ale krzycz tak, jak chcesz, kiedy głucha i choćbyś z armat strzelał, to nie usłyszy. A jednak jest w sąsiednim pokoju, szwęda się koło fajczarni, przewraca mi cybuchy, dalibóg rozpoznaję klekot

bursztynów moich, jak się rozpryskują po podłodze.

Okoliczność ta zwraca mój gniew i myśli na inny kierunek, i zmieniam postanowienie, żeby nie posyłać po żonę. Przecież u licha ból ten przejdzie, czegoż biedną kobietę straszyć i martwić i pędzić dwadzieścia mil z powrotem. Ja ją znam, niechby się dowiedziała, że jestem chory, nie pytałaby czy dzień czy noc, czy pioruny z nieba biją, a piechotąby pobiegła do domu. Na cóż ją więc alarmować; biedaczka i tak już jest skłopotana i zmęczona przez ten rok niespokojów, niechże tam trochę odetchnie u rodziców, bo to zmizerowana i cień a nie kobieta.

Próbuję znów wołać na Dygalską, myślę sobie, może usłyszy. Ale gdzietam, mógłbym głos stracić i ochrypnąć, a ona by nie przyszła. Ręką wprawdzie mogę poruszać ale się podnieść nie sposób; jużbym przewrócił krzesło, stół, szafkę, żeby narobić łoskotu, lecz na nieszczęście nie ma nic koło łóżka. Więc znowu zaczynam puszczać wodze gorzkim myślom i gniewa mię, dlaczego ten niedołęga gumienny nie zajrzy. Wszak widział, że ruszyć się nie mogę, wszak mię sam tu przyprowadził i jak kłodę drzewa po-

łożył. Z gumiennego przychodzi kolej na owies, któryśmy obaj mierzyli: miało go być osiemdziesiąt dwa korce, a tu pokazało się, że i pięćdziesięciu nie ma. Niezawodnie ukradli, albo wyszafowali koniom, bo ten Ignacy stangret to majster jest, jak go nie pilnować — honor sobie zrobił z tego, żeby mu konie dobrze wyglądały, i drapał, co się dało.... Otóż to taka służba nasza: trzymaj ekonoma, płać, ordynaryę daj, a sam pilnuj wszystkiego.... Co tu gadać — tego owsa i na pół pola za krzyżem nie wystarczy, a czem tu wykarmić konie do nowego? Naturalnie trzeba kupić, ale za co? No pożyczyć i kwita!

Skoro tedy przyszła myśl na pożyczkę to zaraz stanęli mi przed oczyma wszyscy starzy i młodzi, czarni i czerwoni synowie Izraela z całej okolicy i żydówki z perukami z bronzowej materyi zamiast włosów, a na końcu tego szeregu portretów mój własny arendarz Berek. Ot ten, prawda, że uczciwy niezmiernie, ale też niezmiernie głupi. Dziwna rzecz, jak te przymioty schodzą się naraz nietylko u naszych ale i u żydów! Albo i teraz, kiedy go najbardziej potrzebuję, kiedy mógłby mi coś poradzić lub po doktora jechać, to jemu akurat zachciało się wlec z cielęciem do rzeźnika, jakby tu kto w miejscu tej sztuki

nie potrafił.... Już nie raz chciałem wypędzić od siebie tego husytę i ultra-żydowina, ale żona powiada, zostaw go Adasiu, on taki poczciwy. Bo proszę państwa, co ja mam z niego, na co mi jego uczciwość, kiedy mu żadnego interesu nie można powierzyć? Żeby to był taki arendarż jak są inni, to pojechałby, pomyślał, pieniędzy wyszukał, a on powiada:

— Jaśnie panie, jak można takich wielkich procentów płacić, jaśnie pan zgubi i siebie i swoich dzieciów... Ja bym dostał, ale ja nie mam sumienia...

Ten jego teść nieboszczyk Mosiek to był żyd!... Szkoda że umarł, a jeszcze większa szkoda, że mi wpakował przed śmiercią takiego następcę, jakiegoś cyrulika, który się na interesach nie zna. Ot jemu tylko krew puszczać chłopom, bańki stawiać.... A może i mnie byłoby dobrze postawić kilkanaście baniek na krzyżach.... Stawiajże, kiedy jak trzeb›, to i do tego go nie ma!...

W sąsiednim pokoju coś zupełnie ucichło, widocznie Dygalska, poprzewracawszy bursztyny, uznała za właściwe zostawić mi czas spokojny do pojednania się z Bogiem i poszła dalej lamentować do oficyny. Passya mię bierze na to, a choć. ból piekielnie mi

dokucza i zdaje się, że druga połowa ciała jest już nie moja, to jednak, zacisnąwszy zęby, zsuwam się z łóżka na ziemię i prawie na czworakach puszczam się do okna. Mimo bolu, podniósłszy ręce do ramy okna, zaczynam się wspinać. Już mam głowę po nad futryną, spoglądam na dziedziniec, czy tam kto nie przechodzi — jak na złość żywej duszy nie ma; tylko stara kwoka z kurczętami wyprowadziła się z całą paradą na klomb wczoraj dopiero różnemi kwiatami zasiany i poflancowany — i tak grzebie zawzięcie, z taką miłością kurzą zwołuje swoje potomstwo, że mnie, który to wszystko widzę, serce się kraje. Wołam, pukam w okno — gdzietam, nie słyszy ta kwocząca czarownica, a jeżeli i słyszy, to formalnie żartuje sobie ze mnie, bo ledwie spojrzy w moją stronę, głowę filuternie przekręci i rozkoszuje się dalej w moich grzędach. Mało jej tego, że grzebie, a te małe dyabły wyjadają wszelkie nasienie, bo oto panie zaczyna się pluskać w ziemi niby w wodzie i łomotać skrzydłami i zapraszać dzieci, aby toż samo robiły.

No i powiedzcie mi czytelnicy, czy to nie są prawdziwe męki Tantala, patrzeć na to wszystko i nic nie módz! Czy kto z was taki amator kwiatów jak ja, który wczoraj

dopiero własną ręką poflancował lewkonie, balsaminy i astry, ale jakie astry.... przepyszne karłowe, dotąd w całej okolicy nieznane — nie wyskoczyłby z własnej skóry przez okno z kijem, z rewolwerem, z armatą, z czemby mógł i nie pozabijałby tego tałałajstwa, które z najspokojniejszem sumieniem wywleka wasze flance na wierzch i świdruje dziobem, jakby to były pokrzywy jakie lub podłe chwasty z pod płotu!

Już ręce mi mdleją od opierania się na oknie, ale póki się nie ruszam — jakoś nie boli. Niech jednak sprobuję się poprawić, albo wyżej głowę podnieść, zaczyna się na nowo prawdziwe sztyletowanie w krzyżach. Jak na złość przez całe pół godziny takiej męki, żywa dusza nie zjawia się na dziedzińcu, i już myślę znowu rejterować się do łóżka, gdy zdaje mi się, że jakiś szmer dolatuje mnie z za ściany pod oknem. Robię nadludzkie wysilenia, aby spojrzeć na dół przez szybę — rzeczywiście mały chłopczyna, syn kucharki folwarcznej, w białej koszulinie krajką przepasanej, z ogromnym tołumbasem przed sobą, zbiera papierki na ziemi, które ja czasami przez okno wyrzucam. Widocznie hultaj ma zamiłowanie do literatury, bo z całą powagą i skrupulatnością zbiera kawałek po

kawałku i składa jeden na drugim, oglądając każdy z osobna. Chłopak ten pyzaty, opalony, z białemi jak len włosami, jest faworytem mojej żony, która go w przystępie wielkiego sentymentalizmu nazywa cherubinkiem. Niestety ja nawet nie wiem, jak temu cherubinkowi literackiemu na imię.

— Hej ty, ty mały! — wołam, pukając w szybę.

Cherubinek podnosi blade i wypłowiałoniebieskie oczęta do góry, a wypuszczając z ręki zebrane już strzępki papieru, robi tak idyotycznie przestraszoną minę, że ja choć jestem zły i rozdrażniony, muszę się uśmiechnąć.

— Słyszysz, zawołaj mi tu kogo z kuchni... Matka niech przyjdzie, Dygalska... kto bądź.... słyszysz matka....

Chłopak czy nie słyszy przez szybę, czy nie rozumie, co ja chcę od niego, ale stoi jak słup, otwiera usta i nic.

— Zawołaj mi kogo! — krzyknę na całe gardło i uderzam pięścią w ramę okna.

Ale mój krzyk zamiast go przywołać do przytomności, jeszcze bardziej ogłupia. Patrzę, zaczynają mu się usta wykrzywiać w podkowę, nosek się marszczy do płaczu, i jak ryknie, jak się nie odwróci i nie kopnie

ku piekarni, to aż kura zerwała się z siedzenia, kwokając ze strachu.

Zwierzątko małe, myślę sobie z goryczą — sześcioletni chłopiec a po prostu dziki. Szczęściem, że jego przeraźliwy krzyk wywołuje matkę na dziedziniec; zaczynają się dopytywania: a co ci to, a gdzie to? skutkiem których widzę prowadzi ją w moją stronę. Zaczynam tedy pukać, kobieta ogląda się na wszystkie strony, tylko nie ku mnie, wreszcie zobaczyła.

— Elżbieto! — wołam — pójdźno tu do mnie, albo zawołaj kogo....

Zamiast odpowiedzi pokazała mi prawą rękę, oblepioną ciastem, i kiwnąwszy głową na znak, że rozumie, czego ja od niej żądam, zabiera cherubinka i idzie do piekarni. Za chwilkę słyszę tentent przed oknami i zdaje mi się, że ktoś konno zajeżdża. Nie, to biegnie Agata, dziewka folwarczna, coś podobnego do kobiety, niezmiernie tłusta i niezmiernie rozczochrana. Czerwone i od ognia w kuchni spieczone policzki tylko jej się błyszczą, a cała podczas chodu trzęsie się, jakby galareta.

— Hej, hej! — wołam, pukając w okno — a wypędźno tam te kury z grządek!

Dziewka się obejrzała, i widzę twarz

moja w oknie przestraszyła ją mocno, oczywiście podług opowiadań Dygalskiej w kuchni, ja powinienem być już nieboszczykiem. Jednak na mój energiczny rozkaz porywa jakiś pręt leżący na ziemi, i z taką werwą puszcza się na wypędzenie kwoki z kurczętami, że depcąc i uwijając się po pulchnej ziemi, więcej mi robi szkody odciskając swoja delikatne stopki, niż gdybym sześciu rodzinom kurzym zostawił zupełną swobodę grzebania.

Kiedy już skończyła bolesną tę dla klombów i serca mego operacyę, wołam ją do pokoju. Nim otworzyła drzwi, już moje krzyże czuły jej obecność od dygotania podłogi, drzwi i okien. No, myślę sobie, żonę moją o wszystko można posądzić, tylko nie o głodzenie służby dworskiej; podobną tuszą, jaką posiada Agata, dzięki Bogu cieszą się u nas wszyscy, począwszy od Dygalskiej, a skończywszy na cherubinku.

— Teraz moja Agato, przynieś mi fajkę z drugiego pokoju. Tam koło pieca stoi fajczarnia; tytoń jest w puszce u góry....

Poszła — słyszę, majstruje coś koło cybuchów, bo lecą jak grad jeden po drugim na podłogę i jestem przekonany, że co

nie potłukła Dygalska bursztynów, to ona tam dobije reszty.

— Czy taką? — pyta wreszcie, stając we drzwiach i pokazując mi starą, drewnianą węgierkę od polowania, która gdzieś tam była schowana za wszystkiemi innemi fajkami, a ona ją wynalazła.

— Ależ nie tę, tam są czerwone z gliny...

Przynosi tedy czerwoną, ale bez cybucha.

— No, weźże cybuch taki długi, owiń na końcu papierem i wsadź do tej fajki.

Poszła znowu i szeleści papierem, i przewraca dalej cybuchy, mocuje się, narzeka i tak oddycha ciężko, jakby obracała korbę największej wialni.

— Dajże już raz tę fajkę! — wołam zniecierpliwiony. Cóż do południa będziesz tam majstrować?

Pokazuje się znowu we drzwiach z cybuchem i fajką, lecz jeszcze przez drugę obwija koniec papierem i pakuje do fajki, ale nie tam gdzie potrzeba cybuch wsadzić, tylko tam, gdzie tytoń się nakłada.

— Nie tu — mówię — nie tu.... Pokaż, na cóż ty bierzesz tyle papieru i otwór cybucha zatykasz.... Widzisz, tu się wkłada, dosyć kawałeczkiem obwinąć.... A pocóż wybrałaś najgrubszy cybuch. .. ale już niech bę-

dzie.... No postaw tu przy łóżku, a idź przynieś puszkę z tytoniem....

Nie wiem, czy moja Agata była kiedybądź w życiu w większych opałach. Wprawdzie nie używano jej nigdy do usług pokojowych, ależ przecie od czego logika i rozum.... Przyniosła choć z wielkim strachem ową puszkę marmurową z taką uroczystością jakby niosła wielki garnek z mlekiem, noga za nogą.

— Postaw, nałoż tu, palcem przyciśnij... Wszystko to zrobiła, tylko jak przycisnęła swoim drobnym paluszkiem, tak przy zapalaniu ani sposób powietrza przeprowadzić, a że wybrała najgrubszy i najcięższy hebanowy cybuch, więc go ledwie w ręku utrzymać mogę; jednak mniej już mi się nudzi, gdy mogę palić.

Każę jej tu, aby zaglądała często do mnie, a jak wróci ekonom z pola, żeby go zawołała natychmiast. Słyszę niedługo, odzywa się dzwonek na południe, poznaję rękę pani ekonomowej, która podług gotowości obiadowej dla męża, południe to ustanawia, zatem mam nadzieję niedługo zobaczyć oblicze szanownego pana Łykowskiego. Często on wielu rzeczy, a szczególniej moich rozkazów i dyspozycyj nie słyszy — lecz dźwięk

owego dzwonka nigdy jego uszu nie ominie. Bodajby pół minuty trzeba czasu, aby dołożyć skiby zagona, bodajby siewacz połowę zboża wysypał z garści przy siewie, wszystko natychmiast staje jak skamieniałe. Już taki u mnie porządek i systematyczność zaprowadził Łykowski, a za jego przykładem cała służba tak samo postępuje.

Jakoż za parę minut dochodzi mię delikatny skrzyp drzwiami od ganku, potem drugi od pierwszego pokoju, potem trzeszczenie podłogi — wreszcie cichutkie uchylenie drzwi moich. Patrzę, mój Łykowski blady jak trup i ma tak pociesznie desperacko skrzywioną minę, tak hamuje oddech swych piersi, że ja zaczynam się o niego lękać.

— Co ci jest panie Łykowski? — pytam, obracając głowę.

— Mnie jaśnie panie nic — jak pana Boga kocham nic — odpowiada cieniutkim głosem, zatrzymując się przy drzwiach.

— A czegoż tak zbladłeś?

— Jaśnie panie, bo podobno przytrafiło się jaśnie panu nieszczęście w szpichlerzu.... Coś jaśnie wielmożnemu panu pękło.

— Co znowu?...

— To jest chciałem powiedzieć — poprawia się szybko — coś naderwało.

— Zapewne — mówię do niego — musiało tam coś się zrobić w krzyżach, bo ani się ruszyć nie mogę.... Podniosłem półkorcówkę z owsem....

— A potrzeba to było jaśnie panu?... Już ja wykrzyczałem dobrze gumiennego za to, że on pozwolił jaśnie panu.... To widzi jaśnie pan, to taki lud jest teraz z przeproszeniem. A tu jaśnie panie zdrowie jest przedewszystkiem; ja nie przymierzając na to, chociaż do żadnej roboty się nie polenię i dzięki Bogu z praktyczności i kosić i żąć i pług utrzymać w ręku potrafię.... ale się nigdy do tego nie biorę, bo milsze człowiekowi życie jest i miłość Boska...

Nie mogłem zrozumieć, co tu ma miłość Bo-ka z dźwiganiem, ale mój Łykowski, lubi mówić górnym stylem i nie zawsze się liczy z frazesami, których używa.

— Jak uważasz mój Łykowski, co to być może za choroba?

— Jaśnie panie, na ludziach nie byłem praktykujący w takim wypadku, ale nie przymierzając na bydle miałem oczywistość dwa lata temu.... Służyłem wtedy u pana hrabiego w Stoczku i przychowałem sobie proszę jaśnie pana byczka od mojej siwej, bo tam jaśnie panie miałem pozwoleństwo na trzy

sztuki, a jaśnie pan mi obciął na dwie (tu mój Łykowski uważa za rzecz właściwą westchnąć bardzo ciężko). Więc jaśnie panie chował się ów byczek, co daj Boże każdemu, a że jaśnie pan wie, każda rzecz młoda brykająca jest, tak on pasterz góral z Galicyi, których jaśnie hrabia górali sprowadził nie wiedzieć na co dwadzieścia dwie familie — był okrutnie leniwy, i zamiast chodzić z batem, miał nie przymierzając taką pałkę jak zbójca z świętokrzyzkich lasów, którą het ciskał za bydlęciem.... Przychodzi raz mój byczek na wieczór, patrzę jaśnie panie, powłóczy zadem, a na krzyżu ma gulę ot taką, jak moja pięść.... oczywiście, poganin ten w łapciach przetrącił mu krzyż ową pałką....

— No i coż się stało?

— A nic proszę jaśnie pana, i różne leki robiliśmy oboje z żoną, okładali gorącą kaszą ze słoniną i smarowali wódką z mydłem, bo jaśnie panu *durch* jest wiadomy, jako ja znający się jestem około bydła — ale nic nie pomogło. Chodził ci jeszcze niby, gryzł trawę, ale zadem coraz gorzej zawijał i sechł, sechł, aż zmarniał i musiałem dorżnąć. U jaśnie pana musi to być toż samo.... pękła kość w pacierzu....

— A niechże go licho weźmie — po-

myślałem sobie, słysząc, jaką to mam podług niego perspektywę przed sobą... To mnie pocieszа, że niby i ja mam tak samo schnąć niższą połową ciała a potem tak samo zmarnieć....

Szczęściem, że znam dobrze porządek myślenia mojego Łykowskiego, i jakoś niewiele wiary przywiązuję do jego wiadomości lekarskich — ale że mi nudno leżeć tak samemu, więc proszę go, żeby sobie usiadł przy mojem łóżku i żeby plótł dalej.

Mój Łykowski, bo to także podług zdania żony ma być chodząca poczciwość, właściwie powinien się nazywać Pączkowski, tak bowiem jest pulchny, okrąglutki, rumiany i świecący na twarzy jak pączek. Kiedy usiadł na brzeżku krzesła nieco bokiem do mnie, a ja spojrzałem na jego kark tłusty, i na te fałdy skóry na głowie, porosłe rzadką szczeciną zamiast włosami, to zdawało mi się, że mam przynajmniej nosorożca przed sobą, który chcąc głowę przekręcić, musi to zrobić razem z całym korpusem ciała.

Aby podtrzymać jakbądź rozmowę z panem Łykowskim, pytam go, jak radzi, czyby nie posłać po doktora do miasta.

— Eh, jaśnie panie — mówi na to, machając ręką — co tu doktór pomoże. Gdy-

by jeszcze jaka znająca kobieta, albo jaki żyd felczer, to nie mówię, ale doktór proszę jaśnie pana na to jest, żeby co napisać i pieniądze wziąć.... Miałem ci ja dosyć z nimi, gdy mój Waluś chorował, i cóż dziecku pomogli? Wyciągnęli z człowieka, co się dało, bo kurowali póty, póki miałem czem płacić, a jak już zabrakło wszystkiego, że i krowę sprzedałem, to powiedzieli, musi umrzeć, jako ma suchoty. Co oni wiedzą, jaśnie panie! Mnie suszyli głowę ciągle, że chłopiec ma jakieś rany w płucach, ale któż ta widział, co jest w środku — ot, zawracali głowę mojej kobiecie i ciągnęli, a jak pieniędzy zabrakło, chłopak umarł. Oni, jak chcą, to tak potrafią proszę jaśnie pana prowadzić życie człowiekowi, dokąd wiedzą, że jest dla nich co i na aptekę, a jak zabraknie — puszczą na owsisko i tyle tego....

— Mimo to wszystko — mówię — jeżeli mi do jutra nie będzie lepiej — to każ mój Łykowski wyładować bryczkę i parę lepszych koni, aby posłać po doktora.

— Oj, proszę jaśnie pana, z temi końmi to będzie bieda. Z jaśnie panią poszły wszystkie cugowe, a reszta w bronie. Stoi tam prawda Moszkowa i Radziejowski, ale oboje szwankują: ona na zołzy, a on na no-

gę. (Oświadczam tutaj, że Radziejowski nie jest żaden potomek tej starożytnej rodziny, ale poprostu koń, kupiony od jakiegoś drobnego szlachcica tego nazwiska; toż samo rozumie się o Moszkowej, jako klaczy nabytej od pachciarki.).

— Odstawić parę od brony i kwita!... Trudno, jak ja potrzebuję doktora, to przecież trzeba znaleźć.

Pan Łykowski widocznie innego był zdania co do pomocy lekarskiej, domyśliłem się tego z jego zakłopotanej miny, gdyż drapał się zawzięcie po tych fałdach z tyłu głowy i nie śmiał mówić, co myślał.

— Widzę mój Łykowski, że podług ciebie ja już *kaput*, co?

— Te.... miłosierdzie Boże jest wielkie....

— Ależ to przejdzie, ja czuję się kompletnie zdrowym....

— Dałby Bóg najświętszy, jaśnie panie, bo idzie o to, co się tam w jaśnie panu złamało. Jeżeli na to mówiąc coś z mięsiwa, to może się zrośnie, ale jeżeli kość jaka, czego Boże uchowaj, to trudno będzie.... i dlatego jaśnie panie, podług mego głupiego zdania, dobrze byłoby posłać po jaśnie panią.... Dygalska tam plecie o księdzu.... no, ale na to

będzie dość czasu.... po księdza to i Moszkowa dojdzie z Radziejowskim w każdej porze....

— Wyście chyba powaryowali, mój Łykowski ...

— Te, różnie bywa jaśnie panie. Gdybym tego nie widział na moim byczku....

— Głupi jesteś ze swoim byczkiem! — zawołam zirytowany, i przestałem rozmawiać.

Tymczasem ekonom, nie śmiejąc odejść, widzę, obraca czapką w różne strony, wzdycha, ziewa, i co chwila wstaje, na palcach stąpa do drugiego pokoju, aby tam splunąć — jestto nauka mojej żony, niezmiernie dbającej o porządek.

— Co to, mdli Łykowskiego? — pytam, widząc, że on coraz częściej odbywa ten spacer.

— Nie, jaśnie panie, ale tak.... trochę.

— Może jesteś głodny, powiedz otwarcie, a ja cię niepotrzebnie zatrzymuję.

— Tak jaśnie panie — odpowiada z żałośną miną.

— To idźże idź do domu na obiad i każ Dygalskiej, niech i dla mnie co przyniesie.

Nie trzeba było dwa razy tego mówić ekonomowi, bo zerwał się na równe nogi, i nim zdążyłem go zawrócić z przypomnieniem

o te konie po doktora, on już był koło okna, a biegł tak, że ziemia tylko dudniła.

Zostałem znowu sam z mojemi myślami, a choć niedorzeczna gadanina Łykowskiego o porównaniu mnie z byczkiem mogła tylko rozśmieszyć, jednak w którejś tam komórce mózgu zostawiła maleńki zarodek do różnych obaw i wątpliwości. Nie wierzyłem, żeby tak źle mogło być ze mną, jednak dla odwrócenia wszelkiej pod tym względem wątpliwości, zacząłem bolące miejsca krzyża obmacywać ręką, czy tam przypadkiem jaka kość nie wystaje.... Naturalnie, że nie mogłem tego dokładnie uczynić, bo tyle było mojej swobody, o ile leżałem spokojnie; najmniejszy ruch wywoływał znowu kłócie, bole i krajania.

Konsekwencya myśli w człowieku mimo wszelkich absurdów założenia — bywa zwykle nieubłagana; więc jakkolwiek odrzucałem wszelkie groźne następstwa, to jednakże zajęła mój umysł ta okoliczność, w jaki sposób ja mógłbym chodzić, gdyby rzeczywiście grzbiet był nadwerężony. Ów byczek Łykowskiego chodził wprawdzie, ale on miał cztery nogi, czyby i człowiek musiał chodzić tak samo na czworakach.... Prawda, przypominam sobie, jak się wlokłem do okna w

ten sposób, było mi lżej.... Piękna historya... to ci los....

I na tę myśl zasmuciłem się wielce, a choć perswadowałem sobie ile możności, że to jest niepodobna, że ani słyszałem, ani widziałem dotąd takiej choroby, jednak czułem dreszcz przestrachu po skórze.

Otoż w takiem usposobieniu ducha zastała mię Dygalska, wchodząc do pokoju. A że razem z wejściem tej pani zaczyna się rozwinięcie nademną czynnej opieki bliźniego znanej pod nazwą kuracyi, więc niech czytelnicy moi raczą trochę odetchnąć, nim się dowiedzą, w jaki to sposób odbywała się ta operacya.

II.

Patrzę moja Dygalska ma tak uroczystą minę, kiedy wchodzi, jakby to nie była zwyczajna sobota, ale przynajmniej dzień wielkanocny lub moje imieniny. I czepek nowy, i siwe włosy przyczesane jak się należy, i świeży kołnierzyk na szyi, a nawet świętalny szlafrok w pomarańczowo-zielone pasy ten sam, na który materyał kupiłem podług mego gustu w Warszawie za Żelazną Bramą. Zdziwiło mię również, że idzie bez żadnego talerza z jedzeniem, ale z różańcem zawieszonym przez rękę. Myślę sobie, pewnie Agata przyniesie mi objad, a Dygalska chce tylko asystować — i klucznice czasami mają swój honor w takich rzeczach.

— Cóż to pani Dygalska tak się wystroiła do mnie? — pytam, wskazując jej krzesło stojące przy łóżko. Niechże pani usiądzie.

Ta niezwykła uprzejmość moja, najczęściej bowiem tytułowałem ją po prostu Dygalską, widocznie rozrzewnia staruszkę, jednakże siada z powagą i z dłoni ręki formuje muszlę przy lewem uchu, aby mię lepiej słyszeć.

— Jakże się pan czuje — hę lepiej? — pyta, spoglądając na mnie żałosnem okiem.

— Licha tam lepiej! — krzyczę machając ręką.

— Mógłby sobie też pan dać pokój z temi lichami. To grzech jest wzywać złego ducha w takim czasie.

— W jakim że to czasie?

— Bóg wie, jak to tam będzie! Proszę pana, życie ludzkie jest jako to piórko na śmieciach; przyjdzie wiatr — dmuchnie i poleci.... A zawsze lepiej być gotowym, bo pan Jezus powiedział: Czuwajcie, albowiem nie wiecie dnia ani godziny.

— Hę, hę — myślę sobie — tu coś się kroi na jakieś kazanie, a przypomniawszy, że ekonom coś wspominał o księdzu i spowiedzi, domyśliłem się, dlaczego Dygalska przybrała tak uroczysty strój i minę.... Ona mię przyszła w delikatny sposób namawiać, abym posłał po owego księdza. Poczekajże, skoroś ty taka mądra, ja się tu z tobą podroczę.

— Wie panie — krzyknę jej do ucha — że ja się mam bardzo źle.

Ona tylko skinęłą głową i uśmiechnęła się z tryumfem, że niby to wszystko już przewidziała.

— Zdaje się, że kipnę....

— Bóg najwyższy w łasce swej jest niewyczerpany.... — odpowiada na to.

— Jak pani Dygalska myśli, długo ja pociągnę?

— Hm! — odrzecze po chwili medytacyi — jutro przyjdzie opuchlina.

— No, a potem?

— Potem wda się gangrena....

— Potem....

— Dojdzie do serca, i....

— I kipnę, prawda?

Nic mi nie odpowiada na to, tylko czemprędzej zaczyna szukać chustki do nosa w kieszeni.

— Tak było proszę pana z owym kowalem, który się przebił widłami.

— Ależ ja się nie przebiłem....

— To wszystko jedno, gumienny powiada, że słyszał, jako panu coś w plecach trzasnęło....

— Doprawdy? a ja nie słyszałem....

— To tak zawsze bywa. I ten, co go

piorun zabije, nie słyszy trzasku, kiedy inni słyszą....

— Masz racyę, moja Dygalska, więc powiedz mi, co ja mam robić? Czy posłać po żonę?

— Albo to jeszcze nie posłali?

— Nie.

— Matko miłosierdzia wielkiego! Toć mówiłam temu grubasowi Łykowskiemu: poszlij wasze, zaraz mi poszlij.... Oj nie wiem, czy nie będzie za późno — molestuje, składając ręce i klaskając niemi. — To dopiero baryła!

— No, no, każę posłać, a tymczasem niech mi Dygalska da co jeść.

— Co, co? — pyta, nachylając głowę ku mnie.

— Jeść! — krzyknę z całej mocy.

Zerwała się stara z krzesła, otworzyła szeroko oczy i powtórzyła zdziwionym tonem:

— Jeść? przed pojednaniem się z Panem Bogiem?... Wszakże pan wie, że trzeba być na czczo przynajmniej do południa tego dnia.... Ja myślę, że pan każe posłać po księdza proboszcza, a jeszcze lepiej po księdza Inocentego z klasztoru. Jak on słucha ślicznie spowiedzi, powiadam panu, to tak

— Panie Adasiu! — zawoła nagle z patetyczną miną, klękając na oba kolana przy łóżku i chwytając mię za rękę. — Niech pan posłucha starej sługi swojej i duszy nie gubi! Może Pan Bóg da mu jeszcze zdrowie, bo Pan Bóg więcej może od wszystkich doktorów na świecie. Niech pan każe posłać po księdza gwardyana....

Powiadam jej, że dobrze, że każę posłać, lecz rozżalona kobiecina już tego wszystkiego nie słyszy, a klęczy i po rękach mię całuje i szlocha bez ustanku, powtarzając swe prośby i zaklęcia na żonę, dzieci, sąd ostateczny, zbawienie wieczne i tym podobne rzeczy.

Co ja tu nieszczęśliwy zrobię z tą kobietą! Ruszyć się nie mogę, krzyczyć nie mogę — ona nie słucha, a tu głód mi dokucza, krzyże bolą, bo się ruszać muszę z irytacyi, z czego opada mię szalone prawie rozdrażnienie, a ona coraz energiczniej molestuje.

Widząc, że tym sposobem nie pozbędę się starej, udaję spokój i proszę z całą powagą, aby zawołała ekonoma do mnie, któremu dam dyspozycyę wysłania koni do klasztoru.

— I prawdę pan mówi?

— Najświętszą prawdę....

— Dzięki Najwyższemu Stwórcy! — zawoła z uniesieniem, podnosząc oczy na sufit.

Jak na to i Łykowski, spożywszy szczęśliwie obiad, sam zdecydował się zobaczyć, czy jeszcze nie umarłem. M ja Dygalska spotkała się z nim w pierwszym pokoju, a że jest głuchą i głosu swego miarkować nie może, zatem mówiąc niby szeptem do niego, mówi tak głośno, że ja doskonale słyszę:

— A co, nie puchnie? — odzywa się ekonom.

— Kto go wie, musi puchnąć, bo taki zły.... A widzi pan Łykowski, że go skruszyłam.... Nie chciał o spowiedzi ani słyszeć, wymyślał, rzucał się (kłamała babina, bo gdzież ja się rzucałem, albo zżymałem, niech czytelnicy sami zaświadczą), ale jakem zaczęła płakać nad nim i prosić na klęczkach, tak usłuchał.... No, na czyjem stanęło, co? Pani Łykowska powiedziała: nic pani nie wskórasz.... Już jak kto z nim nie poradzi, ja zawsze poradzę.... Chodź pan, a usłyszysz, że każe posłać po księdza....

— Takiś to ty filut baba! — pomyślałem. Pokazuje się, że płacz udawała, aby na swojem postawić.

Znowu suną oboje do mnie. Ja już je-

stem taki zirytowany, że gdybym mógł, wyrzuciłbym klucznicę za dziesiątą górę — ale trudna rada, trzeba cierpieć, bo inaczej gotowa mię zagłodzić.

— Mój Łykowski, proszę cię, każ mi dać jeść — mówię krótko. — Jeżeli nic w kuchni nie ma, to niech mi żona twoja co ugotuje.

Spojrzeli oboje na siebie dyplomatycznie; ekonom nie chciał zadzierać się z klucznicą, ona znowu nie miała ochoty rzeczy doprowadzać do ostateczności, a jak się dowiedziałem później, obawiała się, żebym nie umarł z żalem do niej — przeto zdecydowała się dać mi talerzyk kleiku; lecz gdy ekonom wystąpił z interwencyą, dostałem przecie gotowaną kurę.

Zaspokoiwszy głód, chcę trochę się przedrzymać. Gdzie tam — nie daje mi Dygalska z obawy, żebym podczas snu nie umarł w stanie grzechu, a że właśnie pokazał się Berek na dziedzińcu, więc pobiegła naprzeciw niego dla narady. Niestety, nie mogłem nic słyszeć ich rozmowy, dolatywał mię tylko głos, ale wyrazów niepodobna było rozróżnić.

Blady jak ściana, z zastraszonemi oczyma, dygotając całem ciałem, wszedł żydzi-

sko do mego pokoju, a musiał być wielce przerażony, jeżeli zdejmując czapkę z głowy, zdjął ją razem z mycką i pejsami. Mimo ciągłego bolu i irytacyi z tymi głupcami, którzy mię otaczali, nie mogłem wytrzymać, aby nie parsknąć śmiechem, zobaczywszy przed sobą zupełnie innego Berka, niż go dotąd znałem.

Muszę tu objaśnić, że arendarz mój jest najzakamenialszym husytą żydowskim, trzymającym się skrupulatnie wszystkich tradycyj zakonu. W owym czasie nie wolno było żydom nosić pejsów, i zdarzało się bardzo często, że burmistrze w miasteczkach kazali im obcinać takowe z urzędu. Podobny wypadek zdarzył się i Berkowi, że mu gdzieś na jarmarku zrobiono taką operacyę. Naturalnie że uległ przemocy, ale żeby pogodzić interes zakonu z poleceniem władzy, kazał sobie owe ucięte loki przyszyć pokryjomu do mycki, i jak było potrzeba, zdejmował ją wobec żandarma; na wsi zaś nikt nie mógł poznać fortelu.

Śmiech mój trochę oprzytomnił żyda, a choć nie wiedział, z czego ja się śmieję, to jednak zmiarkował, że nie musi być tak ze mną, jak mu Dygalska tę rzecz przedstawiła. Razem z tą myślą wróciła mu żyłka.

dokt rska; przypominam bowiem, że Berek z powołania jest cyrulikiem w miasteczku, i że dopiero po śmierci teścia przerobił się na arendarza wiejskiego. Zbliża się tedy do łóżka i zaczyna mię z całą powagą egzaminować, przytem się jąka coraz to zapalczywiej, i kiwa nademną jakby nad książką talmudyczną.

— Ja muszę zobaczyć jaśnie panie.... To może jest nic, a może jest coś. Niech się jaśnie pan wiwróci....

— Zwaryowałeś — mówię — żebym ja się mógł ruszyć, to byłbym zdrów.

— Niech mi pan Łykowski pomoże, a jaśnie pan niech się nie boi; my to tak delikatnie zrobimy, co jaśnie pan nie uczuje.... Niech jaśnie pan na mnie się spuści... tylko trzeba jaśnie pana rozebrać.

— Wyjdźno Dygalska — odzywam się do stojącej nademną jak kat nad grzeszną duszą klucznicy.

— Nie proszę pana, ja się ztąd nie ruszę. Ja panicza rozbierałam, kiedy był ot takim berbeciem, to i teraz mogę.... Coby mi pani powiedziała, kiedy wróci.... Zostawiłam cię przy panu żebyś go doglądała, a tyś go opuściła, kiedy był chory... Niech mię pan

wypędza jak chce, niech mi wymyśla, a ja się swojego obowiązku nie wyrzeknę.

To ci los, myślę sobie, westchnąwszy. Niechno tylko wyzdrowieję, to wypędzę na cztery wiatry babę za to wszystko. Rozpinają mię, zdejmują katankę z rękawów, ja krzyczę w niebogłosy z bolu, a do tego jeszcze otyły Łykowski, podtrzymując mię z całej siły, tak mi dmucha na twarz, że aż się niedobrze robi.

Jak sobie dziś tę scenę przypominam i widzę tych troje przyjacieli oprawców, mordujących mię z wielkiem uszanowaniem, to dziwię się, że nie wezwali jeszcze jakiego notaryusza do spisania protokołu, a byłby komplet wykonywanej egzekucyi nad jakim dostojnym więźniem stanu.

Nareszcie po półgodzinnych takich torturach, kiedy część szat moich już zwleczono, zaczęło się gorliwe oglądanie i macanie kości. Hultaj Berek, który słyszał, że gdzieś dzwonią, ale nie wiedział w którym kościele, pozwolił sobie jeszcze pukać po moich plecach i ucho przykładać wtenczas, kiedym ja myślał, że z bolu już zemdleję. Nie dość tego: Dygalska które nie chciała uwierzyć Berkowi, jako ja mam całą kość w krzyżu, doznała za-

wodu, i widziałem bardzo ją ta okoliczność zmartwiła.

— Dziękować Bogu — odzywa się z dobrą miną arendarz, nakrywając mnie kołdrą — że u jaśniego pana jest tylko polędwica naderwana, i co jej krew uderzyła....

— Co ty mówisz, albo to ja wół!....

— Z przeproszeniem, człowiek takie same ma tu koło krzyż.... U niej na dole kawałek się urwał — ona musi się zrosnąć, tylko krew, która jej płynie, trzeba odprowadzić, coby jej nie było mokro. Jak chłopu tak się zrobi, to jemu najlepiej bańki, ale panu potrzeba pijawki....

Uważałem, że kiedy mowa była o polędwicy, to mojemu Łykowskiemu tylko się oczy zaświeciły i pomimo woli mlaskał ustami, a Dygalska za to wciąż ruszała głową z niedowierzaniem.

— A ja wam mówię Berku — że tu jakaś kość pękła....

— Nie — rzecze ze stałością arendarz.

— Może nie z wierzchu, ale tam w środku to niezawodnie pękła.

Napróżno uczony Berek objaśniał jej, że wewnątrz człowieka kości wcale nie ma, ona utrzymywała swoje do końca. Szczególniejsza kobieta, kochając mnie to niby, chciała gwał-

tem, żeby to była choroba niewyleczalna i żebym ja koniecznie umarł.

Próbował i ekonom wystąpić z historyą swojego byczka i z wysnowanemi z niej konsekwencyami, ale Berek, jako znawca takich rzeczy, zgromił go od razu i Łykowski umilkł.

Po doktora kazałem już wysłać jutro do dnia, a ponieważ, logicznie rzeczy biorąc, nie mogły mi zaszkodzić pijawki, więc zdecydowałem się, niech je stawia. Jakoż pan Berek uszczęśliwiony mojem zaufaniem i oświadczywszy, że ma u siebie takie pijawki, jakich na całą „okoliczność“ dziesięciu mil nikt nie posiada, pobiegł do domu i wkrótce powrócił z całym słojem tych stworzeń gryzących. Pomimo gorących próśb moich i namawiań Dygalska ani na krok nie chciała wyjść z pokoju i ciągle sprzeczała się z Berkiem, że on choć jest felczer, nie umie się z pijawkami obchodzić, że je puszcza z kieliszka, kiedy ona zawsze bierze przez serwetę, itp., a w zapale tych dowodzeń, parę razy próbowała wyrwać je z rąk Berka.

Życzliwy arendarz nie kłamał, zachwalając przymioty pijawek — wszystkie czternaście były prawdziwemi olbrzymami w swoim gatunku. Leżałem bez ruchu, one czyniły swoją powinność z prawdziwem zamiło-

waniem, i gdy po godzinie serdecznych starań moich przyjaciół, ostatnia czternasta zdecydowała się ugryźć mię najdotkliwiej, oświadczył Berek, że ponieważ zachodzi szabas, on musi iść odprawiać nabożeństwo wieczorne, i że niedługo powróci, aby zrobić jakiś porządek koło mojej osoby.

Dopóki żyd siedział i Dygalska nie chciała się ruszyć odemnie, utrzymując, że to jest najświętszy jej obowiązek nie opuszczać chorego pana, ale skoro Berek się oddalił, i nie miała z kim gadać, wypadł jej bardzo pilny interes do kuchni, głównie zaś że musi wydać kwaśne mleko na kolacyę dla parobków. Perswaduję, że Agata zrobi toż samo, żeby została, póki arendarz nie wróci....

— Ale proszę pana — mówi na to — gdzież jabym dała klucze od spiżarni Agacie?... Ja tu za momencik wrócę do pana.

I poszła, zostawiwszy mię samiuteńkiego z czternastu pijawkami pijącemi krew moją jak smoki; zostawiła wtedy, gdy ja się ruszyć nie mogę, gdy wszystko mię drażni i niecierpliwi, zostawiła, nie zapaliwszy świecy, choć na dworze mrok już zapadał.

Leżę tedy, cierpię i myślę o dobrodziejstwach stanu małżeńskiego, które dopiero wtedy cenić umiemy, gdy ot takie nieszczęście

którego z nas nawiedzi. Gdyby tu była poczciwa i kochająca mię Idalka, nie byłbym zdany na łaskę i niełaskę tych zbirów płatnych i dobrze karmionych, którzy zostawili mię jak Łazarza jakiego. Jestem pewny, że żona siedziałaby przy mnie, pocieszała i pielęgnowała, podałaby mi naprzykład fajkę w tej chwili, którąbym ze smakiem wypalił, a tak co? Powoli z czułości takiej, zacząłem wchodzić na nieco żółciowe uwagi i czułem żal, dlaczego mojej Idalki tu nie ma? Dobra żona nie opuszcza nigdy na tak długo swojego męża, a choć rozsądek mówił, że przecież nie mogła spodziewać się tak nagłej choroby, to jednak powinna mieć przeczucie, powinna się obawiać nieszczęścia, a ona jechała w tak wesołem usposobieniu. Idąc dalej po tej drodze wyrzutów, przypomniałem sobie, jak raz, dwa, czy też trzy lata temu, kiedym dostał silnego bolu głowy z przeziębienia na polowaniu, wprawdzie przyłożyła mi własną ręką na czoło chustkę zmaczaną w occie i biedowała nademną z czułością, ale zaraz potem siadła do fortepianu i zaczęła grać wesołe walce Strausa.... Tak przypominam sobie, grała wtedy, kiedy głowa pękała mi z bolu.... Oj, tych walców nigdy nie zapomnę — to było jeżeli nie brak serca, przy-

najmniej w wysokim stopniu brak delikatności.

Otóż w ten gorzki sposób wynicowałem wszystkie przymioty i wady mojej małżonki, a doszedłszy do przekonania, że głupie jest życie ludzkie i że nikomu i w niczem wierzyć nie można, o krok może byłem oddalony od samobójstwa.

Z minutki Dygalskiej zrobiły się setki i tysiące minut, a ona nie przychodziła. Żeby choć Marysię była zostawiła; dziewczyna to zręczna i przywiązana do mnie.... Ale nie — wzięła ją czysto z zazdrości kobiecej. A jak upozorowała zręcznie Komanowskim.... Sama to lubi się podobać innym.... Nie zwiedzie mnie, utrzymując, że stroi się dla mnie.... Ho, ho, moja pani, znamy się na tem. Nie odjeżdżałabyś ty bez męża i nie zabierała dzieci na dwa miesiące....

Dam już pokój temu wszystkiemu, com myślał, sądzę, że czytelnicy mają dość wyobrażenia o myślach chorego człowieka, jak wtedy wszystko i wszyscy są winni jego chorobie. Bywa tak zawsze — dość, że upłynęła może godzina, gdy zlitowała się Dygalska i przyszła.

— A to u pana ciemno? — zapytuje, wchodząc z hałasem do pokoju.

Zaciąłem tylko zęby, aby nie odpowiadać na tak naiwne pytanie, bo naprawdę, któż miał tę świecę zapalić, jeżeli wiedziała, że ja ruszyć się nie mogę.

— Czy pan spi? — pyta, nachyliwszy się n demną.

Ja nic.

— Czy pan spi? — powtarza, ale już przestraszonym głosem, poruszając mię silnie za ramię.

— Idźże sobie pani do kaduka odemnie! — krzyknę ze złością. — Czegoż mię budzisz!

— Takem się zlękła o pana, że niech pan zobaczy, jak mi serce wyskakuje....

— A żeby raz na prawdę wyskoczyło, toby lżej było światu, i ja miałbym lepszy dozór — mówię do niej oburzony.

Sumituje się babina i to i owo, dlaczego przyjść nie mogła, a ja na to:

— Zapalże pani świecę!

— A gdzież ta świeca?

— To ja mam wi-dzieć, gdzie świeca? ja, człowiek chory!

— Myślałam... tu takie ciemno.... — mówi skonfundowana trochę i zaczyna macać rękami po stole, po oknie, przewraca

wszystko i narzeka, gdzie ta świeca mogła się podzieć.

Ja już nic nie mówię, tylko wzdycham z desperacyi, bo co tu z niedołęgą robić. Nakoniec zapaliła przecie, a zobaczywszy krew, krzyczy:

— Oj, oj! niedobrze mi się robi.... ratujcie! — i pada na krzesło, stojące przy łóżku i tłucze swoją osobą karafkę z wodą.

Proszę tedy wystawić sobie moje położenie! Ruszyć się nie mogę i nie dosyć że sam jestem w pozycyi potrzebującej ratunku, to jeszcze licho przyniosło mi na kark kobietę, która jęczy i mdleje tuż koło mnie. Tak byłem zły w tej chwili, że myślę sobie: niech ginie i ja niech razem z nią ginę....

Upłynęło tak w ciszy kilka minut, czuję, że pijawki odpadają mi z ciała a od upływu krwi robi się mokro koło mnie. Próbuję więc, wykręciwszy rękę poza siebie, uchwycić Dygalską. Udaje mi się to jakoś; zaczynam ją szarpać, a że omdlenie przeszło szczęśliwie, więc zerwała się z krzesła.

— Co pan chce?

— Moja Dygalska, trzebaby mi pomódz; czuję, że krew płynie....

— Ach, jakie przykre miałam widze-

nie: zdawało mi się, że gdzieś tonę, tonę coraz głębiej we krwi....

— Ale tu nie chodzi o widzenie! — wołam niecierpliwie.

Wzięła tedy świecę ze stołu, gdy wtem ktoś wchodzi do pokoju.

— No dzięki Bogu, może Berek, będę uratowany, i od tej niedołęgi się uwolnię.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odzywa się głos za mną.

— A kto to?

— Ja, sołtys jaśnie panie, przyniosłem tu bardzo pilne pisanie od wójta.

— Mój drogi sołtysie, widzisz jestem chory, ale zaraz przeczytam, a tymczasem bądź tak dobry i pójdź do Berka, żeby tu natychmiast pszyszedł do mnie.

Gdy sołtys poszedł, Dygalskiej po wielu wysileniach udało się jakoś usunąć pijawki, tymczasem niespokojny, co to może być za pismo od wójta, że aż w nocy każe mi go doręczać, biorę się do jego czytania.

Każdy szlachcic z natury już ma niczem niewytłómaczeny wstręt do wszelkich pism urzędowych; ja doświadczałem zawsze tego samego, widząc urzędową pieczęć i formę ekspedycyi, bo jeszcze nigdy nic przyjemnego z takiej ekspedycyi nie wyczytałem. Te-

raz więc, gdy klucznica podała mi list do ręki w kopercie zwyczajnego formatu, ochłonąłem trochę. Niestety, ochłoda ta była tylko chwilową; pismo jest prywatne, to prawda, ale od naczelnika powiatu który w przyjacielski sposób ostrzega mię, że jeżeli w ciągu tygodnia nie wniosę zaległej należności podatkowej do kasy, w kwocie czterystu rubli z czemś, zobaczę dwudziestu konnych żołnierzy na egzekucyi, którzy nie wyjadą naprzód ze dworu, dopóki cała kwota co do grosza uiszczoną nie będzie.

„Robiłem co mogłem kochany panie Adamie — piszę naczelnik — aby wam dać folgę, lecz dziś dostałem rozkaz i sotnię kozaków, żeby bez żadnego względu wszystkie podatki wyegzekwować. Sześdziesiąt tysięcy mam zaległości w powiecie, wysyłam oddziały po dwudziestu, więc nim kolej przyjdzie na ciebie, masz ośm dni czasu, i staraj się, aby uniknąć tej ostateczności i kosztów egzekucyi“.

Możecie sobie wyobrazić czytelnicy, jaki to był pasztet dla człowieka w takiem jak ja położeniu. Będąc zdrowym, i tak musiałbym się dobrze nakłopotać, najeździć i naprosić, nimbym sumę podobną gdzie pożyczył, a cóż dopiero teraz, jeżeli choroba

przykuła mię do łóżka i to choroba, przy której ledwo ręką poruszyć mogę. Mówię wam czarna rozpacz mię opanowała, przy której już nie czułem ani bolu, ani pijawek. Przyszedł i Berko, nie miałem odwagi gniewać się nawet o to, że mię tak samego zostawił; operował, hubką rany zatykał, ja leżałem jak martwy. Widząc to Dygalska była w rozpaczy, że mogę umrzeć bez spowiedzi; probowała parę razy jeszcze zaczepić mię, żebym natychmiast kazał posłać po księdza, a gdym jej nic nie odpowiadał, dla uratowania jakbądź sytuacyi, pobiegła do swego mieszkania w oficynie, i wróciła niedługo z grubą książką od nabożeństwa i ukrytą pod chustką gromnicą.

Berek, opatrzywszy mnie, przewrócił na drugą stronę twarzą na pokój, widziałem więc wystający z pod chustki żółty koniec owej złowrogiej świecy i przerażoną minę staruchy, ktora jak sobie ułożyła, że ja powinienem koniecznie umrzeć, tak ani na chwilę nie wątpiła, że przewidzenia jej muszą się sprawdzić. Usiadła z daleka na krześle i oświadczyła, że całą noc będzie przy mnie czuwać.

Uprosiłem arendarza, żeby także pozostał, bo czułem, że czy to skutkiem zmartwienia, czy znacznego krwi upływu, robi

mi się słabo — zresztą chciałem z nim pomówić o tych podatkach.

— Słuchajno Berku — ja czuję, że ból nic a nic nie ustępuje....

— No, tak zaraz być nie może, ale jutro to będzie lepiej....

— Mniejsza o to, czy będzie lepiej, skoro ja tu jeszcze ważniejszą mam sprawę. Potrzeba mi koniecznie za dni kilka pięciu set rubli.....

— Ja wiem, na podatki. Do powiatu wczoraj przyszła taka moc żołnierzy, co oni pójdą do obywatelów na gzekucye...

— A zkądże ty wiesz o tem?

— Ny, nasi kupcy to wszystko wiedzą; już tak jest u żydów, co oni naprzód wiedzą.

— Więc słuchajże trzeba żebyś jutro raniutko pojechał do miasta i postarał się w jaki sposób.... Do Goldfingera nie chodź, bo ja mu winien już za pszenicę, której zabrakło.... ale szukaj u drugich.

Widocznie ta propozycya nie podobała się Berkowi, bo stał, głową kiwał i nic nie mówił.

— Z przeproszeniem jaśnie panie, mnie się zdaje, co lepiej będzie gadać z Goldfingerem. On tu jest zwyczajny w naszym dwo-

rze, i jemu nikt nie będzie chciał włazić w drogę... U naszych jest taki zwyczaj.

— Ależ Goldfinger nie ma pieniędzy, ja mu już proponowałem, żeby pożyczył...

— Tak na pożyczkę on nie ma, ale na kupno zboża....

— Ciekawym, jakie ja mam zboże do sprzedania?

— Hm, prawda, chyba na to, co będzie....

— Na pniu?

— Jak nie ma innego.... On mnie dziś mówił, żeby się zgodził z jaśnie panem....

Propozycya taka bardzo mi się nie podobała, jeszcze nigdy w ten sposób zboża nie sprzedawałem, dlatego więc mówię Berkowi, że nie chcę, i wolę pożyczyć i procent zapłacić. Jedź do drugiego miasta i szukaj pożyczki koniecznie....

Nie śmiał się arendarz sprzeciwiać, ale widziałem, że nie miał żadnej nadziei, bo uśmiechał się wątpliwie i głową ruszał.

— A możeby jaśnie pan sprzedał sążnie z lasu. Ja miałbym jednego kupca....

— Czy żartujesz? Gdzież ja mam las. Te paręset morgów ledwie dla mnie na domową potrzebę wystarczą.

— Jakby dwieście sążni wyciąć, to aniby znać było. Są takie gęstwiny niektóre, co im byłoby lepiej rosnąć. Jaśnie pan wie, co las jest jak włosy na głowie, i trzeba jemu przycinać, aby rósł lepiej.... Niech mię jaśnie pan słucha i nie pożycza na wielkie procenta, bo to trzeba oddać, a jak się co sprzeda — to swoje.

Na pozór była logika niezła, a choć się nie zastanawiałem nad dalszą jej konsekwencyą, jednak miałem wstręt do niszczenia lasu i sprzedawania kota w worku. Powtórzywszy zatem polecenie szukania pożyczki, pożegnałem żyda.

— Niech jaśnie pan każe dać parę garnców owsa mojemu koniowi — rzecze na odchodnem.

— Bój się Boga, ja sam nie mam do siewu.

— Nu cóż, kiedy mój koń nie dojdzie do miasta....

— On taki tłusty....

— Tak się zdaje jaśnie panie, ale nie ma siły.... Samą serwatką żyje. On tak jest jak Łykowski, co niby nalany jest....

Cóż było robić, kazałem dać, choć nie chciało mi się wierzyć, aby koń tak dobrze wyglądał na serwatce. Podług tego, co wie-

działem, Berko nie miał żadnej paszy, a swoją drogą ten jego koń lepiej od moich się trzymał i ciągle był w drodze. Okoliczność tę, a mianowicie tak obfitą pożywność serwatki dla koni żendarskich, zostawiam zbadaniu panom obywatelom ziemskim przy najbliższem zebraniu się Towarzystwa gospodarskiego, albowiem ja sam, będąc ciągle w tarapatach, nie miałem czasu jej sprawdzić.

Żyd poszedł, a moja Dygalska jak sobie usnęła szczęśliwie przed godziną w fotelu, tak spała smacznie, żeby ją i armatą nie zbudził.... Pięknie mię dozorowała, nie ma co powiedzieć.

Byłem znużony tak z bolu jak i ze zmartwienia, i oczy kleiły się do spania. Co będzie, to będzie, myślę sobie, trzeba świecę zgasić, bo niebezpiecznie tak zostawiać bez dozoru. Przysunąwszy ją tedy do siebie, narządziłem zapałki i gaszę. Ale pokazało się, że nie zawsze da się tak człowiekowi usnąć jak mu się zdaje, zwłaszcza gdy ma tak piękne widoki przed sobą jak naprzykład dwudziestu konnych żołnierzy, wjeżdżających na dziedziniec na egzekucyę. Tu ból w krzyżach dokucza, a tu słyszę chrzęst szabel, rżenie rumaków i widzę, jak moje resztki owsa idą do płóciennych torebek żołnierskich,

a moje biedaki robocze stoją przy pustym żłobie, i ciągną z za drabin stare popleśniałe z pod desek siano, bo innego już nie ma.

Więc przy tak sielankowem widzeniu, proszę cię czytelniku miejski, który tego w życiu nigdy nie doświadczyłeś i myślisz o wsi jak o szczęśliwej Arkadyi, gdzie ludzie nic nie robią a tylko sześć razy na dzień jedzą, czy podobna jest usnąć? Zdrowy człowiek jeszczeby się mógł przewracać w pościeli — mnie i tego nie było wolno; zatem wyobrazić sobie łatwo, jak słodko marzyłem....

Drzemałem trochę aż do świtu, a skoro dzień się zrobił, kazałem przywołać ekonoma.

— Mój panie, posłać natychmiast po doktora; czuję, że mi ból wcale nie ustępuje, a tymczasem poproś pan żony. Berka wysłałem do miasta za interesem, Dygalska pewnie chora.... Mój panie, uproś żonę, bo widzisz, w jakim jestem stanie.

— A juści musi przyjść moja — rzecze zamyślony, a potem jakby już do siebie mówił, dodaje — dziewka popsuje obiad, ale niech tam...

Westchnął ciężko i wyszedł.

Pani Łykowska jest bardzo rezolutna kobieta, tak samo pulchniutka jak jej szano-

wny małżonek. i mająca się za coś lepszego niby, ponieważ jej rodzice mieli kiedyś traktyernię w mieście powiatowem.

Z powodu tej wyższości rodowej, z którą się przy każdej sposobności chwaliła, z Dygalską byli zawsze jak pies z kotem. A że klucznica jest okiem w głowie mojej żony, zatem pani ekonomowa nie cieszy się względnością Idalki.

— Nieznośna arogantka — mówiła zawsze żona — i gdyby nie mąż jej poczciwy, przychylny safanduła, namawiałabym cię, żebyś go odprawił.

Mnie tam, przyznaję się, pani Łykowska zupełnie nie zawadzała. Czasem i miesiącami całemi jej nie widywałem i nie potrzebowałem wiedzieć, czy jest, czy tam jej nie ma we wsi. Ale teraz jak przyszła bieda, trzeba ją było poprosić. Nie mogę tego powiedzieć, żeby w tym przypadku była niechętną lub pokazywała jakieś fochy, owszem kontenta była, że może mi być użyteczną i z całą zręcznością usługiwała, krzątając się koło mnie.

Zaczęliśmy przyjacielską pogawędkę, z której dowiedziałem się na moje nieszczęście, że ojciec pani ekonomowej tak samo kiedyś chorował na ból w krzyżach, ale jak nie-

boszczka matka, wzięła wódki z mydłem i odwaru żywokostu, to w trzy dni był już zdrów. Przy tej sposobności powiedziała mi pani, jak to jej rodzice byli szanowani przez gości stołujących się w restauracyi, ile mieli koni, krów, bryczek i wozów. wreszcie jak ona była na pensyi u *madam* Boczkowskiej, w której było trzy klasy prócz wstępnej i jedna guwernantka, prawdziwa Francuzka ze Szwajcaryi.

Wspomniałem wyżej, iż na moje nieszczęście dowiedziałem się o tym żywokoście. Zaręczanie pani ekonomowej, że ojcu jej pomogło, utkwiło mi w głowie, a że chciałem wstać jak najprędzej i pojechać do miasta po pieniądze, których pewnie ten niedołęga Berek nie wyszuka — więc zdecydowałem się spróbować owego doświadczonego lekarstwa.

Pani Łykowska ciągle mię bawi rozmową. Dziś trudno mi już powtórzyć to wszystko, o czem się wówczas dowiedziałem, ale pamiętam, że była mowa o hrabinie ze Stoczka, która panią ekonomowę zaszczycała swoją przyjaźnią, zapraszała ją do siebie na kawę z lukrowanemi sucharkami, radziła się, gdy szło o dodanie gustu w ubraniu, bo pani Łykowska przez trzy miesiące uczyła się

szycia u marszandki w Lublinie, będącej najpierwszą modniarką na całą Polskę i do której nawet panie z Warszawy przysyłały suknie do szycia.

Po skończeniu historyi z panią hrabiną, nastąpiło długie i ciężkie westchnienie.

— Tak proszę pana, miałam łaski u hrabiny, a tutaj przez intrygi tej Dygalskiej, państwo mnie nie lubią. Dygalska, proszę pana, choć tak udaje słodziutką i wierną, to w rzeczy samej jest wi lką filutką i przebiegłą. Eh, żebym ja chciała wszystko wielmożnemu panu mówić, co ja wiem o niej i co tu się na dworze dzieje, tobym do wieczora nie skończyła ...

Co do mnie — to przyznaję, że pasyami lubię słuchać plotek, z których jednak żadnego użytku nie robię. Słuchałem więc dalszej gadaniny Łykowskiej, a że mówiła ciągle jednym i tym samym głosem, zdawało mi się tedy, że spoczywam gdzieś na trawie, obok szemrzącego po kamykach strumyka, przy którym, jak wiadomo, najprzyjemniej się zasypia.

Niestety, wkrótce i tego mi los pozazdrościł, bo oto słyszę tentent koni przed domem i charakterystyczny klekot z wiedeńskich fabryk powozu.

— A kto tam? — mówię do ekonomowej.

— Państwo Amorkowscy z Glinianego Dołu.

Masz tobie, już widzę Berek roztrąbił po całej okolicy o mojej chorobie, i zaczną mi się tu zjeżdżać znajomi. W każdym innym czasie rad byłbym szanownym gościom, ale teraz kiedy żony nie ma w domu, kiedy jestem chory, bez służby i z tylu kłopotami na głowie, przyznaję, wolałbym, aby mi dali pokój Ale cóż robić, są to obowiązki sąsiedzkie; na wsi nie można być samym tak jak w mieście, gdzie każe się mówić lokajowi: państwa nie ma w domu i rzecz skończona.

III

Najbliżsi moi sąsiedzi, państwo Amorkowscy, jestto młode i bardzo dystyngowane małżeństwo. Pan Adolf, śliczny mężczyzna i bardzo starannie wychowany, ożenił się dopiero przed trzema laty z bardzo piękną, bardzo dobrą i bardzo elegancką osobą, z bardzo dobrej również familii. Wątpię, żeby mieli jaki dochód z Glinianego Dołu, choć pan Amorkowski jest bardzo postępowym gospodarzem, bo to same piaski i kamienie. Kupił nawet parową młocarnię z lokomobilem, który jednak przy transporcie zagrzązł mu na jesieni tuż za młynem, i do dziś dnia jeszcze tam stoi. Najlepszy dowód, czy warto w naszym kraju, pozbawionym dróg bitych, gospodarować postępowo. Pan Adolf zapłacił pięć tysięcy za młocarnię, a całą zimę młóciło się zboże w Glinianym Dole ce-

pami, i do tego jeszcze musiał w grudniu nad zamarzniętym lokomobilem stawiać szopę z dachem, aby go uchronić od szarug zimowych — tudzież trzymać dozorcę

Już to nie można panu Amorkowskiemu odmówić pewnego zamiłowania w porządku gospodarskim i znajomości fachowej swego przedmiotu. Piszą u nas i narzekają, że obywatele ziemscy nie mają wykształcenia, a tu na panu Adolfie mamy oczywisty przykład, że jak kto ma wrodzone zamiłowanie do gospodarstwa, naturalną zdolność i smak wykształcony, t· się i bez tych zalecanych nauk obejdzie. Skończył on tylko trzy klasy gimnazyalne i przez pół roku słuchał kursów rolnictwa za granicą, w tym czasie, kiedy innej młodzieży głupstwa świtały w głowie — i wyrobił się z niego taki obywatel, co daj Boże, aby podobnych jemu było jak najwięcej. Pan Adolf z tem się ukrywa ale Lunia, jego śliczna żoneczka, wydaje go czasem, że pisuje korespondencye rolnicze do gazety pod pseudonimem „pustelnika z nad Glinianki“. Kiedy my wszyscy, kochani czytelnicy, spiewaliśmy na cienką nutę Tadeusza, on panie dobrodzieju palnął sobie piętnaście włok lasu i jeszcze tak przezornie obrobił kupców, że nie wziął od razu całej

należytości, ale przy kontrakcie połowę, drugą zaś połowę rozłożył im na raty po trzy tysiące rubli rocznie, i teraz ciągle ma stały i pewny dochód.

A z jakim to komfortem i smakiem estetycznym urządził sobie dwór w Glinianym Dole — to proszę zobaczyć i podziwiać. Dwór ten za życia jego nieboszczki mamy, która, powiedziawszy nawiasem, była skąpa kobieta, wyglądał jak stara rozłażąca się oberża przy gościńcu, z różnemi przybudowkami ni w pięć ni w dziewięć — ot jak u naszej starej szlachty bywało, tej ciemnej szlachty, która nigdy nosa swego za granicę kraju nie wystawiała. Sprzedawszy las i mając zamiar wprowadzić młodą żonę do domu, wziął się pan Adolf do tej staroświeckiej rudery i w rok jeden, sprowadziwszy różnych majstrów z Warszawy i z zagranicy, zrobił prawdziwe cudo. Kształt domu pozostał dawniejszy, aby uszanować zabytek historyczny rodziny Amorkowskich; przybyła tylko wieża na prawem skrzydle z drągiem na szczycie, na którym mogłaby flaga powiewać. Za to wewnątrz niech się schowają komnaty jakiego książątka udzielnego w Niemczech. Już to trzeba przyznać, że nasz szlachcic polski, kiedy chce, potrafi coś zrobić takiego, że nikt

go nie zawstydzi. Jest tam i biblioteka w stylu gotyckim, *nota bene* z książkami, i sala bilardowa z góry oświecona, i sala jadalna na sześćdziesiąt osób, i buduary i gabinety, nie mówiąc o salach do przyjęcia i wspaniałym przedsionku z filarami, w którym ja zawsze zdejmuję czapkę, bo mi się zdaje, że wchodzę do kościoła. Dodajcie do tego stosowne umeblowanie, portyery, obicia, złote gzemsy i stiuki, obrazy, posągi, jeden nawet z prawdziwego kararyjskiego marmuru, a będziecie mieli słabe dopiero wyobrażenie o tem, co jest w pałacu Glinianego Dołu, i i czem jest pan Adolf jako osoba moralna, która to wszystko prawie z niczego wytworzyła. Ile razy tylko czy sam, czy z żoną wyjeżdżają za granicę, to z powrotem zawsze przywiozą coś osobliwszego lub ciekawego tak, że jak się było w Glinianym Dole z wizytą, człowiek nie wiedział, co wprzód oglądać, co wprzód podziwiać. Szczególniejszym amatorem broni był pan Adolf, posiadał bowiem całą kolekcyę przepysznych okazów fabryk całej Europy i Ameryki, a znał się na tem tak, że wszelka z nim dysputa w tym względzie była niepodobna. Jednakże mimo tych wszystkich przymiotów i dostatków, pomimo że państwo Amorkowscy byli na pół

hrabiowie, bo rodzona siostra ojca pana Adolfa jest za hrabią Rozpędowskim w Galicyi, a matka pani z domu prawdziwa hrabianka Strzygocka z Poznańskiego. jednak żyli z całem sąsiedztwem prawdziwie po obywatelsku. Z Adolfa tęgi jest chłopiec i do polowania i do zabawy towarzyskiej, a pani Leonia taka milutka, taka uprzejma i gościnna, że nieraz człowiek musi się żenować, gdy go swoją gościnnością otoczy. W przyjęciach u nich nie widać żadnego zbytku, wszystkiego nie wiele, jednak z takim komfortem i szykiem, tak to jakoś zręcznie i gustownie podane, że miło jeść i pić a nawet i pożartować.

Nasze kobiety nie lubiły pani Adolfowej, szczególniej za tę wystawę, za te kieliszki, szklanki, galarety i pasztety.... ale trudno było zaprzeczyć, że to było smaczne i z gustem. Nie mogę ukrywać, że moja żona, chociaż to najlepsza w świecie kobieta, ale zawsze kobieta, ma w sobie trochę tej próżności czy zazdrości naturalnej, która każdej piękności innej przetrawić nie może; niechętnie też bardzo i to parę razy do roku jeździła do Glinianego Dołu, i zawsze ztamtąd wracała mocno zirytowana i obłudą pani Leonii zgorszona.

— Ależ mój Adamie — mówiła do mnie — ty jej nie broń, bo wy mężczyźni na tem się nie znacie. Ja ci powiadam, że jest fałszywą, że ten sentymentalizm i czułość są udane; kobieta kobietę wskróś przejrzy.... Powiem ci otwarcie, wy wszyscy mężczyźni jesteście mądrzy bardzo, uczeni, praktyczni i szlachetni, ale nadzwyczaj łatwowierni i przyjmujecie każdy blichtr za dobrą monetę. Przekonasz się kiedyś i powiesz, że mówiłam prawdę.

Trudno się było sprzeczać i energiczniej bronić pani Adolfowej, do której, przyznaję się, miałem pewną słabość, no, taką sobie bez żadnych groźnych dla serca konsekwencyj, ot, poprostu podobała mi się jako ładna i przyjemna kobieta. Zresztą nie ja jeden byłem takiego przekonania o pani Leonii; znalazło się nas więcej w okolicy, a niektórzy nawet trochę się ze swemi sentencyami zaawanturowali. Najbardziej jednak moja żona irytowała się za ich służbę, którą, i ja przyznaję, cokolwiek za cudacko poubierali w żółte fraki i pąsowe kamizelki, w pończochy i trzewiki. Pamiętam, raz była scena z naszym Walkiem, który koniecznie chciał naśladować lokajów Glinianego Dołu, i z własnej woli ubrał się we frak, białą krawatkę i

białe bawełniane rękawiczki. Nigdy nie widziałem mojej żony tak rozgniewanej, jak wtedy; nie zważała, że mieliśmy gości, że państwo Amorkowscy byli na kolacyi, wobec wszystkich ofuknęła Walka i kazała mu się natychmiast przebrać po dawnemu.

— Nie pozwolę w moim domu na żadne małpowania! — mówiła, i Walek poszedł jak zmyty.

Czuję, że czytelnicy byliby mi bardzo wdzięczni, żebym już dał pokój tej gadaninie, a pokazał jak najprędzej tę panią Adolfowę, ósmy cud świata.

Właśnie nadchodzi do mojego pokoju, nie zważając na nic, i że inną zwyczajną ceremoniantkę możeby ta okoliczność żenowała. Ale ona jest taka, co w sercu to i w ustach i w czynie....

Źle powiedziałem że weszła, naprawdę ona wpłynęła do pokoju z szumem jedwabnej sukni, wlokącej się daleko za nią, z zapachem rezedy, fijołków, truskawek i innych wonności, z obliczem przerażonem, a jak mi się zdawało, z nieco zwilgotniałemi oczyma. Przyznaję, gdym spojrzał na nią, zdawało mi się, że wschodzi zorza poranna, na widok której wszystko co żyje, rumienić się musi.

Co mam ją długo opisywać! Jest śliczna kobieta w całem znaczeniu tego wyrazu, piękność typowa i skończona. I owal twarzy, i cera pysznie biała z lekkim rumieńcem, i nosek zgrabniutki, i oczy wielkie siwe, nieco zielonkowate, i brwi jakby wykrojone i czoło jasne i to bogactwo ciemnoblond włosów otaczających głowę, wreszcie szyja, usta, i cały kształt rozkosznie utoczonej figury — wszystko to przypomina najmniej milońską Wenus, jeżeli jeszcze nie coś doskonalszego. Dodajcie jeszcze do tego wszystkiego dziecięcą prawie naiwność uśmiechu, głos melodyjno-przenikliwy, naturalny wdzięk ruchów — a będziecie mieli jakie takie wyobrażenie o pani Adolfowej.

— Czy to się godzi panie Adamie — odzywa się, siadając na krześle i podając mi delikatną, długiemi paznogciami opatrzoną rączkę — nie dać znać o swojej chorobie sąsiadom?... Dopiero dziś wypadkiem dowiedzieliśmy się o tem... Z pańskiej strony jest to bardzo niedelikatnie, i doprawdy jesteśmy obrażeni na pana.

Tłómaczę się, że choroba nastąpiła tak nagle, iż nie sądziłem, aby miała być tak ciężką — nic to nie pomaga, pani ciągle robi

mi wyrzuty, a stojący obok małżonek tylko wtoruje.

— Trzeba było kazać ekonomowi, aby nas uwiadomił, zwłaszcza, że nie ma pańskiej żony.... Biedna, jak ona tam musi cierpić i z jakim niepokojem wraca do domu.

— Przyznam się pani, wcale nie dawałem jej znać o tem.

— Jakto? pan byś śmiał....

— Właśnie dlatego żeby jej nie martwić.... Wolę już sam ponosić te bole, niż ją narażać na tak długą podróż i zmartwienia.

— Widzisz Adolfku — mówi odwracając się do męża i podając mu kapelusz, który zdejmuje z głowy — czybyś ty coś podobnego zrobił? Ucz się, jak to się kocha żonę....

— Sądzę, że tak samo by postąpił.

— Naturalnie — dodaje, uśmiechając się małżonek, odsuwając dwoma palcami wąsy cisnące mu się na usta....

— Niech mu pan nie wierzy. To taki jest wygodniś i kapryśnik, że nikt mu nie może dogodzić jak jest zdrów, a cóż dopiero kiedy jest chory.

— Tyran prawdziwy! — dodaję i ja.

— Eh, sąsiad kochany nie jesteś tak

chory, jeżeli możesz żartować — mówi pan Adolf.

— Tak się zdaje, chociaż moja Dygalska i Łykowski i nawet Berek arendarz każą mi się dysponować na śmierć.

— I nas tak samo zaalarmowali — rzecze pani, wpatrując się już weselszym wzrokiem na mnie — wprawdzie zbladłeś pan trochę ale z tem nawet panu więcej jest do twarzy; słuchaj Adolfie, i ty powinieneś trochę zachorować, żebyś stracił tę mieszczańską czerwoność. Wierz mi, blada twarz dla kobiet jest najbardziej interesującą.

W ten sposób rozpoczęliśmy gawędkę snującą się dalej dosyć przyjemnie. Ja opowiedziałem całą moją wczorajszą przygodę ze służbą, z pijawkami, z Dygalską; pani śmiała się jak dziecko, a jednak widziałem, że łzy politowania nad moją dolą stawały jej w oczach.

— Wiesz co Adolfku — odzywa się po chwili do męża — nie wracajmy już do domu, ale zostańmy tu przy panu....

Zaczynam ja się wypraszać i sumitować, że nie jestem tak chory, że to niepodobna, że nie mieliby żadnej wygody, że sama pani powinna się szanować, mając tak delikatne zdrowie — wszystko to nic nie pomaga — zostaniemy, mówi, i zostaniemy.... Widzę i

mąż nie jest kontent z tej propozycyi, krząka, daje jej różne znaki, choć głośno niby nie oponuje, ona się uparła, że zostaną, bo nie może na to pozwolić, abym tu został sam bez opieki.

— Jak wróci pańska żona — mówi — jestem przekonana, że mię pochwali. Wy panowie nigdy nie zrozumiecie tego, o czem my kobiety wiemy i co uważamy za nasz obowiązek....

Niestety, co do tego, byłem zupełnie innego zdania, i właśnie czego się najbardziej obawiałem, to tego, że mojej żonie zupełnie ta opieka sąsiedzka w smak nie pójdzie.... Zawsze odsuwała się od pani Leonii, a jak powiedziałem, podejrzywała jej szczerość, teraz więc większą będzie miała ansę do niej, że korzystając z jej nieobecności, chciała odgrywać rolę miłosiernej opiekunki, aby jej własny obowiązek przypomnieć.

Jak przewidziałem, tak się też a nawet i gorzej stało, ale to do rzeczy teraz nie należy. Otóż prócz obawy takiej, miałem jeszcze i inne przyczyny niechęci, aby państwo Adolfowie nie zostawali. Najprzód że nie było ani służby, ani żadnego ładu w domu prawie kawalerskim; powtóre że miałem interesa różne do załatwienia, jak wiadomo

czytelnikom dość kłopotliwe, o których nie życzyłem sobie aby ktoś drugi wiedział; potrzecie, osoba taka jak pani Leonia, zamiast opieki robiła mi subjekcyę, a wreszcie co najważniejsza, nie byłem pewny siebie.... Pani Adolfowa zawsze mi się podobała, a czy to człowiek może za siebie ręczyć? Jak widzicie czytelnicy, byłem uczciwszym od innych mężów i to sobie poczytuję za zasługę, bo chociaż przewidywania moje się nie sprawdziły, jednak czułem ich niebezpieczeństwo i chciałem się mu oprzeć.

Ale róbże, co chcesz, z taką kobietą. Postanowiła wziąć mnie w opiekę w chorobie, i postawiła na swojem. Kazała mężowi, aby posłał po pannę służącą i rozmaite rzeczy, i rozgospodarowała się na dobre.

Grzeszyłbym, podejrzywając ją o takie jak żona mogła myśleć zamiary — pani Adolfowa jest zanadto dobrą i szlachetną kobietą, aby czyniła coś z pewnem wyrachowaniem naprzód. Ot, poprostu, żal jej było chorego człowieka i chciała mu być użyteczną, chciała zrobić pewną ofiarę, wypełnić uczynek chrześcijański.

Tego rodzaju wychuchane i wypieszczone w domach rodzicielskich kobiety, czasami poczuwają się do pewnych obowiązków

społecznych, robią nawet niejakie wysilenia, i zadają sobie przymus, lecz jeżeli dobra ich chęć nie stanie za uczynek, nie je trzeba o to obwiniać.

Pani Leonia wzięła się tedy do dzieła z całą energią. Najprzód zrobiła pewien porządek w pokoju, a choć to szło jej nie barzdzo składnie, bo szkoda było pięknych rączek, żal świeżutkich mankietów — jednakże uwijała się ochoczo.

Naturalnie, że widząc tę jej ciężką i morderczą pracę, musiałem czuć tak samo ciężką wdzięczność, a przez wdzięczność poddać się rozkazom wszechwładnej nowej pani. Zajmowała się ona w majątku swoim leczeniem włościan, miała swoją apteczkę medycyny popularnej, więc uważała się pod tym względem kompletnie wykwalifikowaną i dość stanowczą lekarką. Ja tu panie głodny jestem jak wilk i zjadłbym całego wołu z rogami, a ona mię przekonywa, że powinienem jeść kleik jęczmienny.

— Pani, na miłość Boską, umieram z głodu, proszę o kawałek mięsa....

— Nie, nie.... chory nie może sam o sobie decydować. Dopóki doktor nie przyjedzie, nie dam panu nic, tylko kleik na śniadanie a na obiad kawałek gotowanej kury....

Proszę być posłusznym! Człowiek chory, to jest malutkie rozkapryszone dziecko.... — dokończyła filuternie, patrząc mi w oczy.

Przyznaję, że zły byłem w sobie jak nie człowiek, kiedy mi podano jakiś kleik mdły i lepki, ale jakże tu się gniewać i odmawiać, jeżeli ta dobra kobieta tyle się sama natrudziła, napiekła przy ogniu, ręce poparzyła — nie miałbym serca, gdybym jej powiedział, że kleik ten nie jest dla ludzi. Zjadłem tedy, uśmiechnąłem się czule na znak niewypowiedzianej wdzięczności, tylko przyznaję już, nie miałem odwagi ucałować jej rąk.

Z obiadem była taż sama historya; ekonomowej nie pozwoliła się wtrącić, Dygalska nie wiem czy naprawdę była chorą, czy tylko obrażona za to, że kazałem zawołać do usług ekonomowę, czy wreszcie żem dotąd nie umarł, dość, że zamknęła się w swoim pokoju w oficynie, zabrała z sobą Agatę do okładania sobie głowy zimną wodą, i ani chciała o niczem wiedzieć.

Otóż w ten sposób mniej więcej pełniła pani Leonia obowiązki siostry miłosierdzia przy chorym sąsiedzie, a że, jak powiedziałem, jest piękną i tyle okazuje dobrej woli połączonej z miłą naiwnością, przeto śmie-

jemy się wspólnie z panem Adolfem, i radzimy jak możemy.

Wieczorem dopiero przyjechał doktor z miasteczka, nie ten, którego zawsze do nas wzywano, ale inny, nieznany mi młody człowiek, bardzo przystojny i bardzo elegancki, z czarną jak kruk brodą. Zobaczywszy piękną dozorczynię moją, która wielkiemi swemi oczami zanadto może impertynencko patrzyła się na niego, mój doktor tak dalece osłupiał, że doprawdy zapomniał języka w ustach. Pani Adolfowa, widziałem, tryumfowała, a że zastępując niejako gospodynię domu, starała się być uprzejmą, więc rozpoczęła z nim rozmowę bardzo przyjemnie szczebiotliwą, bardzo nawet dowcipną, tylko z chorobą moją żadnego związku niemającą. Pani sąsiadka lubi olśniewać, i trzeba przyznać, udają się jej takie rzeczy.... Szczęściem że mąż przerwał tę szermierkę i zapytawszy doktora, co sądzi o mej chorobie, przypomniał mu wreszcie jego obowiązek.

Pani Leonia oddaliła się do drugiego pokoju, a młody adept sztuki lekarskiej zabrał się do mnie, poprosiwszy pana Adolfa, aby świecił mu przy tej czynności.

Oglądnąwszy mnie i zapaliwszy cygaro, które mu pan Adolf grzecznie podał, lekarz

sadowi się koło mojego łóżka, i zaczyna się prawdziwie sądowa inkwizycya. Powoli, cofając się wstecz mojego życia, co jadłem, czem się trudniłem, kiedy chorowałem itp. doszliśmy do mego nieboszczyka ojca i matki, do ciotek i stryja — a gdy już wszystkie boczne linie zostały obrobione, sięgnęliśmy do dziadka, którego jeszcze z lat dziecięcych zapamiętałem, a który, musiałem tu przyznać, wypiwszy na jeden wieczór trzy garnce wina, mógł prosto trzymać się na nogach.

— Otóż to, to, to — wtrąca pan lekarz — wnukowie cierpią za dziadów.... nietylko moralnie, ale i fizycznie....

I przybrawszy już zadowoloną minę, obmacał puls, zobaczył język, zajrzał pod powieki, i opukał mnie tak, jak to kobiety wiejskie na jarmarku garnki opukują.

— Chwilowe porażenie krzyża! — konkluduje wreszcie.

I bez niego toż samo wiedziałem.

— Medycyna — mówi dalej, puszczając kółka dymu z cygara — zna dosyć tego rodzaju porażeń i o ile sobie przypominam, jest siedmnaście czy ośmnaście środków leczenia takiej choroby. Usunięcie samego bolu jest rzeczą podrzędną w tym wypadku. Tu

najważniejszą sprawą jest zapobieżenie dalszym konsekwencyom.

— Ależ panie doktorze, ten ból, który mi się ruszyć nie pozwala.... Ja potrzebuję wstać jaknajprędzej, mam bardzo pilne interesa do załatwienia...

— To tak od razu nie można, szanowny panie. Cierpliwości, nic więcej, tylko cierpliwości. Ja leczę tylko radykalnie, staram się usuwać przyczyny, zapobiegać skutkom.... Po wyzdrowieniu radziłbym panu dobrodziejowi do Cieplic, a w jesieni do morza. Pan jesteś człowiek nerwowy, więc trzeba na jakiś czas zaprzestać wszelkiego zajęcia się gospodarstwem i kłopotami.... Choroba, łaskawy panie, jest tylko następstwem życia niehygienicznego.... Zmiana trybu jest i zmianą zdrowia....

Wygłosiwszy tak piękną naukę, pan doktor poszedł do mojej kancelaryi napisać receptę, i tam odbyła się między państwem Adolfami i nim poufna konferencya, na której uradzono, żeby natychmiast posłać do apteki. A że i pan doktor oświadczył chęć powrotu do miasta, gdzie tyle ciężko chorych na niego oczekuje, więc mimo napomykań państwa Adolfów, żeby go nie puszczać

na noc — przeciwnie, puściłem go, podziękowawszy za tak skuteczną pomoc.

— Dobrze mi radzi — pomyślałem — nic nie robić, jechać do wód, potem do morza, potem zapewne do Włoch albo do Egiptu.... a tu panie tylko nie widać dwudziestu żołnierzy na egzekucyę za zaległe podatki, nie widać i Berka, którego posłałem szukać pieniędzy od żydów — w domu mam gości i tych nie ma kto przyjąć a wreszcie czem zasieję pole za krzyżem, skoro owsa nie ma!...

Co chcę zawołać kogo, naprzykład ekonomowej, pani Adolfowa nie pozwala. Poczciwa i dobra to osoba, pełna chrześciańskiego poświęcenia. Mąż w kancelaryi prowadzi gospodarską dysputę z Łykowskim i do mnie go nie puszcza; słyszę wykłada mu teoryę żywienia bydła, ile ono potrzebuje zjeść funtów paszy, aby żyć, a ile żeby rosło i tyło. Następnie przechodzi pan Adolf do człowieka, utrzymując, że czternaście łutów mięsa i funt mącznych ingredencyj wystarcza dla mało pracującego fizycznie mężczyzny. Szkoda, że nie mogę widzieć twarzy szanownego mojego rządcy, gdy mowa o tych czternasto łutach, lecz wyobrażam sobie jak ona musi być przerażona — skoro pan Łykowski po zjedzeniu trzech funtów mięsa na

obiad czuje się tak głodnym, jakby był na czczo.

Tymczasem pani Leonia, dłubiąc jakąś robotkę szydełkową, chce mię bawić rozpowiadając o najnowszym romansie pani Sand pod tytułem *Valvedre.*

— Wyobraź pan sobie, kobieta ta, kochając męża, odjechała go z pewnym młodym człowiekiem, który ją ubóstwiał.... Jak dzieci bawili się i prawie, że zanurzali w szczęściu.... ona czuła swoją winę, ale nie mogła się oderwać, nie miała siły przemódz na sobie, żeby skazywać na zatracenie młodego człowieka, który u stóp jej całą przyszłość swoją złożył.... Wie pan, jak się to czyta — serce się kraje z bolu nad cierpieniami tych trojga szlachetnych i dobrych ludzi.... Bardzobym rada była, żebyś pan przeczytał tę powieść. Ten Valvedre, jakiż to ideał mężczyzny, kochającego swoją żonę, pomimo że go opuściła! A ten młody student płaczący, tęskniący, choć bez męzkiego hartu.... jakiż miły....

Gdzie mnie tam w głowie mogły być romanse pani Sand, a tembardziej cierpienia żon uciekających z kochankami. Ale myślę sobie, czego ona chce odemnie? Czy żebym ja ją tak samo wykradł od męża, z Glinia-

nego Dołu, czy co?.. Słucham tedy nie słysząc a myślę znowu, żeby ona tak chciała uciec odemnie, jakżebym jej był wdzięczny!..

Późnym już wieczorem przyjechał pan Kalasanty, z drugiej strony mój najbliższy sąsiad, szlachcic krzykała okrutny, zawołany myśliwy, zawołany gospodarz i jeszcze bardziej zawołany łgarz i chwalnicki na całą okolicę.

Pan Kalasanty może mieć lat czterdzieści pięć, już trochę siwieje, jest dobręj tuszy, średniego wzrostu, barczysty i nadzwyczaj ruchliwy. Na cienkiej, krótkiej szyjce siedzi ogromna, zawsze rozczochrana głowa z twarzą przepaloną od słońca jak u mulata i z wąsami najeżonemi jak u suma, które nieustannie całą dłonią do góry podnosi. Ubiór jego zawsze zaniedbany, broda rzadko kiedy ogolona, szarawarki wąziutkie u dołu i krótkie, a stopa dalibóg więcej długa niż na pół łokcia, i to jeszcze tak się rozchodzi w szerz w różne załamy, że jako osobliwość możnaby ją za biletami pokazywać.

Pani Adolfowa, osóbka wychowana w salonach z poczuciem wyższego estetycznego smaku, nie lubi szlachcica rubachy i często mu delikatnie docina. Ale szlachcic za to służy przed nią na paluszkach i tak mu się oczy

śmieją, kiedy jej prawi komplementa, tak mu się wąsy ruszają i cała fizyonomia ożywia, że zdaje mi się widzę kota, który ma przed sobą myszkę zasadzoną w odrutowanej łapce — do której dostać się w żaden sposób nie może...

— Ot to ładnie, proszę pani dobrodziejki! — zawoła, musnąwszy ją w rączkę — siedzi pani jak zakonnica przy łóżku chorego.... Szczęśliwy człowiek; gdybym ja tak zachorował, pewnieby mnie pani nie pilnowała.... No jakże się masz sąsiedzie, słyszałem, wybierasz się *ad patres*.... Mówię ci, nie daj się i rób tak jak ja, wstań!

— Ba, żebym mógł.

— Przymuś się.... Boli a ty nie pytaj, tylko chodź.... Wszystko jest głupstwo na świecie.... Silna wola i nic więcej.... Pamiętasz przeszłego roku, jak mię ta ręka bolała. Żona powiada leż, doktor powiada leż, a ja mości dobrodzieju wstaję i chodzę..

— Zapewne — wtrąca pani Leonia — nie trudno chodzić, kiedy tylko ręka boli....

— Pani dobrodziejko łaskawa, jabym chodził także, choćbym nóg nie miał. U mnie silna wola przedewszystkiem, to jest najgłówniejszy przymiot mężczyzny!

— Pan tak jak ten artysta, któremu

już ostatnia struna zerwała się na skrzypcach, a on jeszcze grał....

— Tak, tak, pani dobrodziejko. Dlatego mówię ci sąsiedzie, weź i wstań, tylko ostro, chorobie się nie dać — to cały sekret zdrowia!....

W dalszej gawędce o różnych rzeczach wspomniałem o podatkach i zagrożonej egzekucyi.

— Dostałem i ja ten pasztet — odzywa się jakby od niechcenia pan Adolf. — Przyjadą — to zapłacę. To moja zasada, trzymać się zawsze biernie.... Niech wiedzą, że dobrowolnie nic nie płacę, ale ulegam przemocy....

Widziałem, że pan Kalasanty bardzo był niezadowolony z podobnego konceptu — on toż samo miał powiedzieć — a tu go uprzedzono, więc się odzywa z innej beczki.

— Ha, panie łaskawy, trudno!.. Muszę ostatnie sto par sprzedać.....

— To sąsiad ma jeszcze zboże?...

— No, znalazłoby się może i więcej.... ale ja jestem ostrożny mości dobrodzieju i trzymam do nowego.... Teraz przycisnęli, trzeba sprzedać, choć Goldfinger łotr *in summo gradu*....

— I owies sąsiad ma? — pytam pana

Kalasantego. — Ja wczoraj mój przemierzyłem i do siewu nie wystarczy....

— Ho, ho, od świętej pamięci już zasiałem. U mnie panie idzie siew energicznie... Dziesięć pługów na raz, dziesięć ekstyrpatorów panie, i w tydzień koniec.... Konie dobrze karmię.... trzy garnce dla konia dać to dać, aby jazda.... Do nowego spiewająco wystarczy mi na obroki.

— A skoro tak, to możeby mi sąsiad dobrodziej pożyczył ze dwadzieścia korcy do siewu. Ja zapłacę, albo z nowego oddam z dopłatą, jakby cena była niższa, bo doprawdy ciężko mi teraz szukać....

— Z miłą chęcią, sąsiedzie dobrodzieju, zrobiłbym to dla ciebie, bo u mnie serce panie dla sąsiadów jest jak na dłoni.... koszulę zdejmę a dam.... Ale nie chcę ci robić zawodu, mój owies pomięszany rychlik z marczakiem....

— A może ty Adolfie miałbyś — odzywa się nieśmiało pani, u której, nie wiem doprawdy, za co miałem szczególniejszą łaskę.

— Nie wiem, moje życie. Parę dni już nie czytałem raportów rządcy, choć bardzo wątpię, czy będzie zdatny do siewu.... Wiem że jest owies dla koni, ale prażony.

— Cóż to znowu za moda? — wtrą-

— Niech pan sieje prażonym....

— Dziecko jesteś moja Leonio, gdzież prażony owies na suszarni może zachować siłę kiełkowania?

— A ja rozumiałam, że to jego nazwisko: prażony, jak Hopeton, Kozak, Węgierski....

Z rozmowy o mojej biedzie przyszło do ogólnej biedy obywatelskiej.

— No, wiecie panowie — rzecze z werwą pan Kalasanty — kiedy ja mości dobrodzieju, co to przecie nieźle stoję, i zawsze mam jakiś zapasik, powiadam, że krótko ze szlachtą, to musi być krótko! Ratuję się mości dobrodzieju, walczę jak lew, a nic nie pomaga. Jeden liścik zastawny idzie za drugim.... trzeba zmieniać....

Czynię tu uwagę, że pan Kalasanty zawsze nosił z sobą list zastawny na tysiąc złotych polskich, jak mi mówili własność mamki, która mu go dała do przechowania ca pan Kalasanty. — Czy go się miele na kawę?

— To dla wyścigowych koni. Mam jedną klaczkę, zdaje się, że będzie zdatna do wyścigów, więc karmię ją podług przepisu....

— Czy to Adolfku ta chuda, kasztanowata, co chodzi po trawniku za oborami?

— Taż sama.

— Ależ ona ledwo nogami włóczy....

— Hm, tak ci się zdaje, moja duszko — odpowiada mąż z uśmiechem. — Umyślnie tak ją się chowa do wyścigów, i zobaczysz, niech tylko ujrzy arenę.... W hodowli tego rodzaju koni idzie o lekkość....

— A więc nie pożyczysz owsa panu sąsiadowi?

— Jeżeli chce prażonego.... to i owszem....

i tym listem wojował niby Goliat mieczem z Filistynami. Graliśmy w preferansa, należało się od niego dwa złote — on zawsze z tryumfem rzucał go na stół i prosił o resztę. Naturalnie, że nikt nie miał ani chęci, ani tyle z sobą pieniędzy, żeby mu list zmieniać — on go chował napowrót, a dług się zapisywał....

— Nam panowie, w obecnych stosunkach, trzeba kompletnie zmienić system gospodarowania — odzywa się pan Adolf — inaczej kraj dojdzie do ruiny.... Coś trzeba przedsięwziąć i pomyśleć — jakiś kredyt uzyskać albo się stowarzyszyć, coś takiego zrobić, czego jaśniej panom w tej chwili określić nie potrafię.... Jednak sami przyznacie, że coś trzeba....

— Możebyś Adolfku przeczytał panom o tych wydmach piaszczystych, co to piszesz dla Gazety....

— Dajże pokój moje życie.... to sobie tak, zabawka....

— No, no, co to o wydmach? — zapytuje zaciekawiony pan Kalasanty. — Mam ja tego ze sto morgów u siebie....

— Mój mąż bardzo korzystny znalazł sposób zużytkowania piasków....

Lecz ten mąż wesoło zasłonił buzię ręką pięknej pani, i nie dał jej więcej mówić.

— Przyjdzie czas na to, że panowie się dowiecie... jeszcze nie zrobiłem obliczeń, zatem nie ma potrzeby o tem mówić. Tymczasem panowie, ja jestem zdania, żebyśmy sobie zrobili gdzie maleńką sesyjkę obywatelską i wspólnie się naradzili.

— Zgoda na sesyjkę! —mówi pan Kalasanty. — To gruba sprawa, chodzi o przyszłość kraju i rolnictwa.... Ot, wiecie panowie, jadę jutro do miasta na jarmark, tam pewnie będzie kilku naszych, więc pogadadamy, gdzie, co, i jak się zebrać.

— Kładę tylko warunek, że wezmę udział, jeżeli będę mógł, i jeżeli żadnego nie będzie przyjęcia....

— No, tak znowu żadnego.... niepodo-

bna — odzywa się Kalasanty — ale skromne panie dobrodzieju. Żadnego wina, kieliszek wódki, kawałek chleba i tam coś przetrącić.... nic więcej.... Ciężkie teraz czasy, mości dobrodzieju, trzeba się wziąć w kupę. Skoro ja powiadam że trzeba, to trzeba....

Pani Adolfowa najzupełniej podzieliła moje zdanie co do skromnego przyjęcia.

— Komu to mówić, komu — przerywa pan Kalasanty — u państwa zawsze przyjęcie książęce....

— Prawda, że ja lubię skromnie, ale z pewnym komfortem — dodaje pan Adolf — wolę nic nie jeść, niż źle podane.

— Niesłusznie pan nas obwiniasz — rzecze na to pani Leonia. — Jak mamę kocham, ja u nas nie widzę żadnego i w niczem zbytku, o którym pan Kalasanty mówi.... Daję panu słowo, sama prowadzę rachunki domu i wiem, że bardzo mało wydajemy. Naprzykład wszystkie tu panie mają mię za strojnisię, a ja słowo panom daję, mogę i dwa miesiące chodzić w jednej sukni, a nawet dłużej, gdyby mię Adolfek koniecznie nie zmusił do sprawienia sobie innej. Boże kochany, jak byłam u rodziców, to czasem dwie na miesiąc mama kupowała, ale skoro ciężkie czasy, to trzeba się ograni-

czyć. Jedną rzecz, którą lubię, i bez której się obejść nie mogę, to są cukierki, i te zawsze mieć muszę od Lursa z Warszawy.... Oto cały mój grzech zbytkowy....

Pan Adolf uroczyście potwierdził tę skromność żony w potrzebach, a że była już noc późna i pan Kalasanty z bolem serca zdecydował się pojechać do domu, więc też i państwo Amorkowscy wynieśli się, zostawiwszy mię pod opieką służącego.

IV.

Radzę ci młody czytelniku, który masz jeszcze serce wolne do najęcia, abyś zechciał mnie w tej chorobie zluzować, mając nad sobą tak czułą — zarazem tak piękną opiekunkę. Daję ci słowo autorskie, że choćbyś naprawdę śmiertelnie był chory, to słodycz lejąca się na ciebie z tak powłoczysto-przenikających spojrzeń, jakiemi pani Leonia umie szafować, kazałaby ci o wszystkiem zapomnieć, a tylko prosić pana Boga, żebyś ani umarł... ani wyzdrowiał... Niestety, ja podówczas nie byłem w stanie korzystania z tej pani czytającej mi *Valvedre*. Ten Berek nieznośny, który nie wracał, ten łotr Goldfinger czatujący na moją pszenicę na pniu, wreszcie szeregi egzekwentów z brzęczącemi pałaszami jadący tutaj truli mi całą roskosz miłych

pogawędek pani Valvedrowej z Franciszkiem, którego nazwiska już dziś nie pamiętam.

Nareszcie dają mi znać, że arendarz jest — każę go wprowadzić.

— No i coż? — pytam Berka.

— Dziękować Bogu wszystko dobrze, a jaśnie pan jak się czuje?

— Boli jak bolało, ale mniejsza o to, pieniądze będą?

— Dlaczego nie mają być. Jak Berek gdzie pojedzie, to pieniędzy nie zabraknie, ile jaśnie pan chce: dwa tysiące, trzy tysiące.... Goldfinger przyjedzie tu we czwartek po południu.

— Mówiłem ci, że nie chcę Goldfingera.

— No, jemu nikt nie chciał iść w drogę, to u nas tak jest.... A żeby jaśnie pan widział, jaki tam jest gwałt w mieście, to strach. Wszyscy panowie z okoliczności latają za pieniądzmi, co niech Bóg broni. Ten Kalasanty, chciał sprzedawać w e l n e m na drugi rok.

— Et pleciesz.... on jeszcze ma stare zboże do sprzedania. Mój Berku, ty zawsze zbierasz zkądś tylko fałszywe wiadomości.

— Żebym ja tak zdrów był, jeżeli to nie jest prawda! I ten pan Amorkiewicz z Głęboki Dół — mówi ciszej, nachylając się nademną, zrobił geszeft z Tanenbaumem na

trzysta par z nowego, po pół rubla od korca, a ja widzi jaśnie pan wytargowałem od Goldfingera, tylko po dwa złote....

— Co? — krzyknę, ja mam zboże na pniu sprzedawać? A czy ja ci nie mówiłem, że chcę pożyczki?

Żyd się trochę przeląkł, zobaczywszy moje rozdrażnienie, i zaczyna się tłómaczyć, że był u Barucha, że był u Fajbusiowej, u starego Jankla.

— A żebyś ty z piekła nie wyjrzał z swojemi staraniami!... Widząc, że jestem chory i ruszyć się z domu nie mogę, ty Judaszu, poganie, morderco, sprzedałeś moją krew i duszę temu Goldfingerowi.... Poszedł precz! Ja twojej łaski nie potrzebuję!

Żyd zgłupiał na takie *dictum*. Jemu się zdawało, że on zrobił, co może być najlepszego, a tu słyszy wymyślania na seryo.

— No, czego jasny pan ma się gniewać — mówi jąkając się i rejterując ku drzwiom — Na moją uczciwość bardzo ciężko jest o pieniądze. Ale ja był i u Erlicha o te sążnie; jak jaśnie pan chce, on kupi trzysta i zapłaci gotówką po piętnaście złotych.

Cena ofiarowana za sążnie wydała mi się niezłą podług tego jak stoi drzewo w oko-

licy, a choć nie miałem zamiaru sprzedania, to pytam:

— Mówisz, że da po piętnaście?

— Tak powiedział.

— I sam wyrąbie?

— Tak jest, sam wyrąbie, on tylko chce, coby jaśnie pan odstawił mu do gorzelni w Stawiszynie.

— Gdzież to ten Stawiszyn, daleko?

— Na proste chłopskie drogę będzie cztery małe mile.

— A na krzywą?

— To jest na szosę.... pięć.

— I ty poganinie, heretyku, zbójco — krzyknę na całe gardło — radzisz mi taki interes! A toż to furmanka więcej warta niż drzewo!..

Patrzę, żyd wytrzeszczył na mnie oczy sądząc, żem zwaryował, a że zacząłem się ruszać na łóżku z irytacyi, więc on, cofając się coraz bardziej ku drzwiom, próbował jeszcze tłómaczyć mi korzyści takiej sprzedaży sążni.

— No, a co w zimie mają konie robić? Teraz wynaleźli takie maszyny, co bez koni młóci.... Pan Amorkiewicz jaśnie panu po sąsiedzku lokomobil pożyczy, a konie zarobią na obrok.

— A żebyś ty taki i owaki.... — wy-

gaduję na żyda, bo przyznam się państwu, ta jego filozofia do wściekłości mię doprowadziła.... Ot panie, chce głupca zrobić ze mnie, żebym zadarmo oddał Erlichowi trzysta sążni drzewa, dlatego, że jemu się nie chce zrywać przyjaźni z Goldfingerem i szukać gdzieindziej pożyczki! Nie ma innej rady — myślę sobie — tylko trzeba kazać się wnieść na bryczkę, i tak leżący zawieźć do miasta, bo inaczej straduje mię egzekucya z kretesem, albo żydzi obedrą ze skóry.

Mając tę intencyę, próbuję się podnieść; jakoś nie bardzo boli, i żebym tylko miał pod ręką jakie krzesło lub laskę, to możebym i powstał.

— Berku — mówię — pójdźno tutaj.

Żyd, który widząc, że ja ze złości chcę powstawać, drapnął był za drzwi i pokazuje głowę.

— Podaj mi laskę z kąta, tylko grubą.

— Na co jasnemu panu laski? — zapytuje, z niezmierną trwogą spoglądając na mnie.

— Podaj, do kroć tysięcy, a zobaczysz!

Dziś już nie pamiętam, jak i co krzyczałem na żyda, jak się zrywałem z łóżka, to tylko wiem, że Berko, jak się zdaje, przewidując dla osoby swej niebezpieczeństwo z tej

laski, z wielkim strachem poszedł do kąta i wybrał tam jedną, jaka tylko była najcieńsza.

— Nie tę! — krzyczę na niego — dawaj grubszą!

Ale żyd już nic tego nie słyszy, bo rzuciwszy mi prawie ów pręcik na łóżko, czemprędzej chowa się za drzwi.

Naturalnie, że niepodobna było oprzeć się na cienkiej trzcinowej lasce, więc wysilony, zmęczony i zirytowany musiałem się napowrót położyć.

Co się tam działo wewnątrz mnie, to łatwo już sobie czytelnik przedstawi. Nerwy wszystkie grały jak struny jakiej arfy, a krew, to czułem, że kipiała w żyłach i młotem biła do skroni. Nie pamiętam, abym kiedybądź w życiu był więcej rozdrażniony, i żebym tak przeklinał wieś, gospodarstwo, egzekucyę, żydów i cały świat Boży....

Leżę tedy i ledwie oddycham, kiedy otwierają się drzwi, a przez nie wchodzi pani Leonia z książką w ręku, ale tak zapłakana, jakby najboleśniejszą w życiu odebrała nowinę.

— Na Boga pani, co się stało?

Ona ani słowa na to, tylko się zanosi od płaczu i chustką oczy obciera.

— Czy pani kto jaką przykrość wyrządził? — mówię, przerażony tem łkaniem kobiety.

— Alida umiera! — rzecze, padając na krzesło.

— Co za Alida? czy to siostra pani?

— Ach, Alida, żona Valvedra! Jak to boleśnie jest czytać — pan nie uwierzy.... Sama, bez rodziny, bez męża, bez przyjaciół.... Nikt, nikt, nie chciał przyjechać.... Okropność!

— Eh — mówię, uśmiechając się złośliwie — to takie ma być nieszczęście.... A niech umiera z Bogiem....

Zerwała się z fotelu i spojrzała na mnie z takim wyrzutem i surowością, a w końcu z taką pogardą, że doprawdy musiałem spuścić oczy.

— I wy powiadacie, że macie serce!

— Niestety pani, za wiele go mamy, tylko na niepotrzebne rzeczy....

— Tak, to zapewne i ja tu jestem niepotrzebną — odzywa się, podnosząc dumnie piękną swą główkę. — Żegnam pana....

Powiedziawszy to, ukłoniła mi się sztywnie, i z majestatycznym spokojem wyszła z pokoju. No, tego mi jeszcze brakowało, żeby i ona się obraziła; mało mam już kłopo-

tów i zmartwienia na głowie. Z natury jestem na takie rzeczy drażliwy, więc panie chciałbym ją w jaki sposób przeprosić, bo bądź co bądź siedzieli tu, aby mię dozorować — ale nie mam kogo zawołać, a wstać nie mogę. Słyszę, wydają rozkazy, pakują walizy, biegają, kręcą się, drzwiami stukają — nakoniec zajeżdża powóz, i w pół godziny nie pozostało ani śladu po państwie Amorkowskich. Późno już wieczorem, wracając z jarmarku, wstąpił pan Kalasanty.

— No, sąsiedzie kochany, będziemy mieli sesyjkę we czwartek, i to panie dobrodzieju u ciebie.

— U mnie? — zapytałem zdziwiony.

— Tak jest, u ciebie. Ja sam zaproponowałem, wiedząc że nie możesz wyjeżdżać z domu.... Powiadam ci, projekt takich zjazdów obywatelskich niezmiernie się wszystkim podobał.... Musimy coś poradzić na naszą biedę, bo inaczej panie dobrodzieju wkrótce pójdziemy z torbami. Mówię kochanemu sąsiadowi, wszystko formalnie się zmówiło na nas.

— Słyszałem, że sąsiad sprzedałeś zboże z nowego....

Miał ochotę się wypierać, lecz zmiarkowawszy, że ja wiem już dobrze o tem, potwierdza tę sprzedaż.

— Uważasz sąsiedzie dobrodzieju — mówi ciszej, śmiejąc się nademną — złapałem tego oszusta Goldfingera. W pszenicy tegorocznej będzie śnieć.... już ja mam swoje znaki pewne, że będzie, więc mości dobrodzieju stara pszenica, gdzie lepiej zapłaci od nowej. On miał ochotę na starą, ale ja mówię: bratku nie sprzedam, bo zawsze starem ziarnem sieję; chcesz, kupuj nową.

— Kiedy podobno nie na stałą cenę, ale od korca.

— Jako żywo, nieprawda! — zawoła pan Kalasanty, czerwieniąc się jak burak. — On proponował panie dobrodzieju, po dwa złote od korca niżej ceny targowej.... byłby może i spuścił na złotówkę, ale ja nie w ciemię bity. Powiadam, bratku chcesz na stałą cenę, to dobrze. Trzydzieści dwa złote za korzec na miejscu, ani grosza taniej.

— No i zgodził się?

— Zgodził i pieniądze dał wszystkie — ot, tu są! — dodaje, uderzając się po piersiach. — A teraz ja żartuję sobie z egzekucyi; jutro jadę do kasy i płacę, a Goldfinger musi wziąć zaśniecą pszenicę, bo napisałem sobie w kontrakcie wyraźnie jak byk, „jakie będzie zboże tego roku, bo sprzedający za gatunek nie ręczy....“

Westchnąłem tylko, pomyślawszy, co to znaczy, jak człowiek sam może interes załatwić, a nie przez takiego cyrulika jak mój Berek.... Ot, szczęśliwy pan Kalasanty, ma już głowę spokojną, egzekucyi się nie boi, i bądź co bądź dobrą wziął cenę....

Kochany sąsiad westchnienie moje inaczej sobie wytłómaczył, bo powiada:

— Nie kłopocz się Adamie o przyjęcie gości, rzecz cała umówiona jest, że mości dobrodzieju wszystko ma być skromnie, bez kosztu. Żadnego wina, potrawa jedna aby coś przekąsić, najwyżej szklaneczka piwa, bez tych kur, bez legomin.... Ale ale, wiesz, będzie i ten sędzia sknera, on to mości dobrodzieju nastawał na skromne przyjęcie... Ciekawym, jak to będzie u niego.... jestem przekonany, że da kieliszek prostej wódki i chleb razowy z solą.... Więc nie ma co molestować nad obiadem, każesz dać cobądź, a jak chcesz, to moja żona przyjedzie i wszystko ci panie zarządzi; ona mości dobrodzieju to umie tak z niczego coś....

Podziękowałem łaskawemu sąsiadowi za taką gotowość pani, ale ponieważ spodziewałem się, że służba moja dziś powróci, więc myślę, damy sobie jakąś radę z przyjęciem.

V.

We czwartek tedy jestem już przygotowany jako tako na ową sesyjkę, a że mogę się podnieść i usiąść w fotelu, więc każę się przysunąć do okna i czekam, rychło kto zajedzie.

Najprzód pojawił się pan Apollo Komanowski, dzierżawca o milę odemnie mieszkający. Patrzę, cztery konie jak hamany w krakowskich chomontach z kolorowemi płachtami, a za niemi dryndulka jak piórko, tylko podskakuje niby wiązanka z grochowin za wozem. Pan Apollo chłopak młody, kawaler szukający bogatej żony, siedzi sam na koźle i leci jakby na złamanie karku, a za nim z tyłu drab w cudackiej liberyi z rękami założonemi na krzyż i z miną taką, jakby sobie drwił z całego świata. Pan Apollo huknął z bata na dziedzińcu, aż szyby za-

drżały w oknach, zeskoczył z kozła, konie poklepał po karku, taradajkę opatrzył, a dawszy dyspozycyę temu cudakowi, udającemu dygnitarza, aby parę razy wolno dziedziniec objechał, wszedł z butą do ganku.

Jak powiedziałem, pan Apollo Komanowski jestto modny kawaler dziarski, pełen siły i odwagi, syn dosyć zamożnych rodziców trzymający dzierżawę za tysiąc rubli dlatego tylko, aby bliżej być panny Malwiny, córki naszego sędziego pokoju, jak wiadomo panny z krociowym posagiem. Nie ma miesiąca, żeby choć na parę dni nie wpadł do Warszawy dla odświeżenia się, a jak przyjdzie karnawał, to żadna większa zabawa choćby o mil dziesięć nie może się obejść bez niego. Trzeba mu przyznać, jednakże, iż jest chłopak zgrabny, niezmiernie przyjacielski i wesoły; tańczy jak baletnik, a w dyrygowaniu mazurem — niezrównany. Hultaj, wywijając w pierwszą parę, ma minę pułkownika, bo komenda idzie mu jak z płatka, na prawo na lewo, naprzód, w tył, poruszają się za jego rozkazem wszystkie pary niby kompanie wojska na placu musztry. Stąd też kobiety nasze, nie wyłączając i mojej małżonki, są za nim jak jedna; pomimo że grzechów na jego głowie nie zliczyć, a Malwina sędzianka w

oczach prawie schnie z umartwienia, że stary pana sędzia ani sobie da mówić o jego konkurach.

Jaka to szkoda panie dobrodzieju, że nie ma teraz towarzyszów pancernych i chorągwi narodowych? Pan Apollo byłby jak raz pasował do służby na kresach, bo to panie siedzi na koniu jak przyrośnięty, dwa dni z rzędu może latać za chartami, jaskółki strzela w lot, i dwa pojedynki już odbył z honorem. Ot prawdę mówiąc, szkoda takiego chłopca na gospodarza. Gdzie jemu tam w głowie żyto albo kartofle. Siedzi na wsi, bo co dziś lepszego do roboty, ale jego tak puścić na stepy ukraińskie, aby harcował z Tatarem, to dla niego odpowiednie pole!

Otoż jedzie i pan Adolf także czwórką w angielskiej od srebra błyszczącej uprzęży w eleganckim wiedeńskim faetonie, wyświeżony, wymuskany i cały pachnący jak sklep z perfumeryą. Ten znowu co innego; znać że to człowiek salonowy, wyborny kandydat na jakiego szambelana przy dworze. Spodziewałem się, że będzie mi robił jakieś wymówki za żonę, i już przygotowałem się z ekskuzą, ale jakoś nie wspomniał o tem, lecz owszem powiedział, że pani jest słabą

na migrenę i z tego powodu przeprasza, że musieli tak nagle wyjechać.

Trzecim z kolei jest pan Dyonizy, dawny urzędnik sądowy i człowiek robiący ciągle jakieś interesa. Przyjechał także czwórką, która, sądząc z jej zapadniętych boków, karmi się więcej paragrafami kodeksu, aniżeli owsem. Pan Dyonizy ma dosyć obszerny majątek, jak to mówią na wyrobieniu, majątek składający się z dziesięciu oddzielnych nomenklatur, które on ciągle przerabia, łączy, rozdziela, nazwiska im nadaje, hypotekę reguluje, wreszcie niby to facyenduje niemi na kamienice w Warszawie, to na inne majątki, młyny, fabryki i lasy. Z tego powodu jest on prawie gościem w domu i to takim gościem, którego własne psy czasami nie poznają. Za to między żydami ma wielki miri respekt sławnego rabina. Niech tylko pokaże się w miasteczku, zgraje faktorów biegną na wyścigi do oberży, gubiąc pantofle po drodze. Tu po całych dniach wystawają przed bramą, cisną się do sieni, duszą w przedpokoju, tarasują drzwi swemi osobami, aby się tylko dostać do niego to z prośbą o radę w jakim procesie, to z jakąś tajemniczą propozycyą kupna lub zamiany majątku.

Sto pociech patrzeć i słuchać, jak pan

Dyonizy stroi sobie żarty z tych biedaków, jak nimi dyrygnje, jak prowadzi za sobą cały sznur rozpychających się i kłócących z sobą faktorów, z którymi nawet umie rozmówić się po żydowsku. Gospodarstwo u niego idzie niżej krytyki. Ma jeden folwark dla siebie, reszta w dzierżawie i to wypuszczanej od roku do roku za kaucyą, bo ciągle spodziewa się, że albo ziemia pójdzie w górę albo zrobi jaką facyendę, nie chce tedy być krępowanym. W towarzystwie jest to człowiek dość sztywny i wiecznie żartujący, ale w interesach twardy jak kamień.

A któż to się wlecze parą fornalskich koników na prostym wózku z półkoszkami? To pan sędzia pokoju Kozłowski, rzadki gość u mnie, osobistość nie bardzo lubiana w okolicy. Stary to już człowiek, przygarbiony, łysy, z ogromnemi do góry sterczącemi uszami, wygląda jak zając, kiedy nasłuchuje, zkąd idzie obława. Na pozór, spojrzawszy na tego jegomości w szaraczkowym odwiecznego kroju surducie, z białą chustką grubo okręconą koło szyi — zdawałoby się, że to jakiś oficyalista, który trzech zliczyć nie potrafi. Jedni powiadają, iż rzeczywiście nie dosłyszy, inni, że tylko udaje, ale to pewna, że zwy-

kle każdą rzecz każe sobie dwa razy powtarzać — a i tak mało co rozumie.

Pan sędzia posiada niewielki majątek, bo tylko dwa folwarki, co prawda, w dobrej ziemi, i choć gospodaruje po staremu, jednak zawsze mu się urodzi. Skąpy, za groszem dałby się do piekła zaprowadzić, musi tych groszy mieć niemało, bo na nic nie wyda, a wszystko co tylko da się sprzedać — sprzedaje. Z sąsiadów rzadko który do niego zajrzy, i ciekawym, po co tam jechać na pewne nudy i kluseczki z mlekiem na kolacyę. Srebra nawet, jakie mieli z żoną po rodzicach, sprzedał w War zawie, i kupił listy zastawne. Sędzia powiada, że teraz nie mogą kapitały leżeć martwo, a posrebrzanemi łyżkami tak samo smacznie się zajada, jak i szczerosrebrnemi.

Ci, co go dawniej znają, mówią, że dorobił się takiego majątku, chodząc dzierżawami. Prawda i to, że dawnemi czasy łatwiej było obywatelowi coś złożyć, bo dziś zje licha, kto majątek na wsi zrobi, kiedy na tego biednego obywatela wszyscy patrzą jakby na jaką kopalnię złota, z której każdyby rad zaczerpnąć.

A i sędzina sama to tak się dobrała do niego, jakby z tej samej wyszła co i on gli-

ny. Słyszaneż to rzeczy, żeby kobieta z dobrego domu i z edukacyą, bo panie po francuzku umie, na fortepianie gra i w wielkim świecie kiedyś żyła — teraz sama prowadziła gospodarstwo mleczne, pakowała masło do fasek i trudniła się chowem indyków jak jaka ekonomowa? Przyjdzie Wielkanoc, to ona po paręset sprzedaje tych indyków żydom, a najgorszą parę zostawia dla siebie....

— Ciężkie czasy na szlachtę, proszę asaństwa, i nie dla nas takie specyały.... Mieszczanie i żydzi mogą, bo oni mają na to, dla nas kasza i kluski.... — powtarza sędzia.

Przed rokiem najstarszy syn tych państwa skończył szkołę rolniczą i ojciec go oddał na praktykę do jakiegoś Niemca na Szląsku. Pan Kalasanty zrobił toż samo ze swoim, bo w żaden sposób jego Tadeusz nie mógł przejść do piątej klasy, z powodu owej greki i łaciny. Po miesiącu Tadeuszek drapnął ztamtąd i ojciec historye opowiada, co ten Niemiec wyrabia z nimi.

— Mówię sąsiadowi, szelma gonił ich do roboty od trzeciej godziny z rana do późnej nocy; kazał wozy nakładać, w kuźni kuć, przy maszynie snopki podawać, słowem, miał ich za parobków, a żywił kwaśnem mle-

kiem z kartoflami. Dwa razy na tydzień mięso, i to gotowane z różnemi sosami; wszystko jedno, czy to pieczeń, czy zrazy, czy befsztyk, tylko sos inny, a szczyptę kawy dawał na garniec wody, i powiada: pij pan Polak.... Moja żona jak zobaczyła chłopaka z zapadniętemi policzkami, to mało się nie rozpłakała; ani połowy z niego nie zostało, wszystkie suknie trzeba było przerabiać.... Niech tam sędzia zostawia swojego, niech mu się chłopak zmizeruje, ja mości dobrodzieju, nie doszedłem jeszcze do takiego postępu, żebym miał poczciwą krew szlachecką lada Niemcowi na usługi daremne sprzedawać.... Dość się nas już naobdzierają i bez tego. Proszę cię sąsiedzie, przez trzy miesiące żona dzień i noc karmiła chłopaka, nim się jako tako odżywił....

Ale cicho, sza, bo właśnie jedzie i pan Kalasanty wielką landarą w pięć koni. Na licha jemu takiej parady. Mieszka o pół mili odemnie. Chryste Panie, owies mój nieszczęśliwy dopiero będzie beczał! A czemże ja tu dosieję tej n wy za krzyżem... Już piętnaście koni gościnnych, po cztery garnce każdemu, aj aj.... co to będzie!

Patrzę, z landary wysiada Kalasanty, wysiada jejmość dobrodziejka, wysiada pan-

na Jadwiga, wysiada i ów zbiegły praktykant od Niemca pan Tadeusz... Cóż oni sobie myślą, że tu u mnie traktyernia, albo jaki bal!... Boże, zmiłuj się nad moją spiżarnią!...

Zły jestem, ale gniew tłumię, bo jakże tu w swoim domu być niegościnnym; więc śmieję się z wyrazem wdzięczności dla szanownej sąsiadki dobrodziejki, całuję tłuste jej łapki, dziękuję, rozpływam się i prawię komplementa Jadwisi, która płonie jak wisznia wobec pana Apolina, i trzyma się sukni mamy....

— Jakże tam biedna Idalka musi być niespokojna — mówi pani Kalasantowa, rozsiadając się na fotelu i wachlując chustką.

— Wątpię pani, żeby się niepokoiła, bo ona nic nie wie....

— O, mama już napisała wczoraj do wuja o tem, żeby panią Adamowę uwiadomił — dodaje panna....

— Jakto? pani napisała? — pytam z widocznem przerażeniem.

— Napisałam, bo jakże można, żeby kochany sąsiad zostawał bez opieki....

— Właśnie sobie nie życzyłem tego, już czuję się zdrowszym.... Zresztą pani Alfonsowa była tak łaskawą....

— Co to znaczy cudza opieka... Wiem, wiem, że pani Alfonsowa nie odstępowała pana na krok przez całe pięć dni....

— Ależ ja dopiero trzy dni jestem chory....

— No to przez trzy dni — dodaje półgłosem — i żeby nie pan Adolf, który uważał, że jej to szkodzi.... Ale co mi się tam wdawać w cudze sprawy.... Ja byłam gotową przyjechać, ale myślę sobie: młode rączki lepiej usłużą. Dopiero gdy dziś powiedział mi Kalasanty: jedź Monisiu, bo tam zebranie będzie i on nie da sobie rady — więc jestem.... A co to, nie podali jeszcze śniadania?

— Nie podali, gdyż panowie ci ledwo że wysiedli.

— Tembardziej z drogi, chociaż wódki i coś z wędliny.... Pozwoli sąsiad dobrodziej, że ja się tem zajmę i panią Idalię zastąpię.... Już to nie to, co pani Leonia.... Ona tak umie wszystko z szykiem! Ja, mój panie po staremu z Dygalską.... Tadeuszku, a wyjąłeś ogórki z powozu.... Uważa sąsiad, pierwsze dwa kazałam urwać z inspektów.... i trochę sałaty....

Szczęściem, że poszła przecie do oficyny, bo czuję, byłbym jej jakie ostre słówko

powiedział, taka mię złość wzięła za tę sąsiedzką opiekę.... Biedna żona niepotrzebnie się zmartwi, a pewnie jej napisała i o pani Adolfowej, dopiero będzie heca, no!

Panowie w drugim pokoju zaczęli sąsiedzką i bardzo ceremonialną zpoczątku pogawędkę, ma się rozumieć nie o sprawie, która ich tu sprowadziła, ale o pszenicy, że tępo idzie. Pan Kalasanty przeciwny jest bronowaniu, pan Dyonizy dowcipkuje, że daleko korzystniej byłoby samą szlachtę pobronować; Apollo utrzymuje, że nic tak nie niszczy koni, jak bronowanie, a pan Adolf donosi że ma już nową bronę czeską, którą umyślnie do bronowania pszenicy sprowadził. Podano wódkę i przekąski i jakoś dysputa umilkła; ja tylko mam na głowie pannę Jadwigę, która uważa za swój obowiązek bawić chorego sąsiada wtedy, gdy godny jej braciszek pali jeden papieros za drugim i tak mi pokój zadymił, iż formalnie oddychać nie mogę.

— Słyszałam, że pan mocno cierpiał....

— Tak jest pani, cierpiałem....

— Wierzę panu — ciągnie dalej, widocznie gwałt zadając swej nieśmiałości — bo sama raz doświadczyłam.

— Także bolu w krzyżach?... — mówię, aby dokończyć zdania.

— Nie — odpowiada, rumieniąc się po same białka — ja tylko raz w tańcu....

I zatrzymała się, pokryta szkarłatem....

— Cóż tedy w tańcu?... Trzeba zaś państwu wiedzieć, że panna Jadwiga wychowana jest tak skromnie, że lada o co oblewa się pąsem jak piwonia. Znając to usposobienie panny, i chcąc się zemścić na niej za matkę, która mi tu nie wiedzieć po co przywiozła do zabawy całą rodzinę, zaczynam się gwałtem dopytywać, co to było w tańcu.

Patrzę, płomienie na twarzy panienki znowu jadą pod oczy.

— Pan sobie tylko ze mnie żartuje....

— Jak honor kocham panno Jadwigo — mówię, przybierając minę poważną — szalenie jestem zaciekawiony.

— Otóż nie powiem panu, kiedy tak....

— Jak to być może? Wszak pani sama zaczęła.... No cóż, może pani zwichnęła w tańcu rękę?...

— Nie rękę....

— To może serce, jeżeli to było w tańcu z panem Apollinem...

— Eh, kiedy z panem nie można mówić, jak mamę kocham!..

— Więc niechże pani sama powie, bo daję słowo, jak mi pani każe zgadywać, to Bóg wie, do czego dojdę. I to nie, i to nie....

— Udaje pan, jak mamę kocham udaje — otoż zwichnęłam nogę.... kończy zakrywając sobie twarz rękami.

— Jak to nóżkę, może jeszcze razem z pończoszką?

— Eh.... nieznośny pan jesteś! — zawoła z pewnym grymasem, i zerwawszy się krzesła, wybiega do drugiego pokoju.

No, myślę sobie, pozbyłem się jej dość prędko i na czasie, bo jak raz widzę, że Goldfinger jednym konikiem i biedką wjeżdża na dziedziniec.

— Ej sąsiedzie sąsiedzie! — mówi grożąc mi palcem Kalasanty, wchodząc do kancellaryi — chory i stary, a chce mu się jeszcze panny sekować.

— Co takiego?

— Jadwinia powiada, że nie mogła tu z sąsiadem wytrzymać... Zobaczysz, powiem ja to wszystko żonie, i coś więcej.... Nie bój się, widziałem jakeś czułe oczy robił do Adolfowej.... Prawda, że ładna, niech ją moster dobrodzieju kule biją.... Ale, ale, uważasz sąsiedzie, nie masz tam co przepłukać po tej

wódce.... szynka jest paradna, ale piekielnie słona.

— Nie mam, zapowiedzieliście, że ma być skromnie.

— Tak, no prawda, ale sklaneczkę porteru....

— Kiedy nie wolno.... Sędzia niezawodnie by protestował....

— Przecież piwo pozwolone....

— Kiedy nie mam....

— Porter toż samo jest co piwo. Słód, chmiel nic więcej, a że jest czarny, piwa znów klarowne, — to mała rzecz; esencyo ta sama, tylko że w Anglii robiona....

— A i owszem, jest tam jeszcze kilka butelek, więc bądź łaskaw sąsiedzie i każ służącemu przynieść. Ja tylko nie biorę odpowiedzialności za przekroczenie umowy.

— No, no, no... powiedział machnąwszy ręką i wybiegł....

Za chwilę słyszę, mój porter strzela w jadalnym pokoju, a pan Dyonizy, maczając wąsy w pianie, tylko mi grozi.

— Znać pana po cholewach. Szanowny sąsiad bierzesz na *fis* ubogą szlachtę. Pomyślałeś sobie: chcieliście piwa — macie piwo, choć droższe od wina....

Sędzia porteru nie wziął do ust, pan

Adolf był zadąsany, ale mimo to wypili dwie butelki.

Znowu turkot przed oknami, znowu czwórka siwoszów parska, i jeszcze nie zdążyłem obrócić głowy, kto taki, gdy słyszę w sali jadalnej wołania:

— Karol, Karolek, pan Karol!

Nim on tedy przywita się i wycałuje ze wszystkimi, pozwolicie, że powiem parę słów o tym Karolu. Szlachcic także i sąsiad, poczciwa dusza z krwią i kościami, ale przytem okrutny krzykała i jeszcze okrutniejszy nieprzyjaciel żydów. Ognie na niego biją, kiedy mu kto wspomni o nich. Zaczyna się zaraz unosić, skakać, pięścią bić o stół, a siwe jego oczy, które i tak już siedzą mu na wierzchu jak u zająca — zdaje się że z osad swych powyskakują. Jak rok jest długi, w Górkach u niego żaden żyd nie może się pokazać. Wszystkie psy we dworze i na wsi tak już znają swoją komendę, że na widok długiej kapoty warczą, pokazując białe zęby.

Pan Karol niewielką ma wioseczkę, gospodaruje dobrze, ale na tej wioseczce siedzi prócz jego rodziny matka żony z dwoma córkami na wydaniu, jego babka, dwie siostry już bez pretensyi do wydania, a wreszcie zawsze jeden lub dwóch podtatusiałych niby

to konkurentów do panien, niby rezydentów, niby nauczycieli do jego dzieci. Przyznacie, że gromadka nielada, bo nigdy mniej czternastu osób nie siędzie do stołu, a wszystko to ludzie zdrowi i z doskonałym apetytem. Poczciwy szlachciura krzyczy, hałasuje, piorunuje na złe czasy, a mimo to jest najniższym sługą wszystkich domowych, przed matką zaś żony chodzi na palcach i powiada, że mądrzejszej i lepszej kobiety nad panią prezesowę nie ma na całym świecie.

Ale oto i on w moim pokoju, mężczyzna średniego wzrostu, chuderlawy, z twarzą wygoloną i głową już prawie bez włosów.

— Jak Boga kocham, Adasiu, nie mogłem cię prędzej odwiedzić — woła, ściskając mię żylastemi rękoma. — Podatki, egzekucya, historye... Gdzież tu naszemu bratu wyłożyć na stół siedmset rubli w tych czasach. Ja do żyda nie pójdę, bodajby niewiem co było — nie pójdę.... A cò słyszałem, że i sąsiada dobrodzieja ubrał ten arendarz, hę?

— Jak to?

— No, obstawił cię pijawkami, żebyś się nie mógł ruszyć....

— Potrzeba było, gdyż zachorowałem....

— He, he, wierz ty tylko. Jak Boga kocham umyślnie to zrobił, żebyś został na

jego łasce.... To są prawdziwe pijawki.... Ot widzisz, hę.... jak ten szakal Goldfinger kręci się koło domu ... A jak to się skrada.... Dał ja bym ci!...

— No, ale sąsiad już masz pieniądze na podatki?

— Zebrałem jak można. Trochę mi ksiądz pożyczył, trochę chłopi.

— Ot, szczęśliwy jesteś!

— Gdzietam szczęśliwy, sąsiedzie kochany. Wprawdzie z chłopami jestem dobrze, ale nim to oni się namyślą, nim złożą, nim porachują — to parę dni zejdzie...

— A coż im sąsiad płacisz procentu?

— Ja — procentu? Dobrze, że tak wezmę. Doprawdy nie rozumiem, zkąd u mnie takie poczciwe chłopstwo się bierze, bo uważasz, trzymam to zawsze ostro....

— Eh, darowałeś im ogród i chatę na szkołę....

— Co to za chata?... starzyzna. Ale mówię ci, czegoś się zakochali we mnie od dawnych czasów, dalibóg, że nie wiem za co. Jeszcze przy uwłaszczeniu, pamiętasz, kieto zjechał komisarz, to oni do niego powiadają: „Niech ta wielmożny dziedzic wszystko za nas podpisze, bo wiemy, że się nam żadna krzywda nie stanie....“ Uważasz, panie

Adamie, i tak mnie tem zajechali, że dałem więcej jak chciał komisarz. Jak Boga kocham, sami to słyszeli, a komisarz panie tylko gębę otworzył.... U mnie taka natura, kiedy dać, to dać!... Jakże u sąsiada siewy? dzięki Bogu wczoraj skończyłem.

Powiadam mu, w jakim jestem kłopocie, że pieniędzy nie mam i owsa nie mam, a on na to:

— Pieniędzy to i ja nie mam sąsiedzie, i jak Boga kocham, nie wiem, czy się sto złotych znajdzie, ale owsa zostało mi z pięćdziesiąt korcy; przysyłaj choćby dziś i bierz!... Dobry owies, czysty marczak....

— Ale może sąsiad tam potrzebujesz na obroki?

— Już ty nie pytaj a bierz. Na obroki dostanę sobie od chłopów, oni mi p życzą do nowego... Ten stary Kolasa, znasz go, taki prowodyr chłopski, sam ma ze trzydzieści korcy.... ale żydowi nie chce sprzedać.... więc ja od niego wezmę i oddam z nowego.... Zresztą kobiety moje uszyją dla jego wnuków parę czepeczków w procencie i będzie chłop kontent. Mówię sąsiadowi, ich byle czem można zadowolnić.... a kobiety to umieją....

Po śniadaniu, w godzinę może, podano obiad Pani Kalasantowa na gwałt do mnie,

jak to może być bez legominy. Cóż to sąsiad chcesz się na gadanie wystawić!

— Kiedy zakazali...

— Wierz im tam, wierz, oni zakazują, a potem obgadują. Kazałam dorobić budyń i dodać indyczkę....

Tak więc z małego objadku, dzięki gorliwości mojej sąsiadki, zrobił się porządny obiad z pasztecikami nawet, na które umyślnie musieli zabić cielę, przeznaczone już do chowania. Mnie z krzesłem przysunięto do stołu, a gdyśmy spożyli sztukę mięsa, Kalasanty nachyla się w moją stronę:

— Adasiu, słuchajno, czyby nie podać jedną butelczynę choćby tego cienkosza po cztery złote....

— Ja nie żałuję, ale sam powiedziałeś, będą krzyczeć....

— No, no, to ja już na siebie wezmę te krzyki. Przecież u dyabła jeszcze nie zbankrutujemy, jak się da gościowi kieliszeczek wina.

— Nie wolno! — rzecze, dosłyszawszy to pan Adolf — żadnych kosztownych przyjęć....

— Pozwolicie panowie, ja was rozsądzę — odzywa się pan Dyonizy. — Byłem przy uchwale w oberży i powiedziane było:

przyjęcie bez kosztów, a że wino nic nie kosztuje, bo już jest w piwnicy....

— Naturalnie! — dorzuca pan Karol — bo jakże tu moi panowie obradować z pustym żołądkiem....

— Zresztą, jeżeli mamy wykorzeniać zbytki — rzecze znowu Dyonizy — to trzeba zacząć od piwnicy. Usunąć złe, żeby nie było na przyszłość pokusy....

Sędzia tylko na to głową kiwał i uśmiechał się ironicznie, a wielkie jego uszy tak się podnosiły, że zdawało się, jeszcze bardziej urosły. Mimo próśb i zaklinań, że to jest stypa szlacheckich zbytków, nie wypił ani kropelki.

— Pan sędzia dobrodziej — mówi do niego pani Kalasantowa — to jesteś tak uparty.,.. jak....

— Kozieł, prawda? — przerywa swoim szepleniącym głosem. — Bo ja też nazywam się Kozłowski. Ciężkie czasy mościa dobrodziejko; wino to tylko dla mieszczan i żydów, oni mają na to....

— Gdzietam u pana sędziego złe czasy, daj Boże każdemu taką biedę.

— Pani dobrodziejko, nikt nie siedzi w cudzej kieszeni, a ja mówię panom otwar-

cie, w tym roku zrobiłem trzydzieści tysięcy długu.

Wszyscy naraz otworzyli usta ze zdziwienia, a po chwili zaczęto się śmiać naprawdę.

— Sędzio kochany — krzyczy pan Karol — komu to świat durzyć....

— Daję panom słowo uczciwego człowieka, że tak jest — odpowiada stary, wzdychając ciężko.

— Żebyś mię tu sędzia dobrodziej w kawałki posiekał, to nie uwierzę.... Ho, ho, ja mam nos dobry i wiem kto p życza.

— Na niewiarę trudna rada.

— Za pozwoleniem — wtrąca pan Dyonizy ze zwykłem ironicznem skrzywieniem twarzy.

— Że nie od żydów, to ja głowę daję — mówi pan Karol, chodząc wielkiemi krokami po pokoju.

— Za pozwoleniem — ciągnie znowu swoje Dyonizy — od kogo sędzia pożyczył?

— Z banku.

— Z jakiego banku, no z jakiego?

— Z Czarnego — mówi spokojnie stary.

Znowu spojrzeliśmy po sobie z tym samym uśmiechem niewiary, a siedzący na ubo-

czu pan Apollo widziałem, tą wiadomością był mocno zaalarmowany.

— No — rzecze z fantazyą pan Karol — chyba niedługo będzie już koniec świata, jeżeli sędzia pożycza....

— Za pozwoleniem — dodaje pan Dyonizy — mam ja do czynienia już z tylu bankami i na palcach znam ich nazwiska, ale o jakimś Czarnym Banku pierwszy raz słyszę.... Chyba on i czarne pieniądze wypożycza.

— Jest mociudzieju, jest — powtarza swoje stary — i prawda, że daje czarne pieniędze, bo przesiąkłe pracą i potem.... Ale co tam moi panowie będziemy dyskutować o rzeczach niemających związku z celem naszego zebrania. — Ot dzięki hojności gospodarza dobrodzieja jedliśmy już dwa razy, więc wypadałoby przystąpić *ad rem.* Niech sąsiad dobrodziej każe posprzątać ze stołu i tu sobie zrobimy sesyjkę.... Panie może odpoczną....

— Nie, nie, nie, ja jestem niezmęczona — mówi na to pani Kalasantowa, pakując resztki leguminy na talerz owemu synowi zamorzonemu u Niemca — Jedz, jedz, moje dziecko, bo to szkoda, żeby zostało, ciężkie czasy.... Panowie debatujcie, a my będziemy się przysłuchiwać....

VI.

Gdybym ja to zamiast czystego arkusza papieru i zapasu wyrazów gotowych spływać po piórze miał do rozporządzenia scenę teatralną z personalem zdolnych artystów, którzyby każdą z opisanych powyżej osób przedstawić mogli — czytelnicy mieliby jakie takie pojęcie tej sesyi obywatelskiej, którą ja wprawdzie dziś widzę jeszcze przed sobą, ale niestety, opisać nie potrafię. U mnie na papierze mówi tylko jeden i to jak mówi, nie może się jednocześnie przedstawić z grą fizyonomii, która jej towarzyszy, nie może podnieść lub zniżyć głosu, nie może go akcentować jak to się dzieje na scenie. A cóż dopiero opowiedzieć, gdy kilku naraz zacznie się odzywać z odpowiednią mimiką i modulacyą głosu, która szczególniej cechuje naszego pana Karola, człowieka najruchliwsze-

go i najbardziej nerwowego, jakiego kiedybądź znałem. Darujcie przeto, że zrobię co mogę, zdając sprawę z tego posiedzenia. Wszelkie braki i niedostatki proszę sobie wypełnić imaginacyą.

Na pierwszem miejscu siedzi sędzia, z twarzą poważną jakby z marmuru była wykutą. Od czasu do czasu poruszają mu się tylko uszy razem ze skórą na głowie, a małe szare oczka przypatrują się wszystkim, jakby się zdawało, bez żadnej myśli.

— Oto moi panowie i łaskawi sąsiedzi — rzecze przytłumionym i nieco zająkliwym głosem — zaprosiliście mię na swoje zebranie, abym dał głos w sprawie, która zbyt blisko nas wszystkich obchodzi. Że sytuacya nasza jako rolników i obywateli ziemskich jest złą — ja sam przyznaję, a choć nie bardzo skory jestem do mięszania się w sprawy sąsiedzkie, uważam jednak za święty obowiązek nigdy się od nich nie wyłączać, gdy idzie o dobro publiczne. Ze zmianą stosunków naszych z włościanami, musi nastąpić zmiana w urządzeniach gospodarskich, a choć i przedtem moi szanowni sąsiedzi, dużo było złego, które nas mogło prędzej lub później do ruiny zaprowadzić, to jednak nie było tak wyraźnej jak dzisiaj. Brak kapitału nakłado-

wego, brak taniego kredytu, zbytnie przeciążenie długami, trochę lekkomyślności w wydatkach, za wiele dobrego serca, czy niedbałości o swoje, a wreszcie brak odpowiedniego naukowego wykształcenia, oto są podług mnie najcięższe długi nasze. Więc mości panowie, chcąc się ratować, my starzy dajmy sobie pokój z jakąś radykalną reformą. Urodziliśmy się, wychowali i zestarzeli w tych warunkach, i żebyśmy tu niewiedzieć jak przyrzekali, a nawet przysięgali, że się odmienimy, to się nie odmienimy, albowiem wiadomem jest, że *consuetudo altera natura*....

— To znowu jest przesadzone, mości dobrodzieju! — przerywa z miną junacką Kalasanty. — Ja wszystko z siebie mogę zrobić, jak chcę.... Pamiętasz matko — mówi, zwracając się do żony — jak to mię dawniej nie można było wyciągnąć z łóżka o ósmej, a teraz wstanę nieraz o czwartej..

— I bez budzenia! — potwierdza pani.

— Eh, mości dobrodzieju — zaczyna cicho i wolno pan Karol — bo sędzia dobrodziej na wszystko patrzy przez czarne okulary....

— Nic dziwnego, ma do czynienia z Czarnym bankiem — dorzuca z szyderczym uśmiechem Dyonizy.

— A jednak ja będę powtarzał swoje, że temu nie kto inny jest winien jak tylko żydzi.... — odzywa się pan Karol, zapalając się coraz bardziej. — Żydzi i tylko żydzi są naszą prawdziwą zgubą! I dopóki będą w kraju, nigdy się nic nie poprawi.... Ja myślę panowie, żeby ich tak razem w gromadę zebrać i *fort* do Palestyny!.... Jak Boga kocham, gotów jestem wszystko sprzedać, ostatnią koszulę zdjąć, aby ich tylko gdzieś wyprawić daleko za morze....

— Panie Karolu! — próbuję i ja się odezwać wśród tego uniesienia szanownego mowcy, któremu widzę już krew zanadto uderza do głowy — ależ od tylu lat u nas żydzi są i my byliśmy, a jakoś nie było tak źle ...

— Ba, ale jacy to żydzi byli, a jacy są dzisiaj? Panowie, jaśnie wielmożni panowie, karetami jeżdżą mości dobrodzieju, pałace mają.... Dał ja bym im karety.... do Palestyny, do swego kraju....

Naturalnie, że wszyscy tylko uśmiechali się, słuchając tych dowodzeń pana Karola, lecz on zapala się coraz bardziej, i tak dalece się zaperzył, że dziesięć razy może przytykał pustą fajkę do świecy, i cmokał ustami i cmokał, nie uważając, że bez tytoniu palić się nie chce....

— Jabym sądził, panowie — rzecze na to pan Adolf z miną głębokiego przekonania — że jedynym środkiem ratunku, byłoby zaprowadzenie racyonalnego, na wzór zagraniczny gospodarstwa, sprowadzenie machin, któreby siłę ludzką zastępowały...

— I stały w błocie na grobli... — dorzuca Dyonizy.

— A głównie moi panowie — mówi dalej, udając, że nie słyszy przycinku sąsiada — zużytkowanie ziem odłogiem leżących, mianowicie wydm piaszczystych....

— Po zmarnowanych lasach — odgryza znowu Dyonizy.

— Pochlebiam sobie panowie, że na tym punkcie zrobiłem pewne odkrycie, które może nam zapewnić stałą i korzystną rubrykę dochodu....

— Przepraszam pana, że mu przerywam — mówi sędzia — ale zdaje mi się, odbiegamy od przedmiotu. Pozwólcież więc, niech ja dokończę swego, a potem rozpoczniemy formalną dyskusyę...

Uciszyli się wszyscy, pan Karol spostrzegł, że nie ma w fajce tytoniu, i zaczął ją nabijać z taką energią, jakby tam żydów a nie tytoń pakował, sędzia zaś mówił dalej:

— Powiedziałem, że nam starszym tru-

dno się już przerobić, jednak ratować się potrzeba i należy, a do tego uważam dwie tylko drogi. Pierwsza, zbadać dokładnie i bez żadnych illuzyj stan majątkowy każdego, czy może dalej prowadzić gospodarstwo lub nie. Jeżeli pokaże się z tego, że może z pewną pomocą, trzeba obmyśleć środki tej sąsiedzkiej i obywatelskiej pomocy....

— Z Czarnego banku... — wtrąca Dyonizy.

— Tak jest, z Czarnego, aby tylko nie z lichwiarskiego.

— Ja się piszę nawet na turecki — dodaje Karol. — Sędzia ma racyę, byle nie z żydowskiego....

— Kto zaś nie może istnieć, niech się likwiduje — ciągnie swoje sędzia — byle coś z tego uratował i inne życie rozpoczął. Niestety, panowie, gospodaruję w tej okolicy lat trzydzieści, i narachowałem, że siedmnastu obywateli wyszło z majątków swoich z kijem dlatego tylko, że nie wiedzieli, jaki jest stan ich interesów, a spostrzegli się wtedy, gdy już nie było ratunku. Zgodzicie się panowie, że niepodobna jest przecie w ciągu jednego lub dwóch lat ze wszystkiem zbankrutować — musiała ta historya ciągnąć się dłużej.... Otóż, moi łaskawi sąsiedzi, jestem tego zdania, że-

byśmy się tu szczerze i otwarcie wyspowiadali, jak kto stoi, a potem uradzili tak samo szczerze i serdecznie, jak sobie radzić. To jest jeden środek, który ja proponuję. Drugi ważniejszy może od poprzedzającego, bo sięgający przyszłości jest, rozpocząć radykalną w wychowaniu naszych dzieci reformę, aby one już wzrosły na nowym gruncie odpowiednio do potrzeb i wymagań dzisiejszych. Nie chcę się szeroko o tem rozwodzić, ale ograniczę się na jednej, jedynej propozycyi: dajmy sobie panowie słowo, że każdy z synów naszych przeznaczony do gospodarstwa, czy do innego zawodu, skończy jeżeli już nie wyższe szkoły specyalne, to przynajmniej cały kurs gimnazyalny! Skończyłem, moi panowie....

Patrzę, oblicze pani Kalasantowej, pana Kalasantego, ich zamorzonego syna, tudzież pana Apolina i trochę pana Adolfa poczerwieniały, jakby je kto alkiermaszem oblał. Zapanowała głęboka cisza, wśród której czasami Kalasanty chrząknie, Apollo obróci się ku oknu z intencyą obserwowania pogody, Karol zaś, włożywszy jedną rękę do kieszeni, wypuszcza tak ogromne kłęby dymu z cybucha, że zdaje się nie tytoń w fajce, ale posadzka pod nim się pali.

— Więc podług opinii sędziego dobrodzieja — odzywa się wśród ciszy pan Dyonizy — to my wszyscy, żeby się uratować, powinniśmy iść do gimnazyum.

— Ach, szanowny panie rejencie (dawniej pan Dyonizy był pomocnikiem notaryusza okręgowego), mówiąc o naszej szlacheckiej przyszłości, nie miałem pana rejenta dobrodzieja na myśli.... Gdzieżbym śmiał tak wysoko utalentowanej osobie jego coś podobnego proponować. Wiem, że pan znasz prawa na wylot.... Ja to piłem do naszej dobrodusznej i ciemnej szlachty, która kodeksów i procedur nawet z okładki nie zna.... Przepraszam, jeżeli to pan brałeś do siebie....

— To ci uciął Malchusowi ucho! — szepnie mi półgłosem pan Karol....

— He, panie dobrodzieju, dobrze to wszystko co sędzia powiedział — mówi trochę zakłopotany Kalasanty — ale i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Co gimnazyum — głupstwo.... jak nie ma logiki tu...

— A, bo pan sędzia — dodaje pani — chciałby wszystką szlachtę tylko do Niemców pooddawać na naukę.

— Tak, pani dobrodziejko, bo tam się mogą nauczyć pracy i oszczędności.

— I zamorzą z głodu!

— Trudna rada, proszę pani dobrodziejki — ja myślę, że nie mamy zamiaru dzieci naszych tuczyć na wagę...

— Ale panie! — zawoła już zirytowany Kalasanty — w zdrowem ciele zdrowa dusza... Ja to po sobie wiem, panie dobrodzieju.... I choć na wasserzupce się nie wykarmiłem — to panie dobrodzieju nikt mi tego nie powie, żebym był głupi.... Daj Boże, aby mój syn tak gospodarował jak ja....

Widząc, że tu zanosi się na małą burzę wywołaną zbyt szczerem przemówieniem sędziego, i wiedząc z drugiej strony, że mój szanowny Kalasanty także coś wyżej nad cztery klasy nie skończył, zagadałem sprawę tem, żeby uprosić pana Adolfa o wyjaśnienia owego użytku z wydm piaszczystych....

Zdaje mi się, że przez ten manewr zaskarbiłem sobie do śmierci życzliwość pana Adolfa. Wstał on widocznie tem zaproszeniem wzruszony, a wyjąwszy dość spory rękopism z kieszeni, odczytał wcale dobrze wypracowaną i cyframi popartą rozprawę o zużytkowaniu wydm piaszczystych pod uprawę szparagów. Szanowny prelegent sam osobiście zwiedzał podobne zakłady za granicą, obliczył ile karp szparagowych mieści się na morgu, pokazał wcale dobrze narysowany pla-

nik, obliczył koszta zasadzenia, porobienia dołków, wartość użytej mierzwy, a w końcu, przytoczywszy prawdopodobną ilość kóp szparagów, postawił ich cenę minimalną piętnaście groszy za kopę. I cóż państwo powiecie, że z tej napozór niedorzeczności urosła cyfra czystego dochodu trzysta złotych z morga! Wszyscy byliśmy tym projektem zachwyceni, a panu Kalasantemu tylko się oczy śmiały na samą myśl, jakby on to mógł pałaszować codzień po całym półmisku tej ulubionej jarzyny. Pan Dyonizy jak zwykle musiał wystąpić z dowcipkami, że za tę cenę jużby się opłaciło krowy karmić szparagami, ale ten jego dowcip zimno został przyjęty.

— Szanowny sąsiad dobrodziej — odzywa się po długiem myśleniu sędzia Kozłowski — bardzo umiejętnie i wyczerpująco całą rzecz przedstawił, i nie zaprzeczam, że pomysł jego może kraj uszczęśliwić w przyszłości, ale ja zawsze stać będę przy swojem: zacznijmy od tego, żeby każdy syn obywatelski skończył gimnazyum.

Po panu Adolfie wystąpił pan Apollo z pomysłem, aby wobec tego, że produkcya ziarna, przy braku i drożyźnie robotnika, przy groźnej konkurencyi Ameryki, nieopłaca się rolnikowi, zarzucić uprawę wszelkich

zbóż, a wziąć się do hodowli koni, szczególniej dla kawaleryi i do wyścigów.

— Panowie — mówi w końcu — przy obecnej dążności zaprowadzenia powszechnej służby wojskowej, niedługo cała Europa stanie pod bronią, a wtedy zkąd weźmie koni? Otóż interesem naszym panowie, mieć te konie dla Europy!

— Szanowny sąsiad — odzywa się na to pan Dyonizy z powagą — zapomniał jeszcze, że Europa prócz koni potrzebować będzie i skór na rynsztunki wojenne. Otóż jestem zdania, żebyśmy proponowaną hodowlę koni rozdzielili na dwa kierunki. Połowę przeznaczyć dla kawaleryi, a połowę na skóry; hodowla tej drugiej połowy, może być nawet daleko korzystniejszą od pierwszej.

Wniosek ten wywołał powszechną uciechę w zgromadzeniu, nawet po zwiędłych wargach sędziego przebiegał sardoniczny uśmiech, a pan Karol zerwawszy się z krzesła, ucałował w głowę Dyonizego, dziękując za taką poprawkę.

— Uznaję, że pomysł pana Komanowskiego — mówi sędzia — również ma wielką doniosłość dla przyszłości naszego gospodarstwa, i oddaję hołd jego inicyatywie, ale

pozwólcie panowie, że ja zawsze stać będę przy swojem: zacznijmy od gimnazyum!

— Widzę, pan Apollo usiadł jak zmyty, a zły, że tylko mu się białka świecą w oczach — bo rzeczywiście to *caeterum censeo* było cokolwiek za dotkliwe — aleć trudno było mnie, jako gospodarzowi, monitować sędziego.

— No, moi panowie i sąsiedzi — odzywa on się po chwili — wypadałoby przystąpić do owej obywatelskiej spowiedzi stanu interesów naszych. Nie można pisać recepty, nie zrobiwszy wprzód dyagnozy choroby. Pozwólcie, że zacznę od siebie nie dlatego, żebym się miał chwalić lepszą sytuacyą od innych, ale dlatego, że choć sam jeszcze nie potrzebuję nagłego ratunku, to mogę go jutro potrzebować, a dziś, jako mający swobodniejsze ręce, być komuś pomocnym.

Wszyscy nadstawili uszy w stronę sędziego, a pan Komanowski, widocznie najbardziej interesowany w tej sprawie, nawet przysunął się blizej z krzesełkiem.

Nie będę powtarzał szczegółów bilansu majątkowego sędziego, bo ten dla czytelników jest obojętnym, to tylko powiem, że jak on się z mowy jego przedstawił, to nie był tak znowu świetnym, jakeśmy dotąd sądzili.

Z kolei jako gospodarzowi, dano głos

mnie. Biorąc rzecz na seryo, aczkolwiek z przykrością, przedstawiłem szczerze i otwarcie sytuacyę moją, nie zataiwszy nawet długów kieszonkowych i familijnych zobowiązań. Sędzia słuchając tego, notował sobie na papierze cyfry podawanych ciężarów, tak samo jak notował i swoje, a gdym skończył i spojrzał po sąsiadach, widziałem, moja spowiedź zrobiła niebardzo korzystne wrażenie. Wszyscy milczeli, poruszając wąsami, co wywołało w mej duszy pewien rodzaj przestrachu, jakby u człowieka, który w tej chwili dopiero zobaczył przepaść pod nogami.

— To prawie tak samo jak ja — odzywa się Karol, ocierając chustką pot spływający mu po łysinie. — Ale mości dobrodzieju, jakoś to musi się poprawić. Ja zawsze wierzę w Opatrzność Boską i że każde złe jak dojdzie do punktu kulminacyjnego, musi się obrócić na lepsze. Albo ziemia pójdzie w górę, albo ceny się poprawią, albo żydzi pójdą do Palestyny.... coś takiego się zrobi, co będzie inaczej.

W trakcie tych rozmów, widzę przez otwarte drzwi kancelaryi, stoją tam arendarz Berko z Goldfingerem i dają mi znaki, że się chcą ze mną widzieć — gdy pan Kalasanty prowadzi z żoną pocichu rozmowę. Daję

znak ręką żydom, żeby się zatrzymali, bo właśnie pan Dyonizy zaczyna swoie sprawozdanie. Powiada, że chwilowo jest w ambarasie z powodu utrudnionego kredytu, ale po odebraniu wynagrodzenia za grunta włościańskie spodziewa się, że nawet część długu Towarzystwa kredytowego zapłaci i będzie miał ze swoich ośmiu folwarków co najmniej trzydzieści tysięcy złotych polskich dochodu.

Westchnąłem ciężko i na nowo zabolało mię serce na wspomnienie swej doli.... Mój Boże, ten człowiek nigdy w domu nie siedzi, gospodarstwa nie pilnuje i jakoś się trzyma.... Widocznie zarabiać dużo musi na spekulacyach.... Tąż samą minę miał i arendarz mój, Berko, stojący naprost mnie w drugim pokoju, bo wytrzeszczywszy swe czarne oczy, tylko się kiwa i kiwa, przestępując z nogi na nogę. Zato Goldfinger cały zajęty jest szperaniem w grubym zatłuszczonym pugilaresie, z którego wyciągając różne skrawki papieru, umieszcza je między palcami drugiej ręki.

— Ja, panie dobrodzieju, prawdę powiedziawszy — odzywa się Kalasanty — nie mam żadnych naglących długów. Jest tam trochę na hypotece, ale to wszystko niewymagalne. Zaległo się dwie raty Towarzystwu,

bo panie dobrodzieju ciężki jestem do zmiany papierów procentowych, które się raz kupi.... Dlatego panowie, ja nie mogę się przyznać, żebym źle stał.... Sprzeda się czasem naprzód jak teraz sto par, ale dzięki Bogu wełnę mam jeszcze, i starego zboża coś się znajdzie.... Ot tak gdybyśmy mieli jaki kredyt w banku, na pięć procent, aby sprzedaży naprzód uniknąć, byłbym za tem — byle moi panowie nie ręczyć za nikogo, bo kto za kogo ręczy, tego dyabeł męczy....

Nie mówię już o panu Adolfie, ten powiedział, że jeżeliby potrzebował kredytu, to tylko na melioracye, na założenie szparagarni, a głównie na kupno ulepszonych narzędzi rolniczych sposobem spółki i że w tym celu gotów jest swoją młocarnię parową po cenie kosztu przyszłej spółce obywatelskiej ofiarować. O długach nie wspominał, lecz owszem dał poznać, że jeszcze nie wziął posagu za żoną, a ten posag wyniesie jakąś drobnostkę, coś około pół miliona mniej więcej....

Spojrzę na Goldfingera — ten ciągle zajęty jest przewracaniem szpargałów i zakładaniem ich między palce ręki, z czego utworzył się rodzaj wachlarza, którym zaczyna powiewać ku mnie. Oglądam się tedy, szuka-

jąc służącego, żeby mię do kancelaryi zaprowadził, a tu słyszę przed oknami ktoś z bata buch raz, buch drugi raz, i żółty wózek węgierski, zaprzężony parą tłustych mierzynków, zatacza się przed ganek.

— Kto to być może? A któżby jak nie pan Feliks, sąsiad także, kawaler podtatusiały, jedyne utrapienie sióstr pani Karolowej, którym od kilku lat serca i głowy zawraca. Ubrany w kurtę myśliwską i w buty, z wąsami, któreby mogły przestraszyć samego Borutę, pan Feliks w towarzystwie gromady psów, wpada z taką miną, jakby uciekał przed pogonią. Charty, ogary, wyżły i jamniki rozbiegają się jak szalone po całem mieszkaniu węsząc i wspinając się na stoły, gdy mój służący wnosi wielki czarny futerał, zdaje się że z fuzyą, bo ma kształt podłużny.

— Jak honor kocham, nie mógłem wcześniej. Wczoraj dostałem pozwolenie na broń, a tu dziś panie przynoszą mi z poczty awizo, że nadeszła dla mnie nowa dubeltówka z Warszawy. No, niepodobna było nie jechać do miasta.... Co to za strzelba, powiadam panom, to cacko a nie broń.... arcydzieło.... Na drodze próbowałem, bije, niech ją trzysta kul porwie....

— Może odtylcowa? — zapytuje Komanowski.

— Ma się rozumieć, któżby dziś inną kupował... Wszystkie kapiszonówki niech idą w kąt, w rękę wziąć nie warto.

Prócz mnie i sędziego, cała rada obywatelska porwała się z krzeseł, bo to wszyscy są zapaleni myśliwi, a takiej strzelby jeszcze w naszych stronach nie widziano. To też, gdy pan Feliks wydobył ją z puzderka, każdy wyciągał rękę aby się dostać, każdy oglądał, każdy medytował i składał się jakby do strzału, podczas gdy kobiety z ogromnym przestrachem uciekały do drugiego pokoju.

Zapomniano o sesyi, zapomniano o krytycznem położeniu szlachty, bo nad ową dubeltówką rozpoczęły się gorące debaty. Pan Adolf widocznie czuł się urażonym, że ktoś przed nim sprowadził sobie broń nową, której on jeszcze nie miał, więc oglądał ją z lekceważeniem i krytykował zewnętrzne wykończenie.

— Eh panie kochany — rzecze pan Karol — ta to fuszerka!

— Co wy się znacie na tem! — mówi Feliks, pokazując, jak to się wkładają naboje, ak się podnoszą kurki i jak znowu uderzają w igłę.

— Ba, ba, ba.... papierowa strzelba! Dziękuję uniżenie za jakieś tutki, szpilki, klapki.... Jak Marynię kocham, jabym tak fuszerskiej strzelby nie wziął do ręki.... To ma być dziwer, to?... Pomalowali Niemcy.... jak Boga kocham, potrzej palcem, a cały dziwer zejdzie.... Oszustwo — nic więcej.... Gdzie.... ani się umywała do mojej Lebedówki.... Tandeta!

— Dajmy na to, że tak jest — rzecze rozdrażniony pan Feliks — ale ci rznie panie dobrodzieju pięć razy na minutę....

— Bodajeś tak zdrów był, jak to prawda — krzyknie wytrzeszczając oczy mój Karol. No — dodaje, klapnąwszy adwersarza po ramieniu — o zakład, czy ja ze swojej nie wystrzelę więcej razy jak ty ze swojej.

— Daj pokój, nie znasz się!

— Co, ja się nie znam.... Mój kochany, ty nie masz tyle włosów na głowie, ile ja już strzelb przerzucił.... Ale co fuszerka to fuszerka.

Broń ciągle przechodziła z ręki do ręki, a syn pana Kalasantego cały był w zachwyceniu, oglądając mechanizm.

— Próbowałem; o sto kroków bije jak w dłoń — woła wśród gwaru pan Feliks.

— Jeżeli ona o pięćdziesiąt trafi, to będę pies!

— No stań o sto dwadzieścia, spróbuj!

— O sto dwadzieścia? — ja ci o czterdzieści stanę i wal do mnie.... Jakie to lufki.... co to za wykręcenie.... Dla dzieci mój Feliksie, dla dzieci....

Sprzeczają się tedy coraz to żywiej, Kalasanty występuje w obronie; Dyonizy docina, Feliks się rzuca, a Karol bije w stół ręką z zapalczywości.

— No załóżmy się!

— Załóżmy się!

— O co?

— O kosz szampana!

— Dobrze kosz szampana!...

— Panowie biorę was na świadków!

— I ja was biorę....

— Zgoda, pójdźmy do ogrodu....

Ja tu probuję odciągnąć to jednego to drugiego, przekładając mu ciszej, że nie wypada starego sędziego tak opuszczać, że trzeba skończyć narady, lecz tak się to wszystko zacietrzewiło, że każdy powiada: dobrze, dobrze zaraz, a tym czasem słyszę sprzeczają się o śrót, jakim ma odbyć się próba strzelania, na ile kroków, kto ma strzelać i t. p. Idą nowe zakłady, pan Karol szuka papieru

i gada, a zagadawszy się chwyta ów arkusz leżący na stole przed sędzią, na którym właśnie wypisane były nasze grzechy szlacheckie, i ogromnym węglem przyniesionym z kominka maluje wielkie czarne koło, a w tem kole punkt środkowy mający służyć za cel do strzelania.

Nakoniec cała ta gwarna gromada, na podobieństwo gromady wróbli czubiącej się i świergotającej w jesieni, wynosi się do ogrodu. Zostajemy obadwaj z sędzią przy stole i patrzymy na siebie.

— Hm — niczego się nie nauczyli — odzywa się stary, poruszając skórą na głowie — jeszcze za mała bieda na nas.... Wiesz co łaskawco, każ niech tam mój człowiek zaprzęga.

— Daję słowo uczciwości — mówi powracając Dyonizy — jaka to krew gorąca u tej szlachty.... pan Karol koniecznie chciał stanąć za cel....

— Czy to być może?...

— Tak jest stanął i powiada: strzelaj!

— Za pozwoleniem — rzecze bardzo uprzejmym głosem Dyonizy, siadając obok sędziego — jestem zaciekawiony nad wyraz tą nazwą *Czarnego banku*, o którym pan sędzia raczył wspomnieć. I łamię sobie głowę,

i myślę i nie mogę dojść, co to może być za bank z podobną nazwą?

— Hm, na cóż to panu ta wiadomość? Ten bank jest tylko dla prawdziwie potrzebujących ratunku, a asan dobrodziej stoisz tak dobrze, że daj Boże każdemu.... Ot gospodarz dobrodziej, ja.... to co innego — z nami jest rzeczywiście krucho ...

— No, tak, zapewne — mówi Dyonizy — jednakże nie zaszkodzi wiedzieć. Czasami, uważa sędzia dobrodziej, wypadnie ... jakiś interes korzystny się trafi, a jeżeli w tym banku warunki niecięźkie i procent umiarkowany, to dlaczegóżby nie skorzystać?

— Sądzę, że trudno będzie dostać się panu rejentowi do niego, ale jeżeli chcesz koniecznie, to ci powiem, że ten Czarny bank jest u mnie. Przed trzydziestu laty mości panie, kiedyśmy to jeszcze nie mieli takiego rozumu, jak wy teraz, bo dziś w trzech klasach gimnazyum więcej się człowiek nauczy, niż wtedy w uniwersytecie — i ja też nie rachowałem się bardzo z kieszenią. Wydało się na to, na owo, na głupstwa niepotrzebne, i trafiło mi się, że naraz mię pewien żyd za parę tysięcy złotych stradował tak, że i mebelki sprzedali ... Żle, mości dobrodzieju, powiadamy sobie z żoną, hola bratku,

a dokądże to dójdziesz w ten sposób.... chyba na starość przyjdzie ci iść z kijem.... Więc tedy rada w radę, powiadamy sobie: wszelkie niepotrzebne wydatki na bok — a co roku trzeba przynajmniej parę tysięcy złotych odłożyć na czarną godzinę....

— Więc to z takiego banku sędzia dług zaciągnął?

— Z takiego, proszę acana, bo sprawiwszy sobie żelazną skrzynię, składaliśmy do niej oszczędności i powiedzieliśmy, to nie nasze, ale banku czarnej godziny. Przez te lat trzydzieści wypadło nieraz udawać się do niego o pomoc, bank pożyczał, ale mu się oddawało z procentem. Tak też i teraz, mówimy sobie z żoną: bieda jest na świecie, z sąsiadami krucho, żydzi się panoszą, korzystając z chwili, więc ona mówi do mnie: Jedź stary na tę sesyę, i jak będziesz uważał komu można, to się da z Czarnego banku.... Dzięki Bogu, inaczej się rzecz pokazała, panowie wszyscy nie potrzebujecie, chyba jeden pan Adam. Dlatego też proszę acana dobrodzieja — mówi, zwracając się do mnie — co ci potrzeba, to przyszlij, a Czarny bank pożyczy, *nota bene* w listach zastawnych. Inaczej nie daje, tylko w listach z kuponami, bo żadnych procentów nie bierze....

Nie wypadało, jak tylko podziękować serdecznie szanownemu sąsiadowi, gdy pan Dyonizy, okrutnie smutną zrobiwszy minę, cichaczem wyniósł się znowu do ogrodu, gdzie strzały padały jeden za drugim jakby na wojnie jakiej. Konie sędziego zaszły przed ganek, on wstał, propozycyę swoją powtórzył, a pożegnawszy się ze mną, słyszałem jak jeszcze, wsiadając do wózka, powtarzał półgłosem:

— Do gimnazyum proszę acaństwa dobrodziejstwa.... do gimnazyum..

Korzystając z nieobecności moich szanownych sąsiadów, zaprosiłem Goldfingera z Berkiem, którzy musieli coś z rozmowy mojej z sędzią usłyszeć, bo widzę Goldfinger miękki jak wosk....

— Powiedz mi — mówię do niego — co ty masz za papiery między palcami, i czegoś tak na mnie ciągle kiwał, kiedy ci panowie opowiadali o swoich interesach?

— No, niech ja jasnemu panu powiem prawdę. Ja żyd jestem, a żyd u panów to już musi być wszystko złe, jakie jest na świecie.... Ale mnie to zgniewało bardzo, jak ten pan Kalasanty chwalił się, co on dobrze stoi, i ten pan Dyonizy, i pan Adolf. Na co to udawać, kiedy taki uczciwy pan jak ten

sędzia chce im dopomódz. To ja powyjmował ich rewersa i kwitki, co oni mnie samemu są winni.... Niech jaśnie pan patrzy: ten dwanaście tysięcy, ten siedm tysięcy, od tego już mam wełnę na drugi rok kupioną, a pan Adolf tę maszynę, co stoi na grobli, koniecznie chce sprzedać za dwa tysiące rubli, a ona kosztuje pięć.... Z przeproszeniem jaśnie pana, to jest brzydko na panów....

— Dajmy pokój, co tam zajmować się cudzemi sprawami — ot powiedz mi, czy pożyczysz sześćset rubli?

— Na co jaśnie panu, skoro ten sędzia daje.... Ja mógłbym tylko kupić z nowego.

— On dla jaśnie pana — mówi mi do ucha Berek — weźmie tylko po złotemu od korca.

Namyślam się tedy co robić, a tu cała gromada, powróciwszy z ogrodu, sunie wprost do mnie.

— Słuchaj Adasiu! — krzyczy mi nad uchem Kalasanty — byłbyś wiesz czem, żebyś od sędziego przyjmował jakieś łaski. Skrobek mości dobrodzieju, uczciwej łyżki strawy nie da, jak się do niego zajedzie, a teraz chce występować jak dobroczyńca jaki. Pal go licho, żyliśmy dotąd bez niego i żyć

będziemy, tylko uważasz, trzeba mieć silną wolę....

— Przyznaję — mówi pan Adolf — że to jest impertynencya. Formalnie drwił sobie z nas, mówiąc o tem gimnazyum.... Na twojem miejscu wolałbym Goldfingerowi dać po trzy na miesiąc, niż czuć się wdzięcznym takiemu pyszałkowi.... Wielka rzecz, że tam zebrał kilkadziesiąt tysięcy.... Kutwa, sknera, żyłownik — żyje jak parobek.... Każdy toż samoby potrafił, gdyby chciał.... Ale człowiek cywilizowany, ma przecie jakieś poczucie wygód i smak estetyczny....

— Ma chęć na prezesa przy następnych wyborach — dorzuca pan Dyonizy.... Taki człowiek nie robi nic bez rachunku....

— Wszystkobym mu darował, mości dobrodzieju — rzecze Karol — tylko że procesuje się z chłopami, to źle.... U mnie panie takie rzeczy odbywają się na miejscu.... przyjdzie na skargę który, że go drugi palnął, ja mówię: pal go tak samo.... i zgoda.... Z naszym chłopem trzeba umieć, i za złe mam wszelkie wodzenia się po sądach.-

Jak tedy wszyscy zaczęli kwokać nademną, jak złe duchy nad grzeszną duszą, że trzeba się trzymać za ręce, że trzeba takim półpankom nosa utrzeć, że jednością

świat stoi, a między wronami nie należy inaczej krakać jak one — tak w końcu zaczynam spoglądać na Goldfingera innem okiem i myślę sobie, że trudno się odłączać od gromady.

Aż tu mój żyd, co mu się pewno w życiu nie trafiło i nie trafi, wziął na wspaniałomyślność i powiada:

— Wie jaśnie pan, choć ja nie jestem sędzią, ale prosty sobie żyd kupiec — to ja tak samo jaśnie panu pożyczę tych sześć set rubli bez żadnych procentów....

Wszyscy wytrzeszczyliśmy na niego zdziwione oczy....

— Ale mój panie Goldfinger, ja nie żądam.....

— Da jemu jaśnie pan jakie parę korcy pszenicy na mace — dodaje po cichu mój przyjaciel Berek — i baryłkę okowity na szabas....

— Dobrze, dam — mówię na to — bo ja za darmo nie chcę...,.

— No, ja nie wymagam.... jaka będzie łaska jaśnie pana; to tylko chciałem powiedzieć, niech ja już wszystko zboże i okowitę od jaśnie pana kupuję....

Bracia szlachta mało nie uściskała żyda za taką wspaniałomyślność; Goldfinger dał

na trzy miesiące sześćset rubli, a jak sobie potem obrachowałem tę pszenicę i okowitę w procencie, to wypadło mi coś półtora czy dwa od sta na miesiąc.

Otóż w ten bardzo niewinny sposób, a jak się zdaje, wielce budujący, zakończyło się pierwsze nasze zebranie obywatelskie w celach zaradzenia dokuczającej nam biedzie. Wprawdzie bieda się odwlekła, bo zapłaciwszy podatki, nie obawiałem się owych dwudziestu konnych i brzęczących egzekwentów, ale Goldfinger przez taki czyn wspaniałomyślny, został do ostatnich dni mego gospodarowania generalnym kupcem w Sieciechowie, i wyprowadził mię panie, jak wielu podobnych Goldfingerów obywateli ziemskich wyprowadza.

Na drugi dzień przyjechała żona, tak żarliwie uprzedzona przez wuja pani Kalasantowej o mojej chorobie. Biedna kobieta, dz prostej lekkiej bryczce pędziła mil dwanaieścia w śmiertelnej trwodze i niepokoju o moje życie. Szczęściem, że przejeżdżając koło dworu sędziego, spotkała go przed bramą, a on ją co do mej osoby zupełnie uspokoił.... Sędzia, zaprosiwszy na pół żywą ze zmęczenia i głodu kobietę do siebie, opowiedział jej, jak przed chwilą co opuścił ten

dom pan Kalasanty, proszący o zaliczkę z owego Czarnego banku. Naturalnie, odprawiony został z kwitkiem, tak samo jak i pan Dyonizy, który w tym samym celu sążnisty list do sędziego napisał, prosząc o przebaczenie, że za przykładem innych uniesiony fałszywą ambicyą, musiał stan swoich interesów w korzystnem świetle wystawić.....

— Panie Kalasanty dobrodzieju — mówię do niego coś w tydzień potem — czegoś mię ty tak zdurzył i namawiał, żeby nie brać od sędziego a sameś pojechał prosić o pożyczkę?

— Ja, ja, pojechałem do niego z prośbą o pożyczkę? W imię Ojca i Syna — mówi, żegnając się lewą ręką.

— No, przecież sam mówił mojej żonie.

— A to dopiero faryzeusz! — krzyknie z twarzą zapłonioną od gniewu. Żeby on tak zbawienia wiecznego dostąpił, jak to jest prawda!....

— Więc pocóżeś jeździł?

— Po co? Pojechałem powiedzieć mu słowa prawdy, że mości dobrodzieju tego.... jak to się nazywa.... znamy się na farbowanych lisach mości dobrodzieju.... tego i niech on sobie nie myśli.... Adasiu, sąsiedzie dobrodzieju, ty znasz mój stały charakter od

lat tylu, ty wiesz, że jabym prędzej z głodu jak pies umarł pod płotem, aniżeli do jakiego pana rękę wyciągnął... Dzięki Bogu nie jest tak źle ze mną jak się zdaje. Człowiek narzeka, bo to już taki zwyczaj szlachecki, ale mości dobrodziej i patrz.... są jeszcze liściki zastawne u mnie.... oj są...

I wyjąwszy ów historyczny zielonego koloru list zastawny, rzucił go z fantazyą na stół...

— No sam powiedz, czy człowiek, który nosi z sobą takie pieniądze, może potrzebować kredytu? A to mości dobrodzieju czysta infamia!

W końcu wypada mi się jeszcze wytłómaczyć przed czytelnikami, dlaczego ten obrazek z dawniejszego życia naszej szlachty nazwałem *sielanką*... Bo muszę przyznać takim zjazd nasz nazwał pewien Naczelnik Wojenny, przed którym w dwa tygodnie potem musieliśmy stawać wszyscy, jako oskarżeni o nielegalne strzelanie podczas stanu wojennego. Jakiś żandarm, czy inny tego rodzaju agent przejeżdżał wtedy przez wieś i usłyszawszy taką przez całą godzinę pukaninę zaraportował swej władzy. Mieliśmy

dosyć biedy, nim zdołalismy wytłumaczyć temu panu całą historyę i zjazdu i strzelania. Szczęściem, że chciał temu uwierzyć i cała sprawa skończyła się na niczem; tylko pamiętam to dobrze, iż żegnając nas w swej kancelaryi powiedział:

— Moi panowie, jeżeli już tak koniecznie chcecie się bawić w sielanki szlacheckie, to bardzo proszę nie strzelajcie więcej....

Sprawa tedy sielanek i zjazdów tego rodzaju należy już do historyi; a że każda historya, choćby podobnego ustępu z codziennego życia społecznego, może być zwierciadłem, w którem warto, aby się i teraźniejszość przeglądała — podaję ją do publicznej wiadomości, a jeżeli się bardzo gniewać nie będziecie, to może da Bóg podam i więcej.

Część II.

I.

Opowieść moja traktować będzie, moi państwo, o zakręceniu głowy Proszę się jednak nie przerażać! Nie mam zamiaru opisywania tego rodzaju okrutnej operacyi jaka się u nas na głowach młodych wróbli. a w państwie Dahomeju podobno i na głowach ludzkich praktykuje... Moje zakręcenie głowy, ma się rozumieć męzkiej, należy do tak zwyczajnych wypadków w codziennem życiu, że każdy, kto to przeczyta, pomyśli: ma racyą — bo te kobiety czasem, jak się uwezmą, to tak skotłują głowę człowiekowi, tak nią pokręcą, pomajaczą i zawirują, że nieraz potrzeba iść aż do zwierciadła, żeby się przekonać, czy też głowa siedzi jeszcze na karku?...

Czego się mam zapierać! mnie samemu trafiały się takie rzeczy już nieraz i nie dwa, lecz nigdy w tak dokuczliwy sposób,

jak przed kilku laty, kiedy zjechało do nas na wieś aż pięć dam miejskich w gościnę.

Wprawdzie po tem wszystkiem mam jeszcze głowę całą i, jak się zdaje, na swojem miejscu, lecz gdyby po przeczytaniu tej humoreski łaskawe czytelniczki inaczej osądziły — to wina za moje nieszczęście niech spadnie na cały ród kobiecy, jako moralnie za czyny swoich jednostek odpowiedzialny.

Przypominam sobie, że mój stryj nieboszczyk, człowiek wielce popędliwego charakteru, tetryk, egoista i kutwa, zwyczajnie jak stary kawaler — częstokroć mawiał:

— Bodaj ten z piekła nie wyjrzał, kto w Kobylance kościół wybudował.

Frazes ten, na którego bluźnierstwo zawsze się oburzałem, dzisiaj, biorąc rzecz na głębszy rozum, miał pewną racyę. Z tytułu bowiem owego kościoła, w każdą niedzielę i święto dwór Kobylański przyjmować musiał co najmniej dwa tuziny osób z sąsiedztwa, które, oddawszy cześć Panu Bogu, uważały za konieczny obowiązek złożyć także uszanowanie sędziwemu stryjowi. Po odspiewaniu tedy suplikacyi, spadało to wszystko gromadą do dworu z końmi, stangretami, mamkami, niańkami i sporą kollekcyą latorośli obywatelskich, jak wiadomo po wszy-

stkie czasy obdarzonych najlepszym apetytem.

— Bo czego stryj zaprasza? — odzywam się na to, widząc, jak lata po pokoju, trze czuprynę, chrząka, spluwa, a kości policzkowe to mu tylko raz wyskakują, drugi raz się chowają pod oczami.

— Dobry asan jesteś! — krzyknie mi nad uchem. — Ludzka rzecz prosić, a ludzka rzecz nie przychodzić! Cóż to oni sami nie rozumieją tego, że mnie sześćdziesiąt razy na rok najeżdżają! Jak honor kocham, tak za byle co sprzedam Kobylankę, i wyniosę się gdzieś na pustynię, żeby tam do mnie i pies nie trafił...

Otóż w takiem samem, a kto wie czy nie w gorszem położeniu był wasz uniżony sługa, nie z przyczyny kościoła parafialnego, bo tego nie ma w Małych Długach, wiosce podług hypoteki do mnie nibyto należącej — ale z przyczyny płynącej tuż za ogrodem rzeki, słynnej z wybornej górskiej kąpieli i tak bystrego prądu, że każdy inny prócz mnie na nogach by się tu utrzymać nie potrafił.

Powiedzcie czytelnicy sami, czy to nie jest prawdziwa ironia losu te moje Małe Długi! Sąsiad mój taki stary kawaler jak ja, posiadający Wielkie Długi, hypotekę ma

czystą jak łza i sto tysięcy gotówki w papierach indemnizacyjnych. Ja posiadam tylko Małe Długi, a na hypotece jeden bank, drugi bank, skarb państwowy, i trzech Herodów z Sambora, ale to Herodów mordujących dwudziestym piątym procentem już nie dzieci, ale takich starych jak ja obywateli!

Wiedzą o tem doskonale i oba rzeczone banki, i trzej Herodowie samborscy, że nikt inny sumienniej i uczciwiej ich majątkiem by nie zarządzał niż ja, dlatego pozwalają mi siedzieć do czasu w Małych Długach i ciągną ostatnie żyły z człowieka

Z powodu więc tej hipoteki, a raczej tych rat bankowych i innych dolegliwości pieniężnych, przybyłem w maju do Lwowa. Brakowało mi pięciuset guldenów, żeby nie dopuścić licytacyi Małych Długów, po które jak w dym uderzyłem do ciotki Prudencyi, wdowy po pewnym sekretarzu. Osoba ta ma dzisiaj lat może czterdzieści, i jest niezmiernie uprzejmą dla pana kapitana Szyrokiego, który znowu na mocy tej uprzejmości zajada co niedziela smaczny obiadek z wybornym strudlem i gęsią wątróbką.

Pan Szyroki przynajmniej nie kłamie swemu nazwisku. Postawa jego rzeczywiście jest nietylko szeroka ale i wysoka. Twarz

ma okazałą, wąsy jak konopie, a cera podobna do barwy psującej się brzoskwini. Kapitan od roku już zajada owe strudle i gęsie wątróbki, wynosząc pod niebiosa wszystkie te smakowite rzeczy — ale nie ciotkę. Pani sekretarzowa jednak nie traci nadziei, że kiedyś przyjdzie i kolej na nią, ma ona bowiem swoje tajemne znaki, po których doskonale miarkuje, że kapitan ma się ku ciotce.

Nie potrzebuję tu przekonywać czytelników, jak człowiek potrzebujący pożyczyć pieniędzy jest nadzwyczaj czułego usposobienia ducha, jak mu wszystko jest miłe, co miłe jest naprzykład cioci Prudencyi. I Misia chwytająca milczkiem za łydki, i pani Ignacowa, kucharka, chodząca zawsze z miną środy zadąsanej na piątek, i owe kanarki, sypiące ci tak rozkosznie piaskiem na łysinę, jeżeli siądziesz pod klatką, a cóż dopiero syn Marsa osoba dystyngowana, w błyszczącym mundurze, przy szabli, osoba mająca się do ciotki.

— Serwus — mówi do mnie kapitan, gdym przyszedł na obiad.

— Serwus szanownego kapitana mojego — odpowiadam, biorąc go za obiedwie ręce i całując prawdziwie po szlachecku, po-

mimo że drugi raz w życiu dopierośmy się widzieli, i pomimo to że pocałowanie z powodu niezwykłych objętości naszych żywotów przychodziło nam z pewną trudnością.

— Dzielny byłby z niego wujaszek — szepczę do ciotki, całując ją w rękę.

— Idź precz ty swawolniku — odpowiada, dając mi małego klapsa....

— Cóż ciocia chce, dzielny mężczyzna! A choć źle mówi po polsku, to w swej sympatycznej fizyonomii ma coś tak po naszemu poczciwego, jakby się w Małych Długach urodził....

Uważałem, ciotka już była w siódmem niebie i żebym był w tej chwili tak z kopyta powiedział:

— Ciociu dobrodziejko, pożycz pięćset reńskich, oddam ci, jak Boga kocham za dwa tygodnie — byłaby dała bez wahania. Ale że człowiek pod tym względem nie może się jeszcze pozbyć starych tradycyj, podług których do tak ważnego aktu potrzeba pewnych form i przygotowań, pewnej desperackiej miny, pocierania czoła, westchnień i tym podobnych oznak rozpaczy, któreby spowodowały zapytanie się: „a cóż ci takiego mój Ksawery?“ więc i wtedy straciłem przyjaźną chwilę, a język stanął mi kołem.

— Cioci nie pytam o zdrowie — rzeknę, głaszcząc w delikatny sposób wciąż pyrkającą Misię — bo wygląda jak róża....

— Gdzież ty masz oczy, Ksawery? — odpowiada na to z kwaśną miną, a zebrawszy rączką potężny fałd sukni na piersiach, mówi — patrz, jak zeszczuplałam!

— Eh, co to szkodzi ciotuniu, ale za to figurka zgrabniejsza i twarz taka interesująca. Prawda kapitanie, że nasze Polki nigdy się nie starzeją?...

— O, tak — potwierdził kapitan z galanteryą, strzepując pył z munduru.

Ciotka w rzeczy samej byłaby wcale niebrzydką osobą, gdyby jej tak odmienić nosek zanadto podobny do gruszki, powiększyć oczy, i dać im pewien oznaczony kolor, wreszcie żeby jej ująć z tuzin latek.

Przy tem wszystkiem jeszcze ciotka trzyma się zawsze nadzwyczaj sztywnie, jakby to była nie prawdziwa kobieta ale tylko sklepowa lalka, ubrana w modną suknię — humor ma jednostajnie kwaśny, o czem najlepiej może powiedzieć faworytka Ignacowa, właśnie dlatego faworytka, że nigdy na gderania ciotki ani słowem nie odpowiada....

— Żartujesz Ksawery, bo ja naprawdę jestem chora. Lekarze wysyłają mnie konie-

cznie do górskich kąpieli na świeże powietrze. Zamierzałam już pisać do ciebie, ale myślę sobie, zrobię wam subjekcyę...

Jadłem wtedy strudel i przyznaję, o mało się nie zadławiłem z przerażenia....

— Żadnej, moja ciociu, i owszem, prosimy....

— Dacie mi ten pokoik w murowańcu, umeblowanie skromniutkie, łóżko, stolik, parę krzeseł. Na wsi przepadam za wszelką skromnością; ściany czyściutko wybielone, jakaś gałązka winogradu, zaglądająca do okna, świeże powietrze, mleko, i dosyć

— Postaramy się, kochana ciociu, żebyć była kontenta..

— O, pod tym względem możecie być spokojni. Nie wiem, czy jest na świecie druga kobieta mniej wymagająca odemnie. Cobądź gdzie bądź, aby tylko ta kąpiel górska — prawda kapitanie?

Nie mogłem już dojeść strudla, bo czułem, że nie obróci mi się na zdrowie — i oto macie czytelnicy kandydatkę na numer pierwszy do zakręcania głowy.

Prośba o pożyczkę poszła już łatwiej, niż sądziłem; ciocia kazała sobie wystawić weksel płatny za dwa miesiące z procentem dziesięć od sta.

— Jak będę wyjeżdżała od was, to mi oddasz, zda się na drogę, bo wypadnie jeszcze pojechać do morza..

Filut babina, ani myślała jechać, lecz tak powiedziała umyślnie, abym wiedział, że bez owych pięciuset guldenów odemnie nie wyjedzie.

Już na samem pożegnaniu z miną nadzwyczaj błagalną szepnęła mi, wskazując głową na kapitana: Zaproś i jego na parę dni.

— Spodziewam, się że i pan kapitan będzie łaskaw — mówię, podając mu rękę na pożegnanie — choć na parę dni. Droga to niedaleka, od kolei dwie mile....

— A bardzo dziękuję panie Ksawery.... zawołał kapitan — Skorzystam z zaproszenia choćby na jeden lub dwa dni.

I ucałowaliśmy się znowu z takim samym trudem, jak przy powitaniu, aż ciotka poklepała mię po ramieniu z radości.

— Zawsze poczciwy jesteś i dobry mój Ksawerciu, tylko też bój się Boga, nie zapomnij o terminie... Ja muszę jechać do morza, prawda kapitanie, słyszałeś, jak doktór mówił.

Kapitan potwierdził, a ja, wymknąwszy się na schody, tylkom sobie westchnął, pomyślawszy, co na to powie moja żona, która

Prudencyi na oczy znosić nie może?... Oj będzie to, będzie!

Zatkawszy trochę usta, jednemu i drugiemu bankowi, zostawiwszy sobie coś dla urzędu podatkowego, i na trzewiki dla żony (dla mnie bowiem już na kapelusz nie zostało) odszukałem znajomego mi emeryta, byłego urzędnika dyrekcyi skarbowej. Chodziło mi o napisanie trzech rekursów przeciw urzędowi wymiaru należytości, i jednego podania do ministra o rozłożenie na raty, zalegającej na Małych Długach opłaty spadkowej.

Pan Stanisław Grzywacz, pensyonowany radca i dawny przyjaciel nieboszczyka ojca, jest to wysoki, chudy, z białemi wąsami mężczyzna, którego często spotkać możecie chodzącego po Jezuickim ogrodzie z tak groźnie zachmurzoną twarzą, iż zdawałoby się, gotów za cobądź zmierzyć bambusową laską każdego przechodnia.

Właśnie w tej chwili kiedy wszedłem do jego pokoju, emeryt mył się jak kaczka, i takie wydawał przeraźliwe głosy, tak parskał, rżał i pyrchał — jakby tam czyszczono przynajmniej parę generalskich wierzchowców.

Pokój radcy wygląda jak gabinet biurowy. Wysoki jesionowy pult, cały pobryzga-

ny atramentem, stoi bokiem do okna, przy nim zamiast krzesła tak zwany koń, na którym pół stojąc, pół siedząc pracuje z rana pan Stanisław. Na półkach biórka pełno papierów tak samo i na krześle tuż obok, a na wierzchu równiuteńko ułożone małe kawałki różnych ołówków, dwa pióra, jeden scyzoryk do czyszczenia stalówek, drugi do temperowania, a wreszcie wielki kałamarz nakryty okrągłą tekturką, przy nim drewniana miseczka z piaskiem i szufelką z karty do nabierania.

Emeryt z amatorstwa tylko trudni się dawaniem informacyi w różnych interesach skarbowych, a jak mnie się zdaje, głównie dlatego, aby nabawiać kłopotu radcę, swego następcę, przez cytowanie w podaniach takich dekretów kancelaryi nadwornej i rozporządzeń ministeryalnych, z któremi ten nowicyusz rady sobie dać nie potrafi.

Gdy wyszedł do mnie w szlafroku, z włosami jak druty sterczącemi na głowie, z twarzą jak piwonia, myślałem, że widzę przed sobą Plutona, który dopiero co opuścił podziemia piekielne.

— Ja znowu z prośbą do szanownego konsyliarza — odzywam się po przywitaniu, wyjmując papiery. — Muszę zrobić rekurs do dyrekcyi....

— Ale o co rzecz idzie?

— Nic, tylko o rekurs....

— Kto wie czy rekurs„ trzeba znać rzecz całą, a potem decydować.... proszę mówić.

— Z pewnością rekurs, tylko idzie, jak go wystylizować.

— No, kiedy wiesz, to idź sobie z Panem Bogiem i stylizuj — mówi, oddając mi papiery.

— Ależ panie konsyliarzu, byłeś tak łaskaw przyrzec....

— Ja nic nie przyrzekam, dopóki nie usłyszę i papierów nie przeczytam.... Wam szlachcie na wsi zdaje się, że to tak napisać rekurs, jak zagon wyorać.... Mój panie Ksawery, na tem trzeba się znać.... Mój następca dwanaście lat przy mnie pracował, a nieraz tak mnie szuka po ogrodzie rano, i zachodzi i pyta, jak, co, ale.... wam zaś to tak łatwo powiedzieć, rekurs, rekurs....

Objaśniłem mu rzecz całą, on swoją drogą przeczytał nakaz płatniczy, podumał, uśmiechnął się, a wziąwszy z biurka pożółkły od starości zeszyt, cały zabryzgany i zadrukowany po niemiecku, obrócił się do mnie i powiada:

— Przyjdź o godzinie piątej, a wszystko będzie gotowe.

— I w tej drugiej sprawie?

— A jak ty jesteś ciekawy! Co będzie potrzeba, to się zrobi.... to już moja rzecz.

— Jednak ja chciałbym wiedzieć, żeby na przyszłość....

— Mój kochany, powiedziałem ci, że następca dwanaście lat był przy mnie i kręci się nieraz, ho, ho, ja wiem, jak się kręci, a ty chcesz, żebym cię na poczekaniu wszystkiego nauczył.... To nie wyorać zagon albo list do sąsiada napisać, oj nie....

Cóż miałem mówić. Konsyliarz tak wysokie znaczenie przywiązuje do znajomości ustaw finansowych, dostępnych tylko dla fachowych, że słów żałuje, gdy idzie o takiego jak ja profana.

Już na wychodnem, stary chwyta mię za rękaw.

— Słuchajno Ksawery, u ciebie podobno jest rzeka?

Mrowie mnie przeszło na wspomnienie rzeki, ale mówię:

— Jest.

— Górska?

— Tak.... niby górska.... ale kamieni moc....

— To nic, sprzedają takie słomiane pantofle.... tylko czy bystra?

— Dosyć bystra.

— Bo widzisz, Anielce mojej kazali wyjechać na odpoczynek gdzieś w góry. Ja mam tu tyle spraw do załatwienia i to terminowych, że z nią w żaden sposób jechać nie mogę, a tak uważasz puszczać samej dziewczyny nie wypada. Gdyby tam był jaki kącik u was....

— I owszem, panie konsyliarzu, bardzo nam będzie przyjemnie....

— Ale uważasz, ja zapłacę za jej utrzymanie.

— Cóż znowu, panie konsyliarzu....

— Inaczej nie. Znam twoje położenie, a nawet i bez tego nie mogę żądać, aby ktoś za darmo żywił moją córkę....

— A konsyliarz dla mnie tyle łaskaw, że się trudzi za darmo nad mojemi interesami.... Jakże to nazwać?

— To co innego, to nic nie kosztuje Zresztą, robię to dla dobra służby. Tym dzisiejszym panom zdaje się, że wszystko umieją i wszystko znają.... Dobrze jest czasem, jak mi ktoś da twardy orzech do zgryzienia.

— Ja znowu na to nie przystanę, żeby konsyliarz miał płacić....

— W takim razie bierz swoje papiery i daj mi czysty pokój.... Anielka nie pojedzie, a mnie zrobisz tę przykrość, że kto inny napisze ci nędznie rekurs, a ja tu już zrobiłem pułapkę....

Ceremoniowaliśmy się jeszcze z kwadrans, konsyliarz się uparł i musiałem przystać na zapłatę.

Rzeczywiście nie chodziło mi tu o tę bagatelę, lecz o moją szanowną małżonkę, która, zamknąwszy się od lat dwóch w Małych Długach, nie chciała ani wyjeżdżać nigdzie, ani u siebie przyjmować. Powiada, że kto jest w takiem położeniu jak my i ma troje dzieci, ten nie powinien myśleć o żadnych przyjemnościach — inaczej pójdzie z torbami.

Z torbami jak z torbami, to chyba nie tak prędko, ale że wszelkie przyjęcia kosztują i czas zabierają — to także prawda. Siedzimy więc sobie cicho i tego rodzaju najazd nie może być na rękę.

A co do panny Anielci, to znam ją bardzo dobrze, bo nawet był czas, że jej się zdawało, jakobym względem niej miał się ten tego. Niestety, bardzo często zdaje się jej coś podobnego, choć to już panna w pewnych latach, nawet wykształcona, lecz nadzwyczaj

zarozumiała i pozwalająca sobie zarzucać ludziom w oczy, że nic nie umieją i nie wiedzą. Mojej żonie także też na rezonie nie brakuje — więc co to będzie, jak się tak zjadą razem? No, ale trudna rada, jakże tu odmówić takiemu człowiekowi, jak konsyliarz? Tyle doświadczyłem od niego usług i życzliwości, że niepodobna powiedzieć nie.... Osądźcie czytelnicy, czy mam racyę?

Zatopiony w takich myślach, nie powiem, żeby przyjemnych, szedłem do mego adwokata. Wiadomo jest, że gdzie krucho, tam się rwie. Otóż i ja napytałem sobie przed dwoma laty niemałej biedy z jakimś żydem lwowskim. Napadł mię w hotelu, żeby mu sprzedać z nowego sto par. Nie znałem go, ale że dawał dobrą cenę i wszystkie pieniądze na stół, portyer też hotelowy i faktor, powiedzieli, że to porządny kupiec, który z hrabiami handluje — dałem się skusić i zrobiłem kontrakt.

Przychodzi termiu, zboże klapnęło, ale to coś reńskiego na korcu. No, myślę sobie, choć raz mi się udało żyda złapać, więc panie młócę na łeb na szyję, czyszczę, i jest zboże gotowe. Tymczasem żyd ani się pokazuje, ani znać nie daje, a na moje dwa listy ani słowa nie odpowiada. Czekam miesiąc,

tu w spichrzu ciasno, myszy jedzą, a że zjawił się mój Berek, jeden z trzech Herodów samborskich, i powiada:

— Sprzedaj jaśnie pan, on będzie kontent, jak swoje pieniądze odbierze.

Więc panie dobrodzieju sprzedaję, a a Berek natychmiast zabiera....

Na drugi dzień, ale jakby to było umówione, mój lwowski kupiec jest. Każę podać śniadanie; pieniądze miałem gotowe, więc myślę sobie, oddam i rzecz skończona.

— Nu ja przyjechał po moje pary...

— Jakto? choć ceny spadły?

— Co to dla kupca znaczy? Ja to zboże zaraz sprzedał zagranicznemu, dzięki Bogu z zarobkiem i on teraz kazał dostawić.

— A czemużeś kupiec nie zabierał w terminie?

— Czemu? bo ja nie miał czasu, a teraz proszę, coby jaśnie pan kazał wydać; furmanki już nająłem...

Osłupiałem, mówię państwu, bo ani mi się w głowie pomieścić nie mogło, żeby żyd chciał brać zboże na stratę, kiedy mógł za te pieniądze, które mu oddam, taniej kupić gdzieindziej. Powiadam mu tedy, jak się stało i chcę oddawać pieniądze, ale on ani chce słyszeć.

— Co to jest? Jak pan mógł sprzedać moje zboże, ja mam kontrakt, ja pieniądze dał!...

— Ha kiedy tak, to każę kupcowi namłócić innego, i w tydzień będzie gotowe.

— Ja chce zaraz, moje zboże powinno być od miesiąca... I rozrzuca mi się żyd, ale to tak, że ja czuję; jak gniew mnie zbierać i tylko się całą mocą wstrzymuję.

— A dlaczegoż asan nie zabierałeś w terminie? Cóż to ja stróżem jestem twojego zboża!

— Niech pan sobie liczy składowe, a moje pary powinny tu być.

Probuję z nim z innej beczki, chcę zapłacić procent od tych pieniędzy, zwrócić zadatki dane chłopom na podwody, ale żyd spiewa coś o pięciu reńskich straty na parze i tak wykrzykuje, coś jakby o oszustwie, że panie wzięła mię pasya ostatnia, kupca za kołnierz i mówię: Procesuj!

Pojechał i coś w kilka dni dostaję pozew. Na pozew — to pozew, zobaczymy; i oto poczciwy mój kolega dr. Zdzierkiewicz, adwokat, ratuje mię już dwa lata. Przed tygodniem uwiadomił, że Blumberg wniósł triplikę, więc radby się ze mną porozumie, co do odpowiedzi.

Zastaję mojego Adolfa w najlepszym humorze.

— No cóż, jakże moja sprawa?

— Bagatela, nie myśl o sprawie. Nie byłbym bowiem kolegą i przyjacielem, żebym ci dał przegrać przed dwoma laty.

— No, ale przegramy....

— Wygrać trudno, jednak niech żyd czeka i kontentuje się szóstym procentem. Powiedz mi, czy dostaniesz gdzie na mniejszy procent pożyczyć pieniędzy?

— Prawda i to, ale narosną koszta....

— Jakie? Ja przecież honoraryum od ciebie nie wezmę.

— Adolfie, bój się Boga, jakże można!

— Zapłacisz stemple i coś tam dla kancellaryi, ale pokażemy żydowi, niech wie, z kim ma do czynienia. On tu już parę razy przysyłał, czyby się nie zgodzić — odrzuciłem.

— Poczciwy, mój kochany Adolfku — mówię, całując go z rozrzewnieniem. — Czemże ja ci to odwdzięczę?... Tylko zmiłuj się, żeby tam coś nadzwyczajnego nie zaszło, bo goły jestem jak święty turecki, a w takim razie lepiej się ułożyć.

— Mówię ci, bądź spokojny. Odpowiemy na tryplikę, on zrobi kwadruplikę....

— No i spis akt....

— Ho, ho, ho, jeszcze on się długo naczeka tego spisu. A niewłaściwość sądu, a znowu dowody, a ja się zrzeknę plenipotencyi.. .

— Jakto, zostawisz mię losowi ?...

— Gdzież znowu; potem dasz mi drugą, to tylko dla zyskania na czasie i muszą tobie doręczać wezwanie na termin.... Słowem, zostaw mnie to wszystko i spij spokojnie jeszcze dwa lata, ja będę w tem.... Cóż, długo tu u nas zabawisz ?

— Jadę jutro rano....

— Bardzo dobrze, kiedy tak, to przyjdź do nas na herbatę. Nie będzie nikogo, a moja żona ciągle się o ciebie dopytuje.... O ósmej już jestem wolny, nagadamy się i naśmiejemy....

Spostrzegłem się dopiero, że wypadało zapytać się o zdrowie pani i dzieci.

— Wikcia zawsze narzeka. Dalibóg nie rozumiem, co się z temi kobietami teraz dzieje. Jak są pannami, wszystkie zdrowiuteńkie jak róże, tańcujące bez zmęczenia po parę nocy z rzędu, a jak pójdzie która za mąż, w dwa miesiące już szukaj lekarza i ten już z domu nie wychodzi. Wikci niby to nic nie jest, ale kompletnie sił nie ma.

Doktor niedawno dumał i dumał, i powiada: wszystko jest w porządku, tylko brak krwi. Radził do morza, albo gdzieś w góry, i wody żelazne. Dzieci także niedomagają, oboje wątłe, blade, i nie mogą wyjść z tej angielskiej choroby.... Praktyka, nie mogę narzekać, dobrze idzie, ale te choroby i te ciągłe kuracye pochłaniają wszystko...

Pożegnaliśmy się, obiecałem przyjść na herbatę a idąc do hotelu, coś jakby mię piknęło, że kto wie, czy pani adwokatowa nie ma zamiaru zaprosić się na lato do Małych Długów. Lecz wkrótce wyperswadowałem sobie, że to jest niepodobieństwem, aby tak każdy, z kim tylko mam do czynienia, zaraz chciał jechać do mnie. Wszak mam już dwa numera gotowe, i z temi nie wiem jaka to będzie przeprawa, więc na cóż przypuszczać to, czego nie ma....

Konsyliarz odczytał mi oba rekursy, a w nich tyle naszpikował dat, liczb, stronnic i tomów dzienników ustaw państwa, dekretów kancellaryi nadwornej, paragrafów, że nic a nic nie mogłem zrozumieć, o co rzecz idzie. O tej cegielni, od której właśnie nałożono podatek, było zaledwie raz wspomniane, resztę całego arkusza podania zajmowały wyżej wymienione cytaty i jedno słowo na

końcu, odnoszące się do rzeczownika stojącego na pierwszej stronnicy....

— No jeżeli w dyrekcyi nie będą nad tem debatować trzy miesiące, to ja nie byłem konsyliarzem.... Uważasz, tu jeden jest dekret kancellaryi nadwornej, o którym nikt nie wie.... Niech się pocą, panie dobrodzieju — kończy, zdejmując okulary i zacierając ręce z radości.

Podpisawszy podania, podziękowałem staremu i zapytałem, kiedy panna Aniela ma zamiar przyjechać?

— Najdalej za trzy tygodnie....

— Już tak wcześnie?

— Najdalej za trzy tygodnie — powtarza bez myśli konsyliarz. — Mój następca w ogrodzie będzie mię zachodził zdaleka o ten dekret.... Ja, uważasz, panie dobrodzieju udam z głupia franta, i wzruszę ramionami — nie wiem, kochany kolego, dalibóg nie wiem. Ja pensyonowany, stary, pamięć straciłem....

— Pan konsyliarz jak widzę, lubi mu dokuczać! — mówię na to, patrząc jak wzrusza ramionami przedemną i robi taką minę z głupia frant, jakbym ja był owym konsyliarzem następcą...,

— Ja człowiek spokojny, nikomu w drogę nie wejdę, panie dobrodzieju....

— A on się nadyma?

— Ba, i jeszcze jak! Ledwie raczy skinąć głową, kiedy się spotkamy i to zawsze panie dobrodzieju patrzy z podełba, czy ja się wprzód nie ukłonię.... Hebes z pozwoleniem panie dobrodzieju — mówi, kładąc ręce do kieszeni i unosząc się coraz bardziej — dwanaście lat siedział tuż obok mnie w pokoju i, powiadam ci, hebes.... każdy kawałek musiałem sam przejrzeć i połowę wymazać.... a teraz z podełba patrzy....

— Dlaczegoż go zrobili konsyliarzem?

— Hm dlaczego, dlaczego panie dobrodzieju — bo nie było lepszego.... — dodaje ciszej, oglądając się dokoła. — Ja panie dobrodzieju, byłem już dla nich za stary.... Dobrze, bardzo dobrze, weźcie młodszego, i owszem, ja się spensyonuję.... Dzięki Bogu panie dobrodzieju, mam spokój teraz, i nic mnie służba nie obchodzi — ale zobaczysz panie dobrodzieju, jak oni mnie żałować będą.... zobaczysz....

Jak stary się rozgadał w tej materyi, to nie było nigdy końca. Trzymał mię za guzik, opowiedziawszy całą swoją karyerę służbową, od czego zaczął, jakich miał na-

czelników, jak był w Złoczowie, potem w Tarnopolu, jak jeździł na śledztwa, gdzie wykrył defraudacye tytoniowe, co na to napisała mu dyrekcya.... itp.

Spojrzę na zegarek — siódma godzina, więc wstaję i zaczynam się żegnać. Ale stary ani myśli kończyć rozmowy. Jestem we drzwiach, on zastępuje mi drogę; wychodzę do sieni — on za mną, i ciągle zapewnia, że nic a nic nie obchodzi go dzisiaj biuro, że w takie zalezą błoto jak nigdy.... Dopiero, gdym już spuszczał się ze schodów, powiada, że co do Anielki, to mi napisze.

Kolega Zdzierkiewicz zajmuje obszerny lokal na pierwszem piętrze i trzyma służącego ubranego w liberyę. Kiedym zadzwonił, jegomość ten oświadczył mi, że państwo już dawno czekają z kolacyą. Zaczynam tedy przepraszać panie, które przyjmują mię z niezwykłą uprzejmością, nie jak klienta męża, od którego nie chce brać honoraryów, ale przeciwnie jak grubą rybę, stanowiącą podstawę dochodów adwokata. Sama panna Olga podaje mi krzesło, a pani adwokatowa dłużej zatrzymuje swą delikatną rączkę w mych dłoniach.

Jestto osoba jeszcze młoda, i tak wątła, że zdawałoby się, lada podmuch wiatru

może ją przewrócić. Jasna, ale to przeraźliwie jasna blondynka, z niebieskiemi, jakby omdlewającemi oczyma, ma w całej postawie, chodzie i ruchach coś tak niepewnego i chwiejnego, jakby wcale nie miała kości, lecz zamiast nich miękkie i elastyczne chrząstki. Przeciwnie, panna Olga, siostra adwokata, to żywe srebro, czarne jej wielkie oczy, pełne przejmującego wyrazu, rzucają błyskawice. Wzrostu niewielkiego, jest trochę przysadkowata, fertyczna i, jak podejrzywam, trochę zła, bo cienki jej nosek zanadto ostro się zakończa, a wązkie usteczka za często się zaciskają. Zresztą, zaraz to widać po wszystkiem, że jest rezolutną, a rezolutne kobiety po większej części są impetyczne.

Już to znać ze wszystkiego, że pani adwokatowa w domu do niczego się nie mięsza i gospodarstwem się nie zajmuje. Czy rzeczywiście jest słaba, czy z charakteru leniwa, dość, że wszyscy koło niej chodzą, i mąż, i panna Olga, i słudzy, a ona siedzi na kanapie i zdaje się, że już ciężko pracuje, gdy przyjdzie jej sięgnąć ręką po ciastko na talerzyk, lub łyżeczką zamięszać herbatę w szklance.

Między krzesłami i koło stołu wałęsają się ciągle dwaj chłopcy z przeraźliwie zagię-

temi w kabłąk nóżkami. Kołysząc się jak kaczki, wyglądają nadzwyczaj niedołężnie, z miną starych kawalerzystów lub pocztylionów, wożących konno sztafety.

Mimo zapowiedzianej tylko herbatki, kolacya jest dosyć wystawna, pani ciągle mi powtarza: a niechże pan będzie łaskaw, a panna Olga, opędzając się dosyć szorstko napastującym ją ex-kawalerzystom, bez ceremonii kładzie mi na talerz jednę połówkę kurczęcia za drugą, jak tylko zobaczy, że z poprzedniej edycyi tylko szczątki zostały....

— Co u licha — myślę sobie — zkąd taka niezwykła czułość u tych pań i u mojego kolegi? Patrzę, wynosi butelkę starego wina, przynajmniej po zakopconem szkle takby sądzić należało, nalewa mi, a gdy ja robię ceremonię, całuje w oba policzki i ściska i zachęca.

— Tak rzadko się widujemy, mój drogi Ksawerku — mówi do mnie, trącając kieliszkiem — że jak się zjawisz, to dla nas prawdziwe święto.

Dalibóg, czuję się rozrzewnionym takim dowodem przyjaźni koleżeńskiej i odpłacam mu dwoma całusami za jeden i cmokam rączkę pani dobrodziejki, a za trzecim

kieliszkiem sadzam już Michasia na kolanie niby na koniu.

Podają herbatę; panna Olga otacza mię talerzykami, cukiernicą, cytryną, karafinką z rumem, garnuszkiem ze śmietanką, a widząc takie koło mnie zachody, zdaje mi się, że jestem co najmniej księdzem biskupem, albo dziadkiem, który jeszcze nie sporządził testamentu. Rozmowa toczy się o wsi.

— Ach jak ja wieś lubię pasyami — odzywa się pani z kanapy — Moja Oleńciu, podaj mi też chustkę, splamiłam sobie suknię cytryną... Ta cisza w naturze... tu proszę cię wytrzej, tu... ten spokój uroczysty, szmer wody, spiew ptaków, ryk oddalony bydła... Ile razy jestem na wsi, to zdaje mi się, że tam jest ciągłe wielkie święto, taka cisza uroczysta... A tu w mieście jakiż hałas piekielny? Czy uwierzysz pan, że mnie każdy przejazd dorożki przed oknami budzi, i dostaję zaraz takiego bicia serca, niech Olenia powie.

Panna Olga potwierdza, że tak jest, że zrywa się ciągle, a brat adwokat musi jej przykładać do skroń ręcznik umaczany w zimnej wodzie...

— Co do mnie — odzywa się panna — to ten turkut wcale mię nie przestrasza, ow-

szem spię jeszcze lepiej, tylko to ciągłe ubieranie się i rozbieranie dla wyjścia na ulicę jest męką, a na wsi jaka to swoboda! W białym kaftaniku, bez kapelusza, ot tak sobie z parasolką idę w pole, idę do lasu... Ach do lasu, na grzyby, na orzechy, na poziomki...

— Powinieneś kupić wieś — mówię do adwokata — kiedy panie tak lubią

— Daj to — rzecze robiąc ruch palcami jednej ręki na dłoni drugiej.

— A mój kochany, komuż łatwiej jak nie wam — rzekłem — lecz przypomniawszy sobie, że jeżeli tak od wszystkich bierze, jak odemnie — zamilkłem szybko.

— Minęły te czasy, kiedy adwokaci robili majątki. Dziś jestto zwyczajna wyrobnicza praca dzienna. Mówię ci otwarcie, że ledwie na bieżące wydatki mogę nastarczyć. Ot i teraz doktor kazał, żeby Wikcia jechała do morza, a nie mogę

— Niech mu pan nie wierzy — przerywa omdlewającym głosem pani — dlatego nie chce do morza, bo nie mógłby jechać razem ze mną, a ja znów tak daleko sama nie mam odwagi. Na tę myśl, że jestem o dwieście mil, i że mogłabym umrzeć a on nie zdążyłby przyjechać — trwoga mię taka

opanowuje, że za nic w świecie nie pojechałabym tak daleko..

Wypiłem już czwarty kieliszek starego tokaja, a mimo że bronię się jak mogę pan Adolf leje mi piąty.

— To tak samo, jak moja żona. Ile razy wyjeżdżam z domu choćby na parę dni, to takie płacze i pożegnania, jakbym się puszczał gdzieś do Indyi....

— Pokazuje się, że wszystkie kochające kobiety są jednakowe — dorzuca panna Olga.

— A my znowu tak umiemy to cenić....

— O, nie zawsze, nie... — odzywa się pani Wiktorya — Mój Adolf...

— Zapewne tyran i despota.... hę, bo robi to wszystko, co pani sobie życzy?

— No, a pan do jakiej kategoryi należy? — zapytuje panna Olga, patrząc mi filuternie w oczy. — Nie mamy przyjemności znać pańskiej żony, więc nie możemy nic wiedzieć....

— Ja, proszę pani, jestem jak bawełna. Każda kobieta może robić ze mną, co chce.

— Ho, ho, nie wierzę ja temu, skoro się sam pan przyznaje....

— Bo widzisz Ksawerciu — mówi adwo-

kat, nalewając mi szósty — jest tu na ciebie zamach....

— A i owszem, niech panie uderzają, bardzo proszę — dodaję, całując delikatną rączkę pani Adolfowej; mam bowiem ten nieznośny stary zwyczaj, że niech mi trochę zaszumi w głowie, to zaraz robię się czuły i zalotny....

— Ale daj pokój Witeczku. Państwu zrobi to subiekcyę.... To tak sobie mówiłyśmy, bo doktór, który zna Małe Dołki, zapewniał...

— Dla pań, i kochanego mojego kolegi żadna subjekcya nie może się nazwać subjekcyą.... Proszę, i owszem, niech panie dysponują moją osobą, jak chcą....

— A może pańska żona?...

— Moja żona toż samo co i ja...

Skłamałem, bo, o ile ją znam i czytelnicy się sami przekonają, rzecz ma się zupełnie przeciwnie.

Wszyscy troje spojrzeli na siebie, a ja widocznie pod wpływem czy owych sześciu kieliszków, czy czarnych oczek panny Olgi, byłem tak naiwny, że niczego się nie domyślałem i nalegałem energicznie, żeby mi powiedzieli o tym zamachu.

— Na co tu długie ceremonie.... Wi-

kcia ma chęć zaprosić się do was na dwa miesiące na wieś — rzecze pan Adolf.

— Boże kochany, choćby na całe lato — odzywam się z zapałem.

— Dasz im dwa pokoiki w murowańcu, też same, w których mieszkał nasz doktor, kiedy bawił u ciebie. Powiada on, że piękniejszego mieszkania i z rozkoszniejszym widokiem w życiu swojem nie widział.... Zachwycony jest tamtejszą okolicą, owemi lasami świerkowemi, kąpielą w rzece, i on to właśnie zwrócił naszą uwagę na twoje Małe Długi....

Teraz dopiero przyszło mi nagle do głowy, że ja to już mam dwie kandydatki do tego murowańca. Dreszcz mię przeszedł od stóp do głowy, i wszystkie sześć kieliszków wina jakby mi kto w jednej chwili wydmuchał z mózgu, a na tego doktora taki byłem dobry podówczas, że byłbym go udusił.... Do dziś dnia jeszcze, ile razy go spotkam na ulicy, za ową radę patrzeć nań nie mogę. Tak jest, ja mu do śmierci tego nie zapomnę!...

Zoryentowawszy się nieco, zacząłem tłómaczyć tym paniom, że nie będą miały wygody, że ciotka także obiecała przyjechać, że na wsi nudno a w murowańcu wilgoć —

wszystko to nie mogło odstraszyć od zaniechania ułożonej wycieczki, ale przeciwnie, obracało się na moją niekorzyść.... Że ciotka przyjeżdża — to im będzie przyjemniej; że wilgoć — to nic nie szkodzi, a nudno nie może być na wsi. gdzie taki przyjemny, taki miły i dobry gospodarz mieszka (niby to ja). Mówię, że woda nadzwyczaj zimna i bystra — właśnie takiej potrzeba pani Wiktoryi; że dno kamieniste — można kamienie wyrzucić; że kościół o milę — tem lepiej, bo będzie się można przejechać co niedzielę. Słowem, żadna przeszkoda nie zmniejszyła ochoty, a panna Olga oświadczyła, iż piąć się będzie nawet po skałach, gdyż młode Angielki tak samo robią, zwiedzając Szwajcaryę.

Radość tedy była powszechna i zaczęły się dopytywania o rozkład tych pokoi w murowańcu, po ilu schodkach się wchodzi, jak obszerny jest taras, gdzie okna wychodzą. gdzie płynie rzeka, tak, że musiałem odrysować ołówkiem cały plan mojego dworu i po części całego obszaru Małych Długów, a nawet zapewnić uroczyście, że nie trzeba brać z sobą proszku perskiego...

— Ale gazę do okien weźmiemy i truciznę na muchy.

— Czyż na wsi jest tyle much? — zapytuje z całą naiwnością pani Wiktorya.

— O, jest ich dosyć, niestety....

— Proszę, tego nie myślałam... Ale ja się nie zgadzam na żadne trucizny.... Fe, papierki z trupiemi główkami, strach we mnie budzą.

— No, to trzeba gazą okna pozasłaniać.

I gazy nie chcę. Raz byłam u jednych państwa znajomych, mieszkających na Wólce, to mi się zdawało, że mdleję, patrząc przez takie okno na ogród Wie pan co, najlepiej kupimy sobie klapkę skurzaną z kijkiem, pamiętasz Adolfku, jak Wojski z *Pana Tadeusza*, i będziemy polować na muchy....

Dopiero w końcu wieczoru, oświadczył mi pan Adolf, że te panie potrzebują tylko mieszkania, że biorą z sobą kucharkę, i że będą stołować się u siebie.

— Przecież tam musi być jaka kuchnia wolna? — pyta Adolf.

— No, takiej nie ma, ale nasza jest obszerna — mówię już z lepszym humorem, słabo protestując przeciw temu projektowi.

— Naturalnie, alboż nasza Marynia nie może na tej samej kuchni ugotować — dodaje panna Olga. — Cóż my tam potrzebu-

jemy wykwintnego jedzenia. Kobiety nie są tak wybredne jak panowie; dla nas szklanka mleka, jakieś kurczę, kawałek chleba, to dosyć....

Do godziny drugiej po północy trwała ta sielankowa pogawędka między nami, a trwałaby zapewne i dłużej, gdyby nie to, że ja przyzwyczajony na wsi kłaść się spać o dziesiątej, zacząłem tak przeraźliwie ziewać i oczy przymrużać, że aż Adolf zlitował się nademną.

— Dajcież mu już pokój i nie kołatajcie głowy, widzicie, jaki spiący.

Ja się wypieram jak mogę, że nie, ale w trakcie tego, jak mi się nie rozedrą usta rozpaczliwie, to aż pani Wiktorya wytrzeszczyła swoje oczy z obawy, czy nie mam zamiaru jej połknąć. Wypuszczono mię tedy, obsypując najczulszemi podziękowaniami i grzecznościami, a ja byłem tak dalece już rozespany, żem Adolfa pocałował w ucho zamiast w policzek, a pannie Oldze, która mi świeciła na schodach, gwałtem pakowałem w rękę szóstaka, biorąc ją za pokojówkę. Dopiero znalazłszy się na ulicy, otrząsnąłem się jak student wypuszczony z rekolekcyi i zdążając do hotelu, wymyślałem na czem świat stoi. Czy oni tu wszyscy pofiksowali

we Lwowie czy co, że każdy, z kim mam do czynienia, chce na wieś jechać do mnie.... Potrzebna mi ta gromada bab, z całym taborem sług, dzieci, pakunków, grymasów, a zapewne i przyjaciół, którzy ich tam będą odwiedzać.... Ja panie dobrodzieju tak krucho stoję w interesach, że iedwo bokami robię, a tu prócz wydatków tylko zakręcenie głowy i to podczas żniwa, kiedy właśnie gospodarz chciałby z jednaj pary rąk dziesięć zrobić...

Medytacya moja i złość, kiedy chodziło o mnie samego, ograniczyła się tylko do subjekcyi i wydatków, ale panie kochany, gdy stanęła mi przed oczami szanowna małżonka — opanował mię strach paniczny. Czytelnicy może myślą, że ja się żony boję, i że to jest jaka sekutnica i zła nad wszelki wyraz. Nie, daję wam słowo. Żona zawsze wie, że ja jestem panem w domu, ale ja sam nie chcę jej robić żadnej przykrości, skoro wiem, że gości nie lubi, i że formalnie boi się obcych, i że od dwóch lat nie bywamy nigdzie a nigdzie.

Moja Honorata, jak pod[illegible]wam, trochę starsza o[illegible]koś z tą metryką t[illegible]
cie kob[illegible]

jako gospodyni to w całej Galicyi równej nie znajdziecie. Jak mnie nie ma w domu, to i do dnia wstanie, i ekonoma obudzi, i służbę zwoła, i do dojenia krów pójdzie sama, i obrok powydaje i wszystko dopilnuje tak samo jak ja. Ale powiedziała sobie, że musimy się wydostać z tych kłopotów, to musimy — więc oszczędza się na każdym kroku, nie ubiera się, nie dospi, nie doje, aby spychać długi i nowych nie robić. Nic dziwnego zatem, że przy tak ciężkiej pracy często zapada na zdrowiu i dostaje szalonego bolu głowy, a czasem jeszcze i coś gorzej.. Wtedy staje się trochę drażliwą, gderze, narzeka a jak jej cobądź powiem, to płacze Przytem jest trochę zazdrosna, a choć ja, Bóg widzi, nie daję żadnego powodu, to zawsze coś podejrzywa na tej zasadzie, że psu i mężczyznie nigdy nie można zaufać. Dalibóg taką ma o nas opinię.

Z tego powodu, chociaż to niby przypadkiem się dzieje, cały dwór nasz w Małych Długach, jest prawdziwą menażeryą brzydoty niewieściej. Daję słowo same kaleki, garbate, jednookie, kulawe, zezowate, a jeżeli już coś całego — [illegible] niż kanoni- [illegible] ci wy- [illegible] uży-

wającą tabaki i z przewróconą powieką u jednego oka. Gotówem przysiądz, że pani Jarotek już przed dziesięciu laty na urząd była obstalowaną przez m ją żonę, gdyż takiego monstrum r adko gdzie spotkać między ludźmi, chybaby w domu starców i kalek.

Oddając mi klucz od numeru, powiada portyer, że tu jakiś pan był wczoraj trzy razy i koniecznie chce się widzieć ze mną.

— A jak się nazywa?

— Mówił coś, ale tak śmiesznie Madrygał czy Madrygała..

Masz tobie, to znowu kandydat na wakacyę do Małych Długów — wesoły bardzo i pocieszny artysta rysownik, zdejmujący widoki krajowe. Obiecałem mu co prawda zeszłego roku, że go zabiorę do siebie, ale teraz ani myśleć.

— On tu ma przyjść o dziesiątej...

— Wyjechałem, powiedz przyjacielu, że wyjechałem do dnia pociągiem...

— I jeszcze jakiś tu człowiek się zgłaszał, zdaje się chce na wieś.

— Wyjechałem, wyjechałem — powtarzam w rozdrażnieniu.

— Ale, jeżeliby pan potrzebował, to moja żona...

— Co? także chce jechać na wieś?

— Nie, tylko ma takiego, co mógłby jechać.

— Ja nie potrzebuję nikogo. Mam już póty amatorów na wieś — nie chcę... odpowiadam idąc na schody...

Do samego świtu nie mógłem już oka zmrużyć. Czy to wino adwokata, czy strach przed żoną, czy też wogóle irytacya z powodu takich zaprosin — dość, że przewracałem się po łóżku i wszystko było mi złe, i poduszka za wysoko i kołdra za krótka, i twardo — aż sąsiad w drugim pokoju zaczął mi wymyślać, czego się tak tłukę jak Marek po piekle. Co się zdrzemnę na chwilkę, to widzę jak na dziedziniec w Małych Długach zajeżdżają bryki, powozy, karety a z nich wysiada niezliczone mnóstwo kobiet rożnego wieku i fasonu, a każda uzbrojona wielką szpilką niby to do włosów i wszystkie obcesem na mnie. Żona stoi w ganku i zasłania mię jak może, a one gdzie mogą, to mię tam która kolnie, a najczęściej w tę kieszeń, gdzie mam schowane rekursa do Dyrekcyi finansowej.

— To tak szanujesz moją pracę! — krzyknie mi konsyliarz nad uchem. I ja się budzę z biciem serca i zrywam z łóżka, dając za wygrane spaniu.

Nie wiem, czy ktobądź mógł być więcej nieszczęśliwym, niż ja w tej chwili. Obawa, co moja żona powie na to — dręczyła mię na każdym kroku nie pozwalając myśleć o czem innem. Perswaduję sobie i tak i owak, że to przecież nie jest żadna zbrodnia, że ja temu nie winien, że ludzie mają pewne obowiązki względem drugich — nic nie pomaga. Przedemną zawsze stoi moja jejmość z miną zagniewanej Prozerpiny i powiada: przyjmuj sobie, baw tych gości, których zaprosiłeś, ja się do niczego nie mięszam....

Więc w toku takich rozmyślań przychodzi mi projekt, żeby jakoś tę moją Honoratkę ugłaskać naprzód i zobowiązać, a do tego najlepiej się przyczyni jakiś upominek, jakiś stroik, bo chociaż moja żona zawsze mi powtarza, że nic nie potrzebuje, to jednak jak jej coś przywiozę, wdzięczną mi jest za pamięć One wszystkie takie; niby to nie chcą, a jak ich nie posłuchać — wcale się nie gniewają....

Wychodzę tedy do miasta i szukam, co by tu kupić takiego, co jej może być potrzebnem. Pod tym względem przyznaję, nigdy nie miałem szczęścia Honoratce dogodzić i dlatego z jednego kłopotu wpadam w drugi.

Spacerując tedy przed sklepami, przyglądam się wystawie strojów kobiecych, i to byłoby dobre, i toby jej się zdało, ale że wszystkiego naraz kupić mi niepodobna, więc decyduję się na wielki rembrandtowski kapelusz ubrany girlandą zeschłych liści i z takim ogromnem piórem jak u wojskowego kaszkietu. Każą mi płacić coś dwadzieścia kilka reńskich — płacę i zabieram ów kapelusz.

Przy wyjściu ze sklepu spotykam pana Alojzego, kuzyna i faworyta mojej żony. Pan Alojzy ma lat trzydzieści kilka, łysy, wymokły kawaler, któremu się zdaje, że powinien w tym roku umrzeć na suchoty, i że dla niego już nie ma żadnego szczęścia na świecie. Dawniej, kiedy ta nieszczęśliwa mania suchot jeszcze go nie opanowała, Alojzy był to jedyny chłopiec do zabawy towarzystwa. Kobiety przepadały za nim, nie tak żeby się w nim kochały, ale że on jakoś umiał z niemi trafić do końca, wiedział, co lubią i jak im się przypodobać.

Zwykle urządzał wieczorki i teatra amatorskie, sprowadzał tancerzy, robił sprawunki, przyprowadzał, odprowadzał. jednem słowem wylany był kompletnie na ich usługi. Pamiętam, że kiedy był u nas przed trzema laty, moja żona miała z niego prawdziwe wy-

ręczenie w gospodarstwie. Alojzy jak nie mężczyzna zbierał śmietankę, nalewał herbatę, smażył konfitury, ogród porządkował, a nawet wzywany był do narady, jak tu skrajać sukienkę dla Łuci, lub czem zaprawić tabakę pani Jarotkowej, która jej ciągle wysychała.

Alojzy jest faworytem mojej żony, i spotkawszy go teraz, myślę sobie: zaproszę go, a on mi będzie bardzo użyteczny, raz że mnie obroni przed gniewem żony, a powtóre usłuży kobietom i jakoś rozrusza towarzystwo, bo on do tego jedyny.

— Jak się masz?

— Jak się masz.

— Cóż z sobą robisz na lato, jedziesz gdzie do wód?

— Ja proszę cię nigdzie nie jadę — odpowiada desperacko, melancholijnym głosem, patrząc na mnie swemi porcelanowemi oczyma — co mi wody pomogą! Tu, tu siedzi gniazdo mojej choroby — mówi, pokazując na piersi — aby dokołatać do zimy, to na wiosnę przejedzie się człowiek na cmentarz łyczakowski i koniec!

— Alojzy, tyś chyba sfiksował. Ot wiesz co, jedź do mnie do Małych Długów, wykąpiesz się panie, napijesz się mleka.,..

— Gdzież dla mnie zimna kąpiel —

rzecze tym samym płaczliwym głosem — chyba nie wiesz, że jedna kąpiel zabiłaby mnie od razu.

— No, to przyjedź tak na mleko....

— Nie mogę mój drogi, ja teraz leczę się świeżemi jajami....

— A to co za kuracya?

— Poradził mi jeden konsyliarz, i może mi to co ulży. Trzymam dwie kury u siebie i wypijam co rano świeżutkie surowe jaja.

— Szczególniejsza kuracya....

— Ha, cóż robić! Tonący i brzytwy się chwyta, a rzeczywiście czuję ulgę pewną w kaszlu. Zresztą, cóż tam do was jechać, skoro tyle będziecie mieli gości — Anielka konsyliarza, Prudencya, Zdzierkiewiczowa....

— A ty skąd wiesz?

— Ja wszystko wiem. Wiem i to, żeś pożyczył 500 reńskich od ciotki na dziesięć procent.... wiem, że i kapitan się wybiera...

Muszę tu dodać, że Alojzy mimo choroby swojej jest chodzącą kroniką lwowską, i niewiadomo gdzie i skąd, ale nic nie stanie się we Lwowie, żeby on o tem nie wiedział. Szczególniej jednak zajmują go ploteczki kobiece, spory małżeńskie, niezgody familijne i to takich osób, u których wcale

nie bywa. Zdaje mi się, że nie ma osoby z lepszego towarzystwa, którejby nie znał i historyi jej nie wiedział. Ma szczególniejszą wprawę w zbieraniu nowinek i nie potrzebuje koniecznie widzieć i słyszeć, co się gdzie stało — bo częstokroć powonienie oddaje mu takie same usługi.

Idziemy tedy i rozmawiamy ulicą, lecz co chwila mój Alojzy zaczyna się kręcić i za mnie chować.

— Mój drogi, wstąpmy do bramy.

— Po co?

— Ale proszę cię! — szepcze, wciągając mię gwałtem do pierwszej lepszej sieni, gdzie chowa się za drzwi.

— Cóż to takiego?

— Idzie Kamaszewska z córkami, a ja nie chcę się z niemi spotkać....

— Dlaczego?

— Nie byłem tak dawno u nich, będą mi robić wymówki, a ja tego nie lubię. Co mnie po znajomościach, co mnie po bywaniu.....

O parę kroków dalej znowu taż sama historya.

— A niechże ją licho weźmie! — syczy, wpadając do sklepu z cygarami.

Ja czekam, on wychodzi, oglądając się niespokojnie.

— Nie widziałeś, gdzie się podziała?

— Kto?

— Hrabina Rubinowska.... Nieznośna kobieta. Ciągle mię zaprasza na obiady, a ja nie znoszę jej arystokratycznego towarzystwa. Książę W., hrabia. T, na co mnie takie znajomości!

Nareszcie dotarliśmy do mojego hotelu, a że ledwie godzina czasu zostawała mi do wyjazdu, zaczynam pakować moje manatki.

— Co masz w tem pudełku?

— To kapelusz dla żony.

— Pokaż!

Wyjmuję, a on z góry na mnie.

— Jakże można było kupować takie straszydło....

— Alojzy, bój się Boga, dałem dwadzieścia pięć reńskich.

— Co to znaczy.... Okpiła cię. Gdzież to kapelusz dla twojej żony.... Na lato kupować filcowy kapelusz z takiemi piórami....

— Ha, trudno....

— Żebyś był mnie powiedział, zaprowadziłbym cię był na Akademicką ulicę do panny S. Tam cały świat modny kupuje.... A to napakowała tyle starych liści, jak do

koszyka z warzywami.... Czekaj, trzeba ująć z tej strony.... A to pióro....

Pod pozorem, że nie mam już czasu, nie pozwoliłem na operacyę z kapeluszem, do której się jakby magazynierka jaka w najlepszej myśli zabierał.

— No, przyjedziesz Alojzy?... Zrób to dla żony, ona cię tak mile wspomina.... Odświeżysz się trochę, zabawisz z kobietami....

— Zobaczę — odpowiada, wzdychając ciężko. — Przyznam ci się, że gdybym się zdecydował, to nie dla siebie. Bóg widzi, bo mnie już i tak tej zimy licho weźmie. Ja czuję, że tu jest źle, mój drogi — dodaje, pokazując znowu na piersi — ale dla biednych kur moich...

— Co, co, dla kogo?

— No dla tych kur. Wystaw sobie, siedzą te biedaczki w drewutni i nigdy świata bożego nie widzą....

Roześmiałem mu się w oczy....

— Smiej się. A i one są też stworzeniami boskiemi i potrzebują trochę pobiegać, i odetchnąć świeżem powietrzem I jaja niosłyby daleko lepsze, a wierz mi, to mi tylko pomaga.... Więc jeżeli pozwolisz, żebym przywiózł z sobą Kwoczkę i Sroczkę, to przyjadę na parę tygodni....

— A przywoź sobie, ile chcesz....

— Dziękuję ci Ksawerku — odpowiada, ściskając mi z uczuciem rękę — zrobisz mi prawdziwą łaskę.... To moje jedyne karmicielki.... każę im zrobić klatkę....

Umówiliśmy się tedy, że jak napisze, to ja wyszlę konie na stacyę kolejową, a wreszcie pożegnaliśmy się najserdeczniej. Ja byłem kontent, że żonie zrobię przyjemność, bo, jakkolwiek nie lubi gości, to jednak dla Alojzego ma szczególniejszą predylekcyę i nie bardzo się gniewa, kiedy się zjadą mężczyzni, utrzymuje bowiem, że dziesięciu mężczyzn mniej zrobi subjekcyi, niż jedna kobieta... Boże mój, jak one są despotyczne!... Ja naprzykład jestem zupełnie przeciwnego zdania, a nie wolno mi się z tem odezwać....

II.

Jechałem po obywatelsku trzecią klasę i tą sławną koleją, do której, jak złośliwi opowiadają, nie chciała wsiadać bezpłatnie kobieta zdążająca na targ do Lwowa.

— Nie mogę proszę pana konduktora — mówiła z całą naiwnością — bo panowie jedziecie tak wolno, a mnie się spieszy...

Miałem tedy dość czasu, jadąc dwie mile na godzinę, do obmyślania całego planu kampanii z imością Honoratą. Naturalnie, że w takim wypadku nie obejdzie się bez jakiegoś kłamstwa, i dlatego utrzymuję z całą stanowczością, że jeżeli mężczyzni kłamią kiedy, to nikt temu nie jest winien tylko same kobiety. Wiadomo, że dzieci wtedy uciekają się do ukrywania prawdy, jeżeli się boją, aby ich kara jaka nie spotkała. Toż samo bywa i z nami; strach przed kapryśną żoną, czy

matką, czy kochanką, każe nam uciekać się do różnych forteli, przy których nie obejdzie się bez kłamstwa. Naprzykład z tym kapeluszem: niechżebym powiedział, że kosztuje dwadzieścia pięć reńskich, dopiero byłaby burza. A na co to, a poco to, zbytki, brak zastanowienia, lekkomyślność, przykrość mi zrobiłeś i t. p A jak ja powiem, że dziesięć guldenów, to Honorcia chwal ć mię będzie przed wszystkimi..

— Oho, nikt tak nie kupuje tanio, jak mój Ksawercio... I dobrze jest Więc co do takich rzeczy, to mi się często udaje, ale jak idzie o coś ważniejszego, to filut kobieta umie tak czytać w moich oczach, że ani sposób się wykręcić.

— Ksawerku spojrzyj na mnie... A widzisz, że kłamiesz kochanku, ja cię znam...

Z czego ona tam pozna, tego dalibóg nie wiem, ale że pozna, to tak pewna, jak amen w pacierzu.

Zdecydowałem się tedy nic nie mówić o tym najeździe na Małe Długi, bo na co wywoływać przedwcześnie zmartwienia i kwasy, na co sprowadzać zły humor, kiedy może jeszcze odmyślą się i nie przyjadą; wszak to jest sprawa z kobietami. A jeżeli już przyjdzie ta chwila, to pęknie wszystko na-

raz jak rakieta i jakoś to musi się ułożyć. Tymczasem zaś trzeba się zasługiwać, nadskakiwać i tak ją zjednywać różnemi sposobami, żeby nie śmiała potem gniewać się zbyt długo.

Naturalnie, kapelusz w pierwszej chwili był prześliczny i za bezcen. Co to za pióra, jakie to kwiaty, aksamit prawdziwy lioński, jak oni mogą za takie pieniądze sprzedawać, kiedy robiąc w domu i kupiwszy każdą rzecz pojedyńczo, jeszczeby więcej kosztował. Ha, muszą sprowadzać stare aksamitne suknie z Wiednia i temi ubierają — inaczejby nie wyszli na swojem. Chowa się tedy ów kapelusz do szafy, przykrywa chustką, humorek jest dobry, dostają mi się co parę minut wdzięczne uśmiechy — słowem, sprawa na wstępie wygrana.

— A jakże tam poszły ci interesa?

— Bardzo dobrze.... Dzięki Bogu wszystko załatwiłem; raty zapłacone, poczciwy konsyliarz napisał rekursy....

— No, a zkądże pożyczyłeś pieniędzy?

— Ciotka Prudencya dała....

— Przecie. Cóż jej się stało?

— Jakoś nie bardzo się drożyła....

— Czy zawsze w takich pretensyach!

Przyznam ci się, nieznośna baba. Bo to ma już pewnie z pięćdziesiąt lat....

— Czterdzieści, kochanie....

— Eh, co mi ty mówisz! Ja byłam jeszcze dzieckiem, a pamiętam ją, bywała już na balach jako niemłoda panna. Ja mam dziś trzydzieści sześć....

— Może.... ale wygląda bardzo dobrze, zeszczuplała....

— Dlaczego ma źle wyglądać! Cóż to, napracuje się, nakłopocze gospodarstwem, albo czem zmartwi?... Ma emeryturę, ma kapitały.... A ten kapitan bywa?

— Bywa tak samo....

— Spodziewam się, że procentu nie żądała od ciebie....

— Mały.... sześć od sta....

— Widzisz ją, jaka chciwa — odzywa się żona z przekąsem. — Na tak krótki czas nie mogła pożyczyć tak....

Coby to było, żebym był powiedział, że dziesięć!

— Wiesz, ta kobieta ze swojemi pretensyami, strojeniem się, z tą swoją chciwością i kaprysami — to wstręt we mnie budzi. Zkąd proszę cię to państwo! Znałam jej rodziców — byli to ludzie biedni, on sekwestratorem miejskim, ona podobno pra-

czka, czy coś... A córka taka pani, taka wygodnisia.

Dobrze, myślę sobie, piękna perspektywa; co to będzie, jak się dowie, że ona tu przyjeżdża....

— A jakże tam Zdzierkiewicz?

— Wystaw sobie, prowadzi doskonale sprawę i nie chciał wziąć honoraryum....

— Zawsze był i jest porządnym człowiekiem.... Szkoda tylko, że dostał tak niedołężną żonę. Mówili mi, że ją sam ubiera i rozbiera, sam przynosi kawę.... ażeby Wikcia się nie zmęczyła, ażeby na Wikcię wiatr nie powiał, ażeby Wikcia się wyspała.

— Ona rzeczywiście jest chorą....

— Eh, taka ona chora jak i ja, tylko się pieści, bo może. Żeby jej tak przyszło codzień wstawać o piątej jak mnie, żeby musiała sama wszystko robić i domem zarządzić i dzieciom uszyć, wierz mi, byłaby zdrową.... Nie mogę patrzeć na takie rozleniwione kobiety... Dla mnie taka Wikcia robi efekt sułtanki z haremu, i gdybym miała taką żonę, tobym ją roztrzęsła.... Ale trafiła na takiego dobrego męża, który jej we wszystkiem dogadza, który tylko nad nią się rozpływa.... Do wszystkiego potrzeba mieć

szczęście! — kończy Honoratka z westchnieniem.

Zrozumiałem ja dobrze to ciężkie westchnienie ku mnie wymierzone. Dobrze, numer drugi nielepszej używa opinii niż numer pierwszy. Co to będzie, jak Honorcia się dowie.

— Ale, ale — odzywam się po chwili — może Alojzy przyjedzie na parę tygodni do nas....

— Prosiłeś go?

— Tak nie bardzo — odpowiadam obojętnie, w myśl znanej gościnności mojej żony.

— A to dlaczego? Taki dobry i usłużny chłopczyna! Podobno ciągle jest słaby, wiejskie powietrze by mu posłużyło. Jaka to szkoda, że on się nie żeni, coby to był za mąż!... Mój kochany, napisz do niego, żeby koniecznie przyjechał.... Jakże można odmawiać takiemu poczciwemu chłopcu....

— Wiem, że nie lubisz gości, że ci robią subjekcyę...

— Żadnej. On taki jest niewymagający. I owszem, niech przyjedzie.... Napisz mu, że dostanie pokój w murowańcu, że będzie miał ciszę.

— On tak zdziczał — mówię. Trzyma kury, i leczy się świeżemi jajami...

— No, tem bardziej, dam mu, ile chce kur....

— Kiedy on swoje ma zamiar wziąć z sobą....

— Niech bierze.... Biedny chłopczyna, jakże mi go żal.... Jak wy mężczyźni mało macie serca.... Dlaczegoż nie zrobić komu przyjemności i nie dopomódz, wszak to uczynek chrześciański...

No, proszę was czytelnicy, odgadnijcie, co to są kobiety, czego chcą, a czego nie chcą. Najlepszy tego dowód miałem zaraz na drugi dzień rano, wszedłszy do pokoju dzieci. Patrzę, jest tam moja żona i radzą coś z Jarotkową nad owym kapeluszem. Kwiaty już leżą odpięte na łóżku, a stara guwernantka coś nagina to pióro i przez okulary przypatruje się kapeluszowi, jakby on nie był we Lwowie, ale przynajmniej na wyspach Sandwichskich robiony.

— Cóż tak majstrujecie panie?

— Odjęłam kwiaty — odpowiada mi żona z miną bardzo a bardzo zachmurzoną. — Nakładli tyle tego, i to jakieś pożółkłe, jakby dla staruszki mającej lat ośmdziesiąt....

— To najmodniejsze teraz...

— Co ty się tam znasz! No, Ksawerciu drogi, powiem ci otwarcie, nieszcze-

gólny zrobiłeś mi prezent. Gdzież można na lato kupować zimowy kapelusz.... Zresztą na co mi kapelusz na wsi?... Czy ja to gdzie wyjeżdżam? Wierz mi. szkoda pieniędzy.

— Rondo cokolwiek za wielkie — dodaje nosowym głosem Jarotkowa — to dla młodej panienki.... Pióro jak na karawanie....

Byłbym utopił tę starą czarownicę w tej chwili...

— Ależ moja Honorciu, takie teraz noszą

— Cóż że noszą w mieście! Takie zbytnice, które odmieniają cztery razy kapelusze do roku, to mogą, ale ja, sprawiając jeden na trzy lata, nie mogę z siebie zrobić oryginała.

— Najlepiej obciąć to rondo tak — pokazuje stara — pióro skrócić.

— Jakże można tak psuć nowy kapelusz — odzywam się na to. — Szkoda, tembardziej, że będzie ci w nim do twarzy.... Przymierz Honorciu....

Wzięła z niechęcią na głowę, spojrzała w lustro, i zdejmując go czemprędzej rzuciła na kanapę

— Fe, fe, wyglądam jak stara Holenderka... Nie trzeba obcinać moja pani.... kiedy szkoda, niech sobie leży.

I porwawszy ów kapelusz, zabrała kwiaty, pióra, wstążki, wpakowała to wszystko do szafy, zamknęła i wyszła....

Przyznaję, że bardzo mi się przykro zrobiło, co spostrzegłszy żona przy obiedzie stanęła za krzesłem, a przechyliwszy rękami moją głowę — pocałowała w czoło.

— No, nie dąsaj się, nie....

— Przykro mi jest.... ja chciałem....

— A tyle razy cię prosiłam, nic mi nie kupuj.... Wiesz, jak nam ciężko idzie, więc szkoda dziesięciu reńskich, bo ja stroić się nie lubię.... tyle mamy innych wydatków pilniejszych.... Czy to warto dla mnie....

Rozumiem; chciała, żebym ja powiedział, że warto, ale ja na złość nic.

— Czytałeś list od Laury?

— Czy mi go kto dał?

— Jest, tylko gdzieś go położyłam.... Pisze, że ma zamiar przyjechać do nas z dziećmi na lipiec...

— No, to już piąta — pomyślałem w tej chwili mocno zasępiony....

Pani Laura jest wdową po moim rodzonym bracie, osoba bardzo ładna i bardzo wykształcona, i prawie bez żadnych funduszów a z dwojgiem dzieci, które nadzwyczaj troskliwie wychowuje. Od najdawniej-

szych czasów istniał pomiędzy nią a moją żoną pewien kobiecy antagonizm w przyjęciu gości. Brat był notaryuszem w miasteczku, a ona córką pensyonowanego sędziego z Krakowa, wychowana w mieście i znająca się bardzo dobrze na formach towarzyskich. Ile razy więc byliśmy u nich, występowała zawsze z przyjęciem bardzo skromnie, ale z całą elegancyą w podawaniu, w nakryciu, w usłudze, co moja Honorata poczytywała zawsze za zbytek i pretensyę. Ile razy występowałem w obronie Laury, tyle razy moja żona prześladowała mię dość uszczypliwie, że ja mam do niej słabość. Po śmierci brata, gdy rzeczywiście fundusze Laury pokazały się prawie żadne i ona wzięła się do pracy, antagonizm i niechęć żony ustały, owszem jest dla niej grzeczna, posyła jej nawet różne legominy ze wsi, całują się, ale nie jest to taki szczerze-kordyalny stosunek i zawsze czuć w nim etykietę.

— Nie cieszysz się? — mówi do mnie, widząc zafrasowaną twarz moją — ty ją tak lubisz...

— Biedna kobieta — odpowiadam.

— Prawda że biedna, bo choć i my nie mamy wiele, ale jakoś wystarcza przynajmniej na pierwsze potrzeby, tymczasem ona

żyje z tych lekcyj. Dlatego też odpisałam jej zaraz i prosiłam, że może na całe lato, albo i na stałe pozostać; co mamy, tem się z nią podzielimy...

Uściskałem Honoratę, i przyznaję okoliczność ta poprawiła mi humor.

— O czem tak myślisz? — pyta mię po chwili

— Tak sobie...

— Ty coś masz na sercu Ksawerku, jakieś zmartwienie... Ja cię znam!

— Dalibóg nic, ot przyszła mi myśl, żeby tak spodobała się Alojzemu...

— Doskonale! — zawoła żona klaskając w ręce — On już niemłody kawaler i ma porządne utrzymanie, ona taka dobra i pracowita kobieta... Wyborna myśl, muszę ja się tem zająć... Miałaby męża, jak rzadko...

— Tylko ja wątpię. Alojzy to już stary kawaler i nudziarz; ciągle mu się zdaje że umiera, zresztą zakochany teraz w swojej Kwoczce i Sroczce, tak bowiem nazywa te kury.. Smiejesz się, a ja ci powiadam, że jeżeli przyjedzie do nas, to tylko dla kur, aby użyły świeżego powietrza, jak ciebie kocham, to są jego słowa...

— Co to znaczy... jak ja się wezmę...

— Hm — odzywam się żartobliwie chyba, żebyś ją przebrała za kurę..

— Na co, kiedy ona i tak już ma w sobie coś kurzego! — zawoła Honorcia — Uważałeś, jak idzie, albo coś robi, to tak temi rękami dzióbie drobniutko niby kura..

— Złośliwą jesteś moja Honorciu.

— Nie mówię tego, żeby ją wyśmiewać, ale ma taki drobnostkowy i pedanteryjny sposób postępowania... A te dzieci, jak idą koło niej, to jak kurczęta, któreby lada chwila rada schować pod skrzydła... Mówię ci Ksawerku, ona mu się niezawodnie spodoba, bo i Alojzy jest taki sam drobnostkowy pół mężczyzna, pół kobieta.

III.

Przyszedł już czerwiec, żonie nic nie wspominałem, ale ile mię gryzło to oczekiwanie, Bóg jeden tylko wiedzieć raczy. Śmiać się będą ze mnie czytelnicy, jednak ja powiem, że wielkość nieszczęścia nie zależy od tego, jak ono się innym przedstawia, ale jak go ktoś dotknięty odczuwa. Dla jednych potrzeba jakiejś wielkiej katastrofy, żeby stracili sen i apetyt, drugim jedno przykre słowo wyrzeczone przez kogoś nawet bez myśli wystarcza, żeby się całą noc martwić. Jedna płacze i mdleje, kiedy jej ulubiony kanarek zdechnie — inna tak się rozrzuca i szczebiocze na pogrzebie męża, jakby to był pogrzeb kogoś z mało znajomych. Tysiące mógłbym przytoczyć podobnych przykładów na poparcie mojego twierdzenia, nawet przy odczuciu bolów czysto fizycznych, bo to wszy-

stko zależy nietyle może od wytrwałości i charakteru cierpiącego, ile od wrażliwości jego nerwów. Proszę więc usprawiedliwić mój niepokój przed nadejściem burzy, która może się i skończy na małym deszczu jak to zwykle bywa przy wielkiej chmurze.

Chodziłem więc jak nieswój i drżałem, gdy przynoszono listy z poczty, czy tam nie będzie takiego, w którym napiszą: „Kochany Ksawery, przysyłaj konie pojutrze do stacyi.“

Tymczasem trzeba było zrobić jakieś przygotowania, oczyścić pokoje, rozdysponować, gdzie kto zamieszka, urządzić jakąś łazienkę do kąpieli na rzece, aby, jak spadnie ta wiadomość ze Lwowa, nie narzekała Honorcia, że czas krótki i nie da się wszystko wykończyć. Lecz z drugiej strony znowu, moja żona jest tak wszystko wiedząca, co tylko w domu się robi, a zarazem i ciekawa, że natychmiast mię pyta: a co to, a na co, a po co.... itp.

W Małych Długach mamy dwór stary, już w jednym rogu zapadający się w ziemię, ale o dwunastu pokojach, z których dwie wielkie sale jak landary ciągną się przez całą szerokość domu. Dawniej Małe Długi były prywatną własnością któregoś biskupa uni-

ckiego, potem jego brata, potem miała je stara hrabina na dożywocie i tu umarła. Kilka lat podczas sporu sukcesorów dom stał pustkami, a kiedym ja się ubrał w te Małe Długi, to zajęliśmy pięć pokoi z jednej strony, bo ktoby chciał opalać tyle mieszkania, na co i trzy fury drzewa codzień-by nie wystarczyły.

W jednej z pustych sal jest jeszcze jedno weneckie lustro z konsolą, wpuszczone w ścianę, sześć krzeseł staroświeckich rzeźbionych, podobno po królu Janie, i chudy, płaski, laskonogi, tak coś niby mój konsyliarz, klawicymbał, z dzwonkami, z bębnem i z trąbą. Naturalnie, że tam w środku już i połowy strun nie ma, jednak mój chłopak, niechno się tam czasami dorwie, to takiego narobi hałasu temi dzwonkami i bębnem w całym domu, że ja, stojąc przy młocarni, myślę, że wojsko z muzyką do wsi maszeruje...

W całej okolicy, a szczególniej po wsi, ludzie dotąd rozgadują, że w tym dworze coś straszy, że nieboszczka hrabina niekiedy po północy grywa na owym klawicymbale, a biskup z bratem przechadzają się po tarasie, idącym przez całą długość domu od ogrodu. Moja żona, jak się dowiedziała o tem, koniecznie do mnie: wynieś Ksawery to brzę-

kadło, wynieś.... Ja mówię: dobrze, wyniosę, ale jak hrabina nie zastanie swojego fortepianu i zechce grać na nas, to będzie gorzej....

Argument mój takiego klina zabił małżonce, że powiada: zostaw. Więc stoi dotąd, ale jakoś hrabina dała sobie pokój z muzyką, bo odkąd mieszkamy tutaj od lat dwunastu, nie słyszeliśmy koncertu ani razu, co jednak nie przeszkadza mojej żonie co wieczór tarasować wszystkie drzwi na dwa spusty, a te co prowadzą do sali, zastawia dość ciężką, także starożytną komodą. Swoją drogą lampka pali się noc w noc w sypialnym pokoju, niby to przed obrazem Matki Boskiej, ale ja wiem, że to przed hrabiną, ma bowiem to przekonanie, że szanowna poprzedniczka nasza nie śmiałaby pojawić się tam, gdzie jest światło.

Co prawda jednak, to w tym strasznym dworze, czy to wskutek różnych załamów ścian, czy też urządzenia tarasu z nakryciem, wśród ciszy nocnej i przy zachodnim wietrze, odbija się w szczególniejszy sposób echo tak, że siedzącym na tarasie zdaje się, jakoby ktoś z drugiej strony domu zajeżdżał przed ganek. Ja sam parę razy, słysząc taki turkot, wybiegałem przed dom na powitanie

gości, a tymczasem nikogo nie było, i na dziedzińcu kompletna cisza. Mimo więc wszelkich wyjaśnień i dowodzeń, że to odbija się dudnienie wozów, jadących drogą koło karczmy, żona nie chce temu wierzyć, i za żadne skarby świata nie wysłałaby w nocy sama na dziedziniec.

Ponieważ dom stoi na samym brzegu stromego wzgórza, więc z tego tarasu odkrywa się bardzo ładny widok na rzekę, płynącą wężykiem i z szumem na dole, na łąki, a dalej na góry i pokrajane smugami różnokolorowych pól włościańskich, wreszcie na zielone czapki lasów, pokrywające kuliste wierzchołki. Każdy więc, kto tu pierwszy raz przyjeżdża, zachwyca się: a jakież to ładne, a jakież to cudowne; lecz dla mnie, patrzącego na to dzień w dzień przez lat dziesięć zupełnie ta piękność okolicy zobojętniała, tembardziej, że góry te kosztują mnie niemało trudów przy uprawie, bo muszę trzymać sześć koni fornalskich więcej, niż gdybym miał prozaiczne równiny.

W przedłużeniu dworu z jednej i drugiej strony stoją dwa oddzielne już murowane budynki i właśnie dlatego zwane murowańcami. Pod jednym, mającym obszerny pokój i tak zwany skarbiec, naturalnie dziś

bez żadnego skarbu, jest piwnica, dawniej lamus, a jeszcze dawniej podobno karcer dla grzesznych księży, których tu biskup na pokutę osadzał; drugi zaś murowaniec z trzema pokojami i z kuchenką służył i jeszcze dziś służy za pokoje gościnne.

Z obydwóch tych mieszkań jest wyjście na taras, a przed oknami po wystającym murze chodnik dość szeroki, który ja dla ochrony przed deszczem, kazałem pokryć drewnianą, nieco spadzistą podłogą. Więc co się tyczy pomieszczenia gości, to nietylko pięć ale pięćdziesiąt osób z ich żywemi i martwemi przynależytościami mógłbym tu swobodnie zakwaterować, zwłaszcza, że tyle jest drzwi prowadzących w różne świata strony, iż każdy może się swobodnie obracać.

Otóż, rozpatrzywszy się dokładnie w tym terenie, rozdysponowałem sobie tak: Ciotkę Prudencyę osadzam w jednym murowańcu nad karcerem. Babina będzie kontenta, bo jej się będzie zdawać, że jest Aldoną na wieży, i jak przyjedzie kapitan, może doskonale wyprawiać jej na dole w krzakach serenady, albo wzdychać przed lamusem nakształt nieboszczyka Wallenroda Ba, ba, coby to ciotka nie dała za to, żeby on tak zrobił!

W drugim murowańcu dwa pokoje z kuchnią daję adwokatowej z panną Olgą. Wyjścia nie będą miały wprost na taras, chyba przez chodniki koło okien, ale zato widok na dwie strony świata z narożnego pokoju i nie jedną gałązkę ale całe krzaki jaśminu i bzu, zaglądające do okna. Od trzeciego pokoju zamykam drzwi na klucz i osadzam pannę Anielę. Wiem, że to jest kłótliwa i arogancka osoba, niechże się tedy przekomarza z sąsiadką przez drzwi — przynajmniej sobie żadnej szkody nie zrobią.

Co do Laury z dziećmi, tej odstąpimy nasz pokój, przytykający do pustej sali z klawikordem; przez tę będzie mogła przechodzić albo do ganku przez przedpokój, albo na taras Podczas słoty dzieci mają gdzie harcować w sali, a spodziewam się, nieboszczka hrabina nie będzie jej trapić koncertami, bo i tak już samo wdowieństwo i bieda dosyć się jej nadokucza.

Jeżeli przyjedzie Alojzy, niech się pakuje do skarbca, mającego wchód z tej samej sieni co i ciotka Prudencya, a ręczę, oboje będą z tego sąsiedztwa zadowoleni. On że będzie miał tuż obok małą komórkę dla pomieszczenia swoich kur, ona zaś, bo Alojzy może być doskonale użyty dla obudzenia

zazdrości w kapitanie, który raz może zdecyduje się zobaczyć inne przymioty w cioci Prudencyi, prócz tych, które są potrzebne do przyrządzania pasztetu z gęsich wątróbek.

Jawny przyjazd bratowej, zdawało się, jest mi bardzo na rękę, bo mogę, nie zdradzając tajemnicy, czynić jakieś przygotowania w lokalach dla przyszłych gości. Niestety, tylko mi się zdawało, albowiem zaledwie że sprowadziłem dwóch mularzy, i ci wzięli się do bielenia murowańca, żona mi się pyta:

— A to co znowu?

— Trzeba wybielić dla Laury....

— Na co? Czyż nie ma jej gdzieindziej pomieścić, naprzykład w tym pokoju przy sali?...

— Wiesz przecie, że tam nieprzyjemnie, z powodu tej hrabiny....

— O! ona nie jest taka, żeby się lada czego bała. Zresztą skoro ja mogę mieszkać i nie uważasz, żeby to miało być nieprzyjemnem, to tembardziej ona. Tylko, aby wydawać pieniędze...

— I tak już pokoje te bardzo opuszczone, trzeba przecież raz odnowić... Drobnostka parę reńskich...

— Dla ciebie wszystko drobnostka, a ja się tylko muszę wysługiwać tym majstrom!

— Jakież to wysługiwanie? wydasz dla nich na obiad i dziewka ugotuje...

— U ciebie wszystko nic. Wydasz, dziewka ugotuje, a jak ja nie mam co wydać?

— Eh to znowu bajki, przecież masz, co ci potrzeba do spiżarni...

— Mam? Prawda, że mam ale co ja się muszę nakłopotać, nim dadzą to żyto ze spichrza do młyna, nim zawiozą, zmielą... Ot i o ten jęczmień na krupy, to proszę się i proszę od tygodnia, a ekonom ciągle powiada, że jeszcze nie wyczyszczony, że młynek się zepsuł.

— Przecież wczoraj posłałem ci korzec!

— A ślicznie posłałeś! Taki chudy, że jabym i cwierci kaszy nie miała! kazałam, żeby wzięli napowrót i jeszcze przemłynkowali...

— No, więc i będzie...

— Będzie, ale kiedy? Tymczasem sprowadzasz mi tu majstrów i każesz ich żywić. Wierz mi, tak ciężko na nas i mogłoby się obejść bez tej parady..

Były to dopiero strzały forpocztowe, ct pukanina na wiatr. Ja znam moją żonę.

Jak sobie co upatrzy, to nie tak łatwo da to sobie wyperswadować. Gdy mularze skończyli w jednym murowańcu, posyłam ich do drugiego. Jejmość o tem nie wiedziała, ale że jej się zdawało, że coś za długo robią, więc poszła do nich. Szczególniejsza to kobieta. Cały dzień boży kręci się po domu i za domem, narzeka, że już nóg pod sobą nie czuje, a mimo to drepcze, gdzie jej wcale nie potrzeba, to do stodoły, do spichrza, do stajni — słowem, wszędzie musi być i wszystko widzieć.

Siedziałem w kancellaryi i coś pisałem, patrzę oknem, pędzi z owego murowańca, ale to z miną, na której ja się już znam.

— Co ty wyrabiasz Ksawery — rzecze, wpadając jak bomba.

— No co?

— I drugi murowaniec każesz bielić?

— I drugi.

— Dla kogo?

Szczęściem, że mi przyszedł na myśl Alojzy.

— Przecież zaprosiłaś Alojzego.

— To jemu potrzeba takiego bielenia?... Ksawery, ty widzę zaczynasz chorować na pana! Jeden mężczyzna nie może się

pomieścić gdzie w kancellaryi, albo w tym drugim pokoju od ganku, nie zaraz wydawać tyle pieniędzy.... Ciekawam, na co kazałeś reparować kuchnię? Czy on będzie gotował dla siebie?

— Jedno przy drugiem, kiedy się co robi, to niechże wyporządzi się wszystko....

— Tak najlepiej, mamy tyle pieniędzy do wydania.... Mój Ksawery pan, bo potrzebuje co miesiąc robić nowe długi.... Otóż nie kazałam dalej robić i odprawiłam mularzy.... Drugi tydzień już mi tu siedzą na karku i dziewkę muszę dawać do pomocy.

Ubodła mię trochę ta samowola mojej żony, jednak staram się ją przekonać w łagodny sposób, że nie można tak zostawiać pół pokoju obielonego, że to napróżno wyrzucone pieniądze, a jak się kto trafi....

— Tu się nikt nie trafi! Zresztą, jak sobie chcesz, to biel, ale kuchni proszę mi nie ruszać. Na co tam kuchnia potrzebna i komu?

— Mniejsza tam o kuchnię — odzywam się na to — ale uważasz Honorciu, chciałem ich oboje, to jest Alojzego i Laurę obsadzić tak naprzeciwko siebie w murowańcach. Ona wyjdzie na taras, on wyjdzie....

— A to na co?

— No, przecież mówiliśmy, żeby im ułatwić zbliżenie.

— I ty to bierzesz na seryo? — mówi, patrząc mi uważnie w oczy.

— Naturalnie.

— Jakiś ty dziwny, Ksawerciu! Więc myślisz, że Alojzy chciałby się żenić z wdową i brać na kark dwoje dzieci?

— Dlaczegóżby nie. Bywają zdarzenia, że biorą jeszcze starsze osoby....

— No, to sobie co do Alojzego wyperswaduj, jemu się Laura z pewnością nie spodoba, On w takich kokietkach nie gustuje, ja go znam dobrze. To wielka pani, choruje na dystynkcyę, próżna, zarozumiała....

Śmiesznem byłoby podejrzywać moją Honoratę o jakieś sentymenta dla Alojzego, i pod tym względem jestem kompletnie spokojny; ale ta nagła zmiana usposobienia dla Laury nieco mię zastanowiła. Oczywiście nic tylko zwyczajna bezcelowa zazdrość kobieca przez nią mówi. Żona nie lubi Laury, a choć to niby ma współczucie dla jej obecnego położenia, to jednak gryzie ją ta myśl, że ona może się takiemu Alojzemu podobać. Bywa to tak bywa! Dziwny to objaw, a jednak prawdziwy, i kto tylko bliżej przypa-

trywał się kobietom, przyzna mi racyą. Płeć piękna, szczególniej ta, co ma jakąś maleńką ansę do siebie, tak zręcznie będzie szachować drugą, tak ją zachodzić, że tylko bardzo wprawne oko wśród tysiąca grzeczności, całowań i wynurzeń serdecznych, odróżni pozorny atak od prawdziwego.

Miałem tedy już gotowe pokoje dla gości, nawet bez wielkich zachodów udało mi się wymyć podłogi, chodziło teraz o meble i urządzenie łazienki na rzece. Meble wykombinowałem, które się od nas wezmą, a które każę sprowadzić z miasta i o tem żona nic nie wiedziała, ale co do łazienki, to mi się nie udało.

Z dworu całą rzekę widać jak na dłoni; ledwo zatem spostrzegła furę zatrzymującą się nad brzegiem, z której zaczęto składać drzewo, już biegnie posłaniec zobaczyć, co to takiego. Właśnie byłem nad rzeką i dawałem dyspozycyę cieśli, jak i co ma stawiać, gdy nadbiegł adjutant.

— Powiedz pani, że most...

Poszedł, ale jeszczem się nie wywindował z powrotem na górę, gdy żona wychodzi naprzeciw.

— Co ty znów za mosty budujesz; mało ci ich woda już pozabierała?

— To nie most...

— A cóż takiego?

— Tak do kąpieli chciałem zrobić szałas z gałęzi, jakąś ławeczkę.

— Dla kogo?

— Dla wszystkich. Rzeka jest odkryta i blisko zabudowań, więc potrzeba takiej kabiny...

— Tak... już łazienek się zachciało bratowej? — mówi z ironią — Bardzo ładnie. I jeszcze, jak posyłam dowiedzieć się, to żarty sobi robisz, mówiąc, że to most.. Pamiętaj Ksawery, pamiętaj!

Nie wiem co ja miałem pamiętać, chyba to, że przy każdem spotkaniu żona wszczynała rozmowę o tych łazienkach.

— A dlaczegoż to przez tyle lat nie przyszła panu ochota stawiania łazienek naprzykład dla żony?

— Nie kąpiesz się nigdy, zresztą, nie wspominałaś...

— A ona wspominała?

— Dajże mi też pokoj, moja droga — rzeknę już oburzony — Cóż, ruszyć się nie mogę, kołka w ziemię wbić nie mogę, żeby nie było zaraz indagacyi, a na co to, a dla kogo to, a po co to?

— Bo to wszystko dla pani bratowej...

mojej Anieli, bezpłatnej praktykantki nauczycielskiej przy szkole pięcioklasowej wyższej żeńskiej, przy ulicy św. Tadeusza we Lwowie, na przeciąg miesiąca na stół i wiktowanie, a ewentualnie pranie i kąpiele rzeczne, z wszelką obsługą, jej przynależną, oraz kosztami podróży ze stacyi kolei żelaznej do wyżej cytowanego majątku a raczej wsi, Małe Długi zwanej, wreszcie na skutek zastrzeżonej w umowie tej z dnia 24 maja okoliczności, co się tyczy wypośrodkowania kosztów wiktowania, ubikacyi i delożowania powołanej wyżej córki mojej Anieli podług stopy...

Tchu mi już zabrakło przy czytaniu, więc, opuściwszy dwie następne drobnym maczkiem zapisane stronnice, spojrzałem na koniec, z którego dowiedziałem się, że szanowny konsyliarz, zaliczywszy córkę do jakiejś rangi, proponuje kwotę 51 reńskich centów 28 na miesiąc i prosi, abym, jeżeli ja na te warunki się zgodzę, piśmienną akceptacyę nadesłał.

Było tam jeszcze coś trzy *postscripta*, ale nie miałem czasu do czytania, bo właśnie weszła żona do kancelaryi. Mimo zadąsania za owe łazienki, ciekawość kobieca przemogła, co to mogą być za listy, które z taką uwagą czytam i do tego jeszcze listy reko-

mendowane. Nie czekając zapytania z jej strony, mówię prosto z kopyta:

— Nowa przyjemność!

— No, cóż takiego?

— Ciotka przyjeżdża do nas we czwartek z panną Anielą!

Pannę Anielę dołożyłem do ciotki, żeby tak za jednym zamachem dwie sprawy ubić.

— Jaka ciotka?

— Prudencya.... Cóż to nie znasz jej?

— A to z jakiej racyi?

— Ba zapytaj jej.... Pisze, że przyjedzie, żeby konie posłać do stacyi....

Aż mi się żal zrobiło poczciwej Honorci, bo tak się przeraziła tą wiadomością, że stoi przedemną z załamanemi rękoma i patrzy się nieruchomie...

— Czegóż ona chce od nas?

— Nie wiem, pisze że przyjeżdża, zapewne w odwiedziny....

— Jakież ona ma czoło, ta mizdrząca się egoistka, jeżeli pożyczając pięćset reńskich, kazała sobie tak wielki procent zapłacić. Przyznam, że to już dochodzi poprostu do bezczelności!... A ta druga, Aniela, co to za jedna?

— Nie znasz jej? córka konsyliarza!

— A, to ta arogantka, która chciała moje dzieci egzaminować, jakeśmy byli we Lwowie.... Ta, co to miałeś się z nią żenić....

— Ani myślałem. Nieboszczyk ojciec sobie życzył, bo żyli w przyjaźni z konsyliarzem, ale mnie się od razu nie podobała.... Stary tu pisze że zapłaci za jej pobyt, ty wiesz, jaki to pedant i skrupulatny....

— Cóż my tu mamy zakład jaki, czy zajazd?

— No widzisz moja Honorciu, konsyliarz jest mi bardzo użyteczny we wszystkich sprawach z urzędami.... Nigdy odemnie nic nie wziął i tak gorliwie chodzi za naszemi interesami, że bez niego, kto wie, co by się stało....

— Bardzo dobrze, ja rozumiem grzeczność za grzeczność, ale dlaczegóż nam proponuje zapłatę?...

— On taki już jest...

— No to i ja jestem taka!... Dlaczegóż mnie ktoś ma płacić, jeżeli odemnie nie bierze.... Jedna osoba obca prawda, że zrobi wielką subjekcyę....

— Co za subjekcyę, oni tak skromnie żyją....

— Tobie się tak zdaje, a ja dla tej je-

dnej osoby muszę przewracać cały porządek domowy....

— To właśnie źle — nie trzeba być próżną....

— Wy wszyscy tak mówicie, a chcecie, żeby każda rzecz była, jak się należy, i nie pytacie się: zkąd, co, jak. Mnie o żadną próżność nie idzie, tylko nie mogę znieść, żeby ktoś sobie myślał, że tu jest nieład.... Dlatego napisz mu, że jeżeli chce tak — zgoda, a jeżeli ma płacić, to nie chcę....

— Co ci to szkodzi, moja Honorciu, on taki dziwak...

— Szkodzi mi, bo ja również taką mam jak i on ambicyę.... Zresztą za darmo przyjmując, jak jest, musi być dobrze, a jak za zapłatą, już mię to zobowiązuje.... Co zaś do ciotki, to napisz wprost, że ja sobie nie życzę, niech jedzie tam, gdzie pieniądze bez procentu pożycza....

— Moja Honorciu....

— Inaczej jak ona tu przyjedzie, ja wyjadę z domu, jak matkę kocham, wyjadę....

— Siostra mojej matki....

— Niech sobie będzie jaka chce.... Zrób, jak mówię, Ksawerku, wierz mi, nienawidzę tej kobiety.... Ty jesteś zanadto miękki i chciałbyś wszystkim się wysługiwać, a to nie

warto.... Swiat dzisiaj taki jest, wyzyskują i jeszcze imponują...

— Ależ to czasu już nie ma na odpis...

— No to sobie rób, jak chcesz. Masz kluczyki, rządź, przyjmuj, gospodaruj, ja o niczem wiedzieć nie chcę....

Rzuciła mi pęk kluczy na stół, i poszła....

Nigdy jeszcze w życiu i koło nikogo nie chodziłem z taką pokorą, uniżonością i poddaństwem, jak przez te parę dni około żony. Nie miałem głosu, nie miałem woli, nie widziałem nic, tylko żonę i jej zachcenia, a twarz moja wyrażała taką boleść i rozpacz, że kiedy sobie przypomnę dziś tę nieszczęśliwie przygnębioną minę to dalibóg nie mogę się powstrzymać od śmiechu i gniewu. jak ja komicznie musiałem wyglądać.

Widziałem, że żona ma racyę, bo doprawdy egoizm ciotki nie zasługiwał na żadne względy, ale przeróbcież mię, moi państwo, na innego człowieka? Przyrzekłem, nie mogę się wykręcać.

Do konsyliarza napisałem. jak żona radziła i tak jakoś miałem nadzieję, że stary się nie zgodzi, bo to również ambitna sztuka i uparta, ale co do ciotki, to kazałem wytoczyć starą, jeszcze na stojących resorach,

żółtą jak pocztowy dyliżans bombę, zawołałem kowsla, żeby to obejrzał, śrubki poprzykręcał, a stangret odsmarował skóry twarde jak u nosorożca.

Coś drugiego dnia moja żona ulitowała się widocznie nad mojem położeniem, bo słyszę, daje dyspozycyę o mięso, każe piec bułki, i o wyjeździe nie wspomina.... Wiedziałem, że tak będzie, u niej zawsze tak dużo hałasu, krzyku, trzasku, a potem się utemperuje, i dobrze.

— Czemuż ty nic nie jesz? — odzywa się głosem, który mi się wydaje grzmotem po oddalającej się burzy.

— Eh, daj mi pokój — mnie już wszystko obrzydło na świecie....

— A głupstwa lubisz robić.... No jedz, jedz, i nie martw się..... Już jakeś zaprosił, to nie odprosisz... Powiedz mi, czy to potrzebne jest takie wylewanie się ze swemi usługami? Nie bój się, ja wiem, żeś prosił i sam proponował....

— Daję ci słowo, że nie — mówię, przybierając drugi kawałek pieczeni, bo jakoś w tej chwili apetyt mi powrócił — ona sama wystąpiła!

— A dlaczegożeś to ukrywał przedemną?

— Bo ja wiem! Ot tak, myślałem sobie. będzie się martwić....

— Jaki ty jesteś dziecinny! Teraz to się nie martwię, co?

— Zawsze, przez krótszy czas... Ale moja droga — mówię, zdecydowany wisieć już za obie nogi — kiedy chcesz całej otwartości z mojej strony....

— Naturalnie, bo to najkrótsza droga....

— Więc powiem ci, że to jeszcze nie koniec.... tylko się nie strasz moja kochana, bo już nie będziesz miała żadnej subjekcyi, jak ciebie kocham, żadnej, przyjadą tylko na mieszkanie i sami sobie będą gotować....

— Kto? — pyta znowu z pochmurzoną miną, rzucając serwetką na stół....

— Tylko się nie gniewaj! Żona Adolfa Zdzierkiewicza z siostrą.... On taki grzeczny, prowadzi dwa lata proces nasz bezpłatnie.... Nic wziąć nie chce.... Oni tylko na parę tygodni do kąpieli, przywiozą kucharkę.... Przyjęli mię tak grzecznie.... nie mogłem się wymówić....

— Ha, teraz mi wszystko jedno — mówi z pewnem drżeniem w głosie — niech sobie cały Lwów przyjeżdża.... Wszystko mi jedno....

Wziąłem się i ja do czułości, zacząłem

ją całować, wyrywała się, uciekała, trzepała rękami, ale ja już z desperacyi zrobiłem się tak czułym, tak awanturniczo odważnym, że po długich korowodach, płaczach, historyach, wyrzutach i skargach, jakoś wypłynąłem na ocean spokojny.

— No i powiedz mi Ksawerku — odzywa się z miną dyrektora gimnazyum do ucznia po odbytej egzekucyi — ileś ty niedorzeczności w życiu narobił a zawsze w tajemnicy przedemną!

— Prawda, ale bo widzisz, ja nie umiem się wymówić.

I przez pół godziny jeszcze musiałem słuchać kazania o lekkomyślności mężczyzn, o łatwowierności ich względem kobiet, jak każda trochę sprytniejsza może z nami robić, co chce, a wy jak barany damy się wodzić za nos. Daję słowo, powiedziała ten wyraz b a r a n y, i cóż wy na to, czytelnicy?

Co do mnie, zrzuciwszy tak ciężki kamień z serca, tylkom się wyprostował, odetchnął i zaraz przyszedł inny humor i dobra mina.

Zaczęli się tedy zjeżdżać. Naprzód ciotka z Misią i kucharką Ignacową. Miały wypadek w drodze, bo coś tam się zepsuło w powozie i ciotka musiała przez wodę prze-

chodzić w prunelowych trzewikach — przyjechała więc zła, w przekonaniu, że jutro będzie miała katar. Zobaczywszy moją żonę, rzuciła się jej na szyję, wycałowała dzieci, dała im po parę karmelków i nie mogła się odchwalić mleka....

— Dla mnie kochana Honoratko, nic tylko mleko.... Nektar, delicye, spróbuj Ignacowa, czy to podobne do tego mleka, co my we Lwowie kupujemy.

Pomimo to zjadła z największym apetytem cały obiad, pytała się, czy nie ma jeszcze poziomek lub malin, i zapowiedziała, że kawę zwykle pija o szóstej, jedną filiżankę, ale gorącą, i żeby sama mogła ją sobie nalewać.

— Moja Ignacowo — rzecze do kucharki — powiesz służącej, jak ja lubię, i możesz dać jej naszą maszynkę. Spirytusu pewnie tu u was nie brakuje... Przepraszam cię, moja droga Honoreczko, ja ci tu żadnej subjekcyi nie zrobię. Nie zważaj na mnie i dysponuj tak, jaki u ciebie porządek, a ja się do wszystkiego zastosuję.....

Po objedzie odprowadziłem ją do murowańca, gdzie już pakunki zniesiono.

— To tu? A ja myślałam, że na tam-

tej stronie, pamiętasz w tych pokoikach z widokiem na rzekę..

— Tam kochana ciociu pani Zdzierkiewicz stanie z siostrą i dziećmi. Oni będą prowadzić swoją kuchnię i jest ich więcej osób.

Obejrzała się po pokoju, widzę skrzywiła nosem, skromne umeblowanie wcale się jej nie podobało.

— Coż to nie będzie materaca na łóżku i ja mam spać na tem sianie?

— Czy ciotka nie przywiozła z sobą?

— Dobry sobie jesteś! Materace wozić na wieś.. I tak zapłaciłam coś reński dwanaście centów od rzeczy... Ale ale, dobrze, że sobie przypomniałam, zwróć że mi trzydzieści dwa centy za myto... powiedział człowiek, żeś mu nie dał... Ja trzymam się tej zasady, że porządne rachunki utrzymują przyjaźń.

W imię więc tej przyjaźni zapłaciłem trzydzieści dwa centy..

— Materace każę zaraz przynieść i proszę, jeżeli ciocia coś będzie potrzebowała, to do mnie. Żona ma tyle zajęcia przy gospodarstwie.

— Dobrze, ale co ja tu mogę potrzebować, chyba żebyś po obiedzie zajrzał na

partyjkę warcabów. Kapitan zawsze ze mną grywa .. Nawet przywiozłam warcabnicę.

— Nie umiem, kochana ciociu...

— To tak łatwo, w pół godziny się nauczysz...

Przyszedłszy do swego pokoju, każę wyciągać z mojego łóżka materace, a żona się śmieje.

— Masz twoją gościnność Ksawerku — mówi do mnie — to dopiero początek. .

Jakoż Wikcia dobra miała przeczucie. Nie mogę się pokazać na dziedziniec, żeby albo ciotka nie pukała w okno, albo Ignacowa nie zastępowała mi drogi z oświadczeniem, że pani prosi pana na momencik.

— Mój Ksawerku, ty poczciwy chłopcze, patrz, gdzie ja tu moje suknie w tej szafie pomieszczę...

— Nie mamy ciociu wolnej...

— Ja wiem, że ty jak zechcesz, to się znajdzie. Idźno, idź i pomyśl.

Idę i myślę w ten sposób, że moje manatki wieszam na ścianie w kancellaryi, a szafę przenoszę do murowańca.

— Ksawerciu, firanek nie mam.

— Na cóż cioci firanki? Okna tak wysoko....

— A popołudniu spać... Daję ci słowo, nie usnę w jasnym pokoju....

— Okiennice każę pozamykać....

— Nie można, bo znowu tak ciemno jak w grobie. Może tam macie jaką starą chustkę, albo co.... Nie jestem wymagająca, ty mię znasz....

Wypraszam tedy od żony sukno do prasowania, robię pętelki, przybijam gwoździe, i są firanki.

— A gdzież będzie spała Ignacowa?

— No, moja ciociu, już niech ona myśli o sobie. Niech się z naszą kucharką porozumie.

— Ach, ta wasza Maryanna, to coś takie ordynaryjne, pochmurne, i przyznam ci się, nieszczególnie gotuje.... Ta potrawa z kur.... gdzież taki sos, kto tyle mąki sypie.... Kapitan do ustby nie wziął takiej potrawy.... Już jak on przyjedzie, to pozwolicie, że Ignacowa pokaże tej waszej Maryannie, co i jak się dla niego gotuje... A proszę cię, gdzież ty go pomieścisz?...

— W mojej kancellaryi na sofie....

— Nie można.... On potrzebuje mieć oddzielny pokój.

— Więc umieszczę go w skarbcu naprzeciwko, jeżeli Alojzy wprzód nie przyje-

dzie. Sądzę, że ciocia nie będzie miała nic przeciwko temu, bo zwykle to co najdroższe, odsyła się do skarbca....

— Ej Ksawerciu, nie żartuj.... Wiesz, że bardzo się cieszę z przyjazdu Alojzego... Jaki to miły chłopiec, jaki ugrzeczniony.... złoto prawdziwe.

— Więc obydwóch razem do skarbca, zgoda? Niech idzie złoto do złota.

— Nie można... oni się tak niecierpią.... oniby się pozabijali... Kapitan nie taki, jak się zdaje.... zaraz pokręca wąsa i do szabli... I tak ja niewiem, co to będzie, jeżeli zastanie Alojzego tu naprzeciwko w tym skarbcu....

Jeszcze przez okno dodaje szanowna kuzynka:

— Mój drogi Ksawerciu powiedz tam tej waszej Maryannie, niech się nie sprzeciwia Ignacowej.... Ja znam wasze sługi wiejskie, są okropnie kłótliwe.... Nie chciała dać Ignacowej kwaśnego mleka do mycia, a ja czem innem nie mogę....

Też samą rolę faworytki co Ignacowa względem ciotki, odgrywa nasza Maryanna względem żony. Jestto kobieta już niemłoda, szczupła, wynędzniała, ale w przekonaniu o sobie artystka w zawodzie kucharskim, służyła bowiem w traktyerni w Samborze,

gdzie sam pan prezes przysyłał czasem po befsztyk, bo takiego nawet we Lwowie nie robią. Maryanna wobec mnie i żony jest taką słodziutką kucharką i gospodynią, że choć do rany przyłóż. Ani ja, ani żona nie możemy się pokazać, żeby zaraz nie całowała w rękę i z tak anielskim uśmiechem, że aż serce się rozpływa.... Wszystko co pani powie, jest bardzo dobre: za dużo — to za dużo; za mało to za mało.... a że udaje skąpą i oszczędną, więc jest okiem w głowie u Wikci. Tymczasem w gruncie rzeczy dla innych sług jest tak baba zła i dokuczliwa, że dalibóg dziwię się nieraz świętej cierpliwości tych ludzi i tych dziewek, co jej tam pomagają, jak one mogą z nią wytrzymać. Cicho, milczkiem, z uśmiechniętą twarzą, będzie ich tak gryźć, tak wolniutko docinać, tak przed żoną podwodzić, że zawsze na swojem postawi. Gdy więc pokazała się druga taka sama jak ona, pani Ignacowa, uważająca siebie za coś niezmiernie wyższego, ma bowiem czepek z zielonemi wstążkami i jedenaście sznurków korali na szyi, od pierwszego spojrzenia zaczęła się między niemi ukryta walka. Nasza Maryanna, opierając się na protekcyi mojej żony i czując, że ciotka nie jest *persona grata*, pozwoliła sobie lekce-

ważyć Ignacowę, również taką samą łagodną, cichą i Bogu duszę winną.

Mówię tedy do żony: Każ tam naszej kucharce, aby była grzeczną i usłużną.

— Mój kochany nakaż sam, wszak jesteś panem domu. Ja sobie dałam słowo, że względem twojej ciotki pozostanę zupełnie neutralną. Ani za nią, ani przeciw, i zostawiam ci zupełną swobodę dyspozycyi. Jak zarządzisz, tak będzie.

Idę tedy do kuchni i mówię Maryannie, a ona powiada:

— Ja wszystko i owszem, co tylko pani Ignacowa zechce.... Czy to moje proszę pana.... Niech bierze...

— Bo to Maryanna potrafisz tak czasem dogryźć milczkiem, ja cię znam i proszę, żeby mi tego nie było....

— Już mię też ktoś widzę obmówił....

— Nikt nie obmówił, tylko ja sam wiem.

— A bodaj on jutra nie doczekał — ciągnie swoje dalej słodziutkiem głosem. — Czy ja tu komu wchodzę w drogę.... Święta Maryo, opiekunko moja, ochroń też przed złymi ludźmi.

— Gdzież ta Ignacowa będzie spała?

— A niech spi i tutaj ze mną w ku-

chni. Ja proszę pana, chociaż mię tak obmówili, jestem dla każdego szczerą. Niech sobie przyniesie słomy z obory.... jak chce to ja jej łóżka swojego odstąpię.... Dobrze, ja jej powiem, bo cóż tam aż pana kłopotać takiemi rzeczami. My sługi to tam gdziebądź....

Zamiast poprawić stosunki, dałem powód jeszcze do lepszej wojny między temi kobietami. Przez cały pobyt ciotki nie było dnia, żeby nie toczyła się sprawa albo przed moją żoną, albo przed ciotką, a jedna i druga szły w prostej drodze do mojej apelacyi.... Wykrzyczałem, zirytowałem się, a nazajutrz toż samo.

— Albo to ja się z nią kłócę — mówi miodowym głosem Maryanna — to ona proszę pana ze mną się kłóci. Ja tam do niej nie idę i słowa się nie odzywam.... Chciała, proszę pana, buraka wczoraj, na co, to nie wiem. Wańko mówił, że się maluje, czy coś tam innego robi, powiedziałam sobie, idź moja kochana, wykop z ogrodu.... Przychodzi późno, ale ja przywykła do budzenia i tak całą noc nie spię, bo tylko słucham, czy się lis nie zakrada do kurnika....

Otóż ta obawa przed lisem, którego żadna żywa dusza w Małych Długach nigdy nie widziała, zniewala Maryannę do różnych

peregrynacyj nocnych, podczas których, ma się rozumieć przypadkiem, spotyka Ignacową lub niańkę pani Adolfowej, rozmawiającą to ze stangretem, to z sadownikiem w ogrodzie itp., o czem zaraz dowiaduje się moja żona przy wydawaniu na obiad ze spiżarni.

Proszę teraz posłuchać, jak ciotka na pół z płaczem rozpowiada mi o Maryannie:

— Jak wy też możecie trzymać taką kucharkę? Toż to sama żółć chodząca. Wystaw sobie, żeby nie dać garnka Ignacowej dla zagrzania wody, to umyślnie w każdym coś zostawi, trochę mleka, trochę kartofli, aby tylko nie było wolnego. Drzewa dla mojej sługi nigdy nie ma suchego, każe jej brać mokre, a w tej waszej kuchni można pół dnia palić i blacha się nie rozgrzeje....

— Owszem ciociu, ja kazałem dawać wszystko....

— Cóż, że ty kazałeś, ale cię nie słuchają. Wierz mi, ona taką ma minę, jakby piła...

— Ona nie pije, proszę pani — odzywa się, uprzątając pokój, Ignacowa — ale okowitę ma zawsze za kufrem w butelce. Podobno z tym karbowym dobrali klucze do

magazynu, ale ja o tem nie wiem, bo ja proszę pani, nie lubię się trudnić bajkami....

— Widzisz Ksawerciu, jak to u ciebie idzie gospodarstwo! I ty chcesz wyjść z długów... Nie tak się to pilnuje na wsi, nie....

Passya mię bierze, zrywam się, biegnę do kuchni na rewizyę, i jak raz znajduję butelkę za kufrem z trochą okowity. Ma się rozumieć, robię hałasy i wpadam na Maryannę, zkąd, co, jak? Na to zjawia się żona, sprawa się wytacza, a kucharka zaklina się na wszystkie świętości, że już od trzech lat, jak się wyprzysięgła, kropli wódki w ustach nie miała, że tę butelkę pierwszy raz widzi, że ktoś zły podłożył, za co bodaj ręce i nogi połamał na prostej drodze, żeby go to i owo spotkało....

Po półgodzinnem śledztwie w magazynie, po zrewidowaniu zamków i beczek, podczas których głośny płacz i pomstowania dolatują mię z kuchni, przekonała się żona, że to niezawodnie podłożona butelka, bo nietutejsza, a okowita jest ta sama, którą ja dałem przed kilku dniami Ignacowej do maszynki....

No i dojdźże tu kto, jeżeliś mądry! A trzeba państwu wiedzieć, że to wszystko

działo się jeszcze przed przybyciem pani Adolfowej, tudzież Laury, kiedy ich było tylko dwie. Bo co potem, to już mówić nie chcę, a cóż dopiero opisywać.

Po panią Adolfową pojechałem sam do kolei, bo o to listem prosił mnie kolega. Mieliśmy powóz, moją bryczkę i furę po rzeczy, ale pokazało się, że trzeba było przynająć jeszcze jedną. Panie te zabrały wielką pakę ze szkłem i porcelaną. kolebkę, wszystkie statki kuchenne i wanienkę do kąpieli dla dzieci. Pani Adolfowa jest uszczęśliwiona, jak pensyonarka jadąca na wakacye. Panna Olga z dziećmi i mamką jadą powozem, ja z panią i z czteroletnim chłopczykiem bryczką na resorach, która ma ten nieszczęśliwy zwyczaj, że ile razy stuknie o kamień, to koło obciera się o skrzydło blaszane i tak zgrzytnie, że aż mrowie przechodzi po skórze. Pani doktorowa (ma się rozumieć praw) podróżowała już nieraz ale koleją i do wód za granicę; bawiło ją więc wszystko, cośmy po drodze spotykali, dopytywała się, dziwiła, przestraszała lub unosiła.

— Ach bławatki, jakie śliczne bławatki... mój panie, stańmy troszkę.

— Będzie pani ich miała dosyć i u nas.

— Nie, mój panie stańmy, ja Dziudziowi urwę do kapelusza.

Jechaliśmy przodem, więc stanąwszy, wszystkie fury zatrzymaliśmy za nami. Pani rwie te bławatki i rumianek, zwija bukiecik, który przypinamy Dziudziowi, potem drugi Pepciowi... Aaa, bo ja nie mogę jednemu dać a drugiemu nie dać.

Ruszamy dalej, co bryczka zaskrzypi, moja pani łap mię za rękę.

— Panie Ksawery oś pękła!

— Nie pani, to tylko resor się ugina i koło trze o skrzydło.

— Jesteś pan pewny, że nie oś?

— Najpewniejszy.

— Może lepiej zobaczyć, mój drogi panie — mówi, głaszcząc swą delikatną rączką po mojej ręce i patrząc mi błagalnie w oczy.

Każę stawać, wysiadam i ona wysiada, pokazuję, że co innego jest oś, a co innego resor, pani jest przekonaną, ale biegnie odwiedzić w powozie Pepcia, całuje go i pyta, czy kontent, zagląda do małej, która spi na ręku niańki, a wreszcie gwałtem prosi, żeby panna Olga przywiązała ręcznikiem do siebie Pepcia, bo on może wypaść, jak powóz podskoczy.

Przyznaję, że te nieustanne chwytania

mojej ręki, że te omdlewająco czułe prośby, żeby stawać, mogły zachwycać kogobądź innego na mojem miejscu, bo pani Adolfowa jest sobie niczego, a ta dziecięca naiwność nawet jej do twarzy — ale mnie, który miałem już w półkopkach coś dziewięćdziesiąt kóp żyta i myślałem, że je dziś jeszcze schwycę do stodoły — te ciągłe stawania wcale nie były na rękę, tembardziej, że od zachodu jakoś mroczyć się zaczęło i na noc deszcz niezawodny.

Wjeżdżamy do lasu, a z daleka na drodze pokazuje się powiewający piórami kapelusz żandarma i błyszczący bagnet jego karabina.

Moja sąsiadka chwyciła mię obu rękami.

— Panie Ksawery, kto to?

— Żandarm....

— Czy tylko prawda, że żandarm?

— Zobaczy pani, jak nadjedziemy....

— Eh, mój drogi panie — rzecze znowu po chwili z przerażoną miną — może pan tylko tak mówi, żeby mię uspokoić.

— Ale słowo pani daję, że żandarm. A pani myślała, że jaki rozbójnik, co? — pytam, śmiejąc się z jej przestrachu. — Niech

pani będzie spokojna, u nas tu nie ma bandytów....

— A nieraz czytam w gazecie, że tu zamordowali kogoś, tam napadli....

— To są wyjątkowe zdarzenia.... Zresztą mam z sobą rewolwer....

— Jak to, pan masz rewolwer?

— Mam.

— Tu z sobą?

— Tu....

— Może nabity?

— Naturalnie że nabity, bo nie czas byłoby nabijać w razie napadu.

Patrzę, moja pani Adolfowa zaczyna blednąć, i powoli odsuwa się odemnie. Po chwili jednak zapytuje znowu lękliwym głosem:

— Prawda panie, że on może wystrzelić przypadkiem?

— Nie pani, nie wystrzeli....

— A jakby się przewróciła bryczka i pan gwałtownie upadł na kamień?

— W takim razie szczególniejszym wypadkiem.... Ale po cóż takie przypuszczenie....

Zamilkła, lecz przy pierwszem nachyleniu się bryczki na moją stronę, krzyknęła:

— Och!

— Co pani jest?

— Nic, myślałam, że się przewraca-

my.... Mój drogi, kochany panie Ksawery — odzywa się, składając rączki, ale już z daleka — zrobi mi pan łaskę....

— I owszem, niech pani tylko rozkaże...

— A nie będziesz się pan śmiał?...

— Nie....

— Niech pan wyrzuci ten rewolwer...

Uśmiechnąłem się mimo przyrzeczenia, i zaczynam ją przekonywać, że tu nie ma żadnego niebezpieczeństwa, i chcę jej pokazać, jak to się strzela.

— Nie, nie! — woła, zasłaniając twarz obiema rękami.... — Niech pan wyrzuci!

— Nie mogę....

— To niech pan przynajmniej odda go na inną furę.

— Dobrze — mówię, kazawszy się zatrzymać bryczce — włożę do kieszeni do powozu....

— Nie, nie.... tam siedzi Pepcio i Olesia, daj pan na furę, gdzie nikt nie jedzie...

Cóż miałem robić? Idę do ostatniej furmanki, wiozącej same pakunki, i nieszczęśliwy rewolwer wsadzam gdzieś do worka z obrokiem, a pani Adolfowa wciąż patrzy za mną i nawet staje w bryczce, aby się przekonać, że to jest prawda.

Jesteśmy znowu w dobrym humorze, pani uszczęśliwiona, zapewnia, że o tej przysłudze nigdy nie zapomni, i prowadzimy rozmowę o spotykanych cielętach, to znowu, dlaczego chłopskie dzie i nie mają żadnego ubrania prócz koszuli i że ona, gdyby mieszkała na wsi, to zarazby założyła ochronkę i wszystkim szyła sukienki.

Przejeżdżając wbród rzekę, mieliśmy jeszcze małą awanturę; nie chciała się w żaden sposób odważyć siedzieć na bryczce, więc musiałem kazać wprzód przejechać furmance z rzeczami, a gdy nasze konie stanęły, żeby się wody napić, krzyczała w niebogłosy, że już toniemy.

W dwie godziny później dojechaliśmy przecie szczęśliwie do domu. Gdym wprowadził panią Adolfowę do murowańca, zachwycona była jak małe dziecko, że takie ładne ma pokoiki, czysto wybielone, klaskała w ręce, podnosiła dzieci do okna, pokazując im śliczne widoki, naradzała się z panną Olgą, który najprzód będzie malować, podziwiała młode pawie i kazała sobie czemprędzej wydobywać papier, ołówki i farby, żeby już rysować...

Nad spodziewanie moje, żona bardzo serdecznie przyjęła te panie, a gdyśmy się

zgromadzili na obiad, wyłącznie zajmowała się niemi, usadzała dzieci, zakrywała fartuszkami; a zato ciotka Prudencya siedziała z takim marsem na twarzy, tak wszystko jej nie smakowało, że obawiałem się, czy nie nastąpi jaki wybuch.

Naturalnie, że ani słyszeć nie chciała żona o jakiejś oddzielnej kuchni.

— Moja droga pani — rzecze na to zakłopotana doktorowa — kiedy Adolf tak mi kazał....

— Eh, co my tam mamy słuchać Adolfa — odrzecze Honorcia. — Osądź pani sama, czy pozwoliłabyś, aby u ciebie gość kazał z restauracyi przynosić jedzenie...

— Prawda, ale my przywiozłyśmy wszystko z sobą i chyba, że pani przyjmie...

— Dobrze, dobrze, zobaczymy, naradzimy się, a tymczasem niech panie się rozgospodarują...

Pani Adolfowa tak była rozrzewniona i uszczęśliwiona, że chciała moją żonę pocałować w rękę, ale Honorcia nie pozwoliła i ucałowały się obie kilkakroć tak szczerze i czule, jak rzadko się zdarza widzieć między kobietami.

— Jakież to miłe dziecko! — mówi potem do mnie. — Dajże jej swoje łóżko ze

sprężynami, gdzież taka delikatna osoba miałaby spać na sianie... Ty jesteś mężczyzna...

Ja byłem zupełnie tego samego zdania, więc zabrano mi łóżko, zabrano mi stolik i fotel, umywalnię i sofę i wszystko, co się tylko dało wynieść, tak, że zostałem przy jednem krześle z posłaniem, rozłożonem w kącie na podłodze.

Widziałem, jak ciotka z obiadu poszła do siebie z nosem bardzo a bardzo spuszczonym; więc idę do niej. Siedzi przy oknie i coś tam szydełkiem majstruje, a Ignacowa niby to sprząta, a rzeczywiście składa raport.

— Mój drogi Ksawery, jak to dobrze, żeś przyszedł — odzywa się, nie podnosząc oczy z robótki — Właśnie chciałam cię prosić, żebyś się postarał o moich pięćset reńskich....

— Wszak to jeszcze nie termin....

— Ja wiem, ale spodziewam się, że mi wygodzisz wcześniej. Zapewne niedługo będę musiała wyjechać, a nawetbym zaraz wyjechała, gdyby nie ten kapitan. Obiecał, że przyjedzie i nie mogę mu zrobić zawodu.

— Cóż cioci tak pilno? jeszcze się ciocia nie kąpała.

— Jakże tam się kąpać pod szałasem

z gałęzi, lada chwila może się zawalić. Przyznam się, nieszczególny miałeś pomysł budowania takiego szałasu na rzece....

— Jeżeli ciotka sobie życzy, każę zdjąć.

— Nie rób sobie subjekcyi. I tak nie będę się jeszcze kąpała, bo powinnam dostać kataru.... Nikt po mnie nie przyjeżdżał, jechałyśmy same kobiety, i kiedy się powóz nachylał, musiałam iść pieszo po błocie.

Udałem, że tego nie słyszę.

— Sypiać nie mogę na takiem łóżku bez sprężyn, komary mi dokuczają.... Boję się tak sama jedna, a ta biedna Ignacowa poniewiera się gdzieś po kuchni na ziemi.

— Eh, co tam dla sługi, proszę pani — wtrąca, uśmiechając się dobrotliwie kucharka — czy tu, czy tam.... Żeby tylko nie ten swąd z blachy.

— Jakto, i w nocy swąd?

— Trochę jest, bo Maryanna zawsze coś tam smaży dla karbowego. Ale niech tam sobie smażą, kiedy mają na to.... ja tam nie chcę nikogo obmawiać.

Widząc, że to znowu zanosi się na nową seryę plotek, udaję, że nie słyszę, i oświadczywszy ciotce, że każę tu przynieść łóżko, (ma się rozumieć to, które miało być dla mnie) zabieram się do wyjścia.

— Ksawery! — woła, kiedy już jestem we drzwiach — czy Honorcia nie była kiedy nauczycielką?

— O ile wiem, to nie, ale dlaczego ciotka o to mię pyta?

— Tak lubi matkować. Uważałeś przy obiedzie, rozkoszowała się tą adwokatową.

— Przecież ona nie dziecko?

— Tylko co? Widziałam, całowała Honorcię w rękę.... jakież to naiwne....

— Bo ona taka dobra.

— I ty wierzysz tej dobroci?...

— Wierzę, bo ją znam.

— Błogosławieni, którzy wierzą... Ale zapytajno pod sekretem panny Olgi albo służącej, oni ci powiedzą, jak to niewiniątko umie złościć się przy ubieraniu.

Byłem oburzony na podobną złośliwość ciotki, i nie słuchając dalej, wyszedłem z myślą, gdzieby tu pożyczyć pięćset reńskich, aby jej oddać — może pojedzie.

W parę dni potem nadciągnął dalszy kontyngens gości. Jest już i Laura z dziećmi i panna Aniela z siatką do łapania motyli, tudzież paką bibuły do suszenia roślin. Ambitny konsyliarz nie zapłacił za jej pobyt, ale przysłał tyle różnych różności, cukru, kawy, herbaty itp., że to z pewnością wię-

cej wyniosło niż pięćdziesiąt reńskich.... Ha, trudna rada, starego formalisty nie przerobi.

Pani bratowa jestto jeszcze młoda kobieta, lat może trzydziestu i w tym guście, że w ogóle podoba się wszystkim mężczyznom. Wysoka, smukła, na cienkiej szyjce nosi okrągłą główkę jak jabłuszko, a taka skromna w ubiorze, taka nieśmiała i żenująca się, że dość jej powiedzieć jakieś słóweczko podobne do komplementu, już spuszcza oczy na dół, a rumieńce występują jej na czoło. Może za poważna na swój wiek; odzywa się zawsze miodowo słodziutkim głosem, i trzeba tu przyznać, do rzeczy; na ustach ma ciągły uśmiech, a w całem obejściu dystynkcyę połączoną z niejaką swobodą.

Za to panna Aniela jest prawdziwym kontrastem Laury. W tych samych może latach, a kto wie czy nie starsza, małego wzrostu, szczupła, a przytem ściśniona w pasie tak, że aż przykro patrzeć. Twarz, choć już trochę pokiereszowana latami byłaby niebrzydką, gdyby nie te pretensyonalne miny, i te czułe powłoczyste spojrzenia wypukłych i zamglonych oczu, któremi na wszystkie strony szafuje. O ile ubior bratowej jest skromny, jakby mundurek pensyonarki, o

tyle panna Aniela wśród mnóstwa falbanek, kokard, festonów, kwiatów i innych świecących ozdób wygląda na perłowego motyla z intencyą fruwania z kwiatka na kwiatek. Ma dość długą i cienką szyję, którą tak jakoś w nienaturalny sposób wykręca, że na mnie zawsze robiła wrażenie kury, przysłuchującej się z daleka gdakaniu towarzyszek. Dość spojrzeć tylko na nią, aby się przekonać, że gwałtem chce być zachwycającą i w dwie minuty każdego oczarować; dlatego radzę być nadzwyczaj ostrożnym w rozmowie, bo zaraz uroi sobie pretensye, i każdą nic nieznaczącą grzeczność przyjmuje za coś innego niż grzeczność. Ja sam w epoce mojego kawalerstwa doświadczyłem tego, kiedy na jednym wieczorze, zaprosiłem ją do dwóch kontradansów. Po tym wypadku gruchnęła fama, że się staram o pannę Anielę, choć, przysięgam panu Bogu, ani mi się śniło. Naturalnie, że później już uciekałem jednemi drzwiami, gdy ona wchodziła drugiemi, lecz mimo to dziś jeszcze przy każdej sposobności obdarza mię złośliwemi wymówkami o niewierności i otwarcie daje poznać, że jej los zwichnąłem.

Mówią, że tu u nas w Polsce, jeszcze dwóch mężczyzn zgodzi się z sobą na coś,

gdy przyjdzie trzeci — bywaj zdrów ze zgodą. Ale co do kobiet, to podobno i dwie nie mogą być z sobą kordyalnie dłużej nad dwadzieścia cztery godzin. Doświadczyłem tego na wsi i mogę z niejaką pewnością utrzymywać, że w ogóle panie są nadzwyczaj skłonne do zmiany sprzymierzeńców. Kiedyśmy pierwszy raz tak gromadnie zasiedli do obiadu, uważałem, że konstellacya przymierzowa miała się tak: Moja żona, pani Wiktorya i panna Olga stanowiły jedną grupę; ciocia Prudencya z panną Anielą drugą; Laura była kokietowaną tu i tam, ale więcej skłaniała się ku ciotce; wreszcie Jarotkowa z urzędu trzymała z Hortensyą, choć ignorowała nieco pannę Olgę, strofującą moje dzieci, że nie bardzo grzecznie zachowują się przy stole. Mnie więc, jako gospodarzowi, pozostała rola uczciwego pośrednika, z pewnością trudniejsza od roli kanclerza niemieckiego na kongresie berlińskim, na którym, jak wiadomo, nie zasiadała ani jedna kobieta.

Co tam, żart żartem, nie mam pretensyi równać się z księciem żelaznym, chociaż ten przydomek żelazny, naprzykład co do dziedzictwa Małych Długów, przyjąłbym z ochotą — ale jestem przekonany, że gdybym go tak na trzy dni zasadził z mojemi

paniami w Małych Długach, i kazał lawirować, aby mogły zachować pozór dobrej harmonii między sobą, z pewnością drugiego dnia uciekłby jeszcze dalej niż do Warcina.

Ot, zacząwszy od rana, sprawy tak idą. My zwykle pijemy śniadanie o ósmej, i żona tak się pilnuje tego porządku, że niech ja się na kwadrans spóźnię z objazdu gospodarstwa — już burza — a tu wszystkie panie z miasta razem z fraucymerem spią jak zabite do dziewiątej.

— A czemu nas pan nie każe pobudzić, taka cisza.... Czemu pan każe zamykać okiennice? Prosimy, niech pan bez ceremonii woła: wstawajcie!

Ja też na drugi dzień w dobrej wierze posyłam pokojówkę — budź Dziewczyna stuka klamką, stuka do okiennicy, odzywają się głosy: dobrze, zaraz — a potem znowu cisza.... i spią.

Na drugi dzień już nie każę zamykać okiennic, a mimo to wszystkie wstają tak samo o dziewiątej tylko z bolem głowy, niewyspane i roznerwowane. Jednej muchy dokuczały od czwartej, drugiej księżyc świecił całą noc prosto w oczy, pani Wiktorya dostała bicia serca, bo starą wyschniętą topolę wzięła za rozbójnika z maczugą — jednem

słowem ani sposób, aby powstawały przed dziewiątą.

Żona powiada: Mój drogi, ja mam dwadzieścia osób do ugoszczenia i nie mogę siedzieć bezczynnie, więc czekaj ty i baw swoich gości, kiedyś ich zaprosił. Zamiast tedy iść w pole do żniwa albo do stodoły, gdzie snopki składają, spaceruję po dziedzińcu, jakby w jakie święto, podchodzę do murowańca, przysłuchuję się, węgli każę dorzucać do samowaru, pilnuję śmietanki, a tu w głowie siedzi mi ekonom, który z pewnością kazał żąć pszenicę od łąki, choć jeszcze zielona, a karbowy niezawodnie przyłoży mi w sąsieku żyto jęczmieniem, i nie będę miał co młócić dla Arona.

Nareszcie po dziewiątej pokazuje się jedna służąca, potem druga, trzecia, wszystkie ziewające i zaspane. Otwierają się okiennice i zaczyna się bieganina po kuchni. Ta potrzebuje wody prosto z krynicy, druga koniecznie ciepłej, tamta prosi o serwatkę, ciotka o świeży ogórek. Aniela pije mleko prosto od krowy, a krowy od niepamiętnych czasów już na pastwisku. Naturalnie, że moje sługi w kuchni ani myślą zadość uczynić tym wszystkim żądaniom, więc muszę sam interweniować, tu krzyknąć, tam przypo-

mnieć, kiedy ciotka znowu przysyła swoją maszynkę i prosi o spirytus, po który trzeba iść do składu.

Dopiero w godzinę potem, ciągnie to wszystko postrojone, wyświeżone, wypachnione, na pojedynkę jak żurawie, a na ostatku i ciotka, albowiem prócz kawy uważa za swój obowiązek pić jeszcze mleko, a po mleku herbatę, a po herbacie zajadać rzodkiewkę z masłem.

Służba nie może sobie dać rady, bo każda chce co innego, ma się rozumieć, jeżeli to nie robi subjekcyi. Wczoraj wszystkie przepadały za mlekiem, i żona kazała przynieść ogromny dzban na dzisiaj — tymczasem ta niezdrowa, tej za zimno, ta chciałaby gotowane i nikt się mleka nie tknął. Proszę Jarotkowej, żeby zastąpiła żonę, ale ta idzie jakby za pańszczyznę, rozlewa, tłucze, brząka.... wszystko jej z rąk leci i dopiero jak się weźmie panna Olga, każdy dostaje, co sobie życzy.... Ta Oldzia to bardzo praktyczna dziewczyna, i żeby ten Alojzy nie był taki safanduła, miałby z niej doskonałą żonę.

Po śniadaniu, myślę sobie, trzeba je tu gdzie wyprowadzić, a że tuż za rzeką jest moja pszenica, którą właśnie żąć zaczęli, pro-

ponuję, abyśmy poszli zobaczyć kąpiel. Nadspodziewamie wszystkie panie zgodziły się na to i rozbiegły się przygotować do podróży.

— Niech panie idą tak, jak są, cóż to na wsi, nie trzeba się inaczej ubierać.

— Tak się panu zdaje, musimy wziąć kapelusze.

— Na co? parasolki i dosyć....

Ba, jakże tu iść z parasolkami, kiedy wszystkie pokupowały sobie ogromne pasterskie kapelusze z kwiatami, wstęgami, a ciotka nawet coś w rodzaju kardynalskiego ze sznurami, które służą do przytrzymywania go podczas wiatru. Czekam przed domem znowu jakie pół godziny — nie wychodzą, a tylko widzę bieganinę po pokojach, przekładają trzewiki, odmykają i zamykają szafy, jakbyśmy zamierzali odbyć podróż za morze. Naturalnie zabiera się wszystkie dzieci i dla nich rozmaite zapasy cieplejszego odzienia, bo nad rzeką może być chłodno, choć to jest dzień jeden z gorętszych. Rusza kawalkata, naprzód panna Aniela z zieloną siatką na motyle, przy niej chłopcy Laury, którym się to narzędzie niezwykle podoba, ja z ciotką zamykamy pochód Naturalnie, że zatrzymujemy się co kilka kroków,

bo panna Aniela zapomniała szpilek na owady, pani Wiktorya wzięła dwie parasolki zamiast jednej, chłopiec Laury nie miał chusteczki na szyję — więc wracaj się, to ta, to owa, a my czekamy.

W Małych Długach nie brakuje kamieni, które rzeka ciągle wyrzuca, więc wszystkie drogi są niemi wysypane niby żwirem, ale jak to zwykle na wsi, bez wielkiego porządku. Patrzę, moje panie w delikatnych prunelowych trzewiczkach przebierają nóżkami, chłopcy adwokata przewracają się co chwila, a niechno się tylko pokaże jaka krowa — wszystko co tchu chowa się za mnie.

— Olesiu, Olesiu! — woła pani Wiktorya z przestrachem — zdejm ponsowy szalik!

— Na co? — pytam.

— Moja droga, zdejm natychmiast, pójdź tu Dolusiu! — krzyczy już, chwytając starszego chłopca i zakrywa go swoją suknią.

Olesia zdejmuje szalik, adwokatowa pakuje mi go gwałtownie do kieszeni i trzyma się rozpaczliwie mego surduta.

Zaciekawił mię ten rozkaz chowania ponsowego szalika, więc dopytuję się, co to ma znaczyć.

— To pan nie wiesz, że krowy nie lubią jaskrawych kolorów?

— Nic nie wiem.

— Jakto, nie czytałeś pan, że *torreadorowie* w Hiszpanii podczas walki byków używają chorągiewek z takiemi kolorami, żeby ich rozjuszyć?

— Pani — mówię — ta krowa jest chora i ledwie chodzi, dlatego nawet zostawiono ją w ogrodzie....

— Ale jak ona patrzy.... mój drogi panie.... jak patrzy.... niech pan ją odpędzi, ja się boję....

Machnąłem laską, krowa postąpiła nieco kulejąc i jakoś strach przeszedł, ale znowu o kilka kroków dalej słyszę przerażający pisk i krzyk ciotki.... Chodziło stado gęsi z młodemi, i gąsiorowi zachciało się podrażnić trochę szanowną panię Prudencyę. Z niezwykłą odwagą szła ona, zachwycając się młodemi gąsiętami, i nachyliła się, aby jedno pogłaskać, gdy ten impertynencki opiekun gęsiego rodu, wyciągnąwszy białą swą szyję z przeraźliwym sykiem rzucił się na nią... Znowu trzeba ratować i znowu cała gromada chowa się za mnie....

— A jakie to złośliwe te gęsi — rzecze z całą naiwnością pani Wiktorya — ni-

gdym ich nie jadła, bo mi żal było, że zabijają tak ładne stworzenia, które Rzym ocaliły, ale teraz każę kupować kucharce....

— Panie Ksawery, mój drogi panie — woła z drugiej strony Aniela, stojąc przy płocie ogrodu — każ mi też urwać ten kwiatek..... Ach, co to za pyszny kwiat bladoliliowy z żółtemi pręcikami!

Każ urwać, to znaczy, sam przeleź przez płot i urwij. Zbliżam się tedy i pytam: gdzie to ten kwiat?

— Tu, tu, tu, między zielenią! Jeszcze takiego nigdy nie widziałam i nie mam w swoim zielniku!

Z ciężkością, ale winduję się na ów płot, i choć żadnego kwiatka nie widzę, idę naprzód ...

— Prosto prosto, dalej — mówi, wskazując kierunek parasolką. — Ten, ten, przy którym pan stoi.

— Ależ to kwiat kartofli.... najzwyczajniejszych kartofli....

— Nie może być panie, proszę mi urwać.....

Zrywam, przynoszę i zapewniam, że to z kartofli, lecz ona nie chce wierzyć, bo koło Lwowa kartofle mają białe kwiaty, ten zaś jest blado-liliowy.

Laura się uśmiecha, ciotka dogaduje o znajomości botaniki pani nauczycielki szkół wydziałowych, ona zaś upiera się do ostatniego i zapewnia, że jak wrócimy do domu przekona mię z atlasu, że kwiat kartofli zupełnie inaczej wygląda...

Niechże wygląda, moja ty uczona pani — myślę sobie i prowadzę dalej na błonia, po których właśnie płynie nasza rzeka. Dłużyca podczas suszy jest sobie dość płytką choć bystro płynie, lecz po najmniejszym deszczu zbiera dość gwałtownie i robi mi szkody, zamulając mi sąsiednie pola, które kamieniami zanosi. Dla wstrzymania zatem jej pędu staram się rozdzielać koryto na kilka odnóg i właśnie jedna z takich ubezpieczona jazami z chrustu i kamienia płynie tuż za folwarkiem. Woda w tej odnodze płytka, więc szałas do kąpieli urządziłem na głównem korycie o kilkadziesiąt kroków dalej, a zatem chcąc się tam dostać, trzeba wprzód przebyć odnogę. Dwa razy już stawiałem mosty na Dłużycy, bo to ogromna jest przeszkoda i mitręga w gospodarstwie ciągle w bród jeździć tam i na powrót, a jak przyjdzie wylew to pozbawionym się jest wszelkiej komunikacyi, lecz oba moje mosty na wiosnę woda zabrała jak swoje i ja napróżno poniosłem

dość znaczne koszta. Zapewne, że gdybym miał na to parę tysięcy reńskich, tobym potrafił zbudować most silny, ale że człowiek nie wie, gdzie tu wprzód te pieniądze włożyć, więc jeździe się po staremu przez rzekę i musi być tak dobrze. Teraz jednak, żeby moje panie miały przystęp do kąpieli, kazałem zrobić dość szeroką kładkę z całej jodły na płask z wierzchu zciosanej a przy niej dość silną poręcz do trzymania Ale że to u nas na wsi nigdy nic porządnie nie zrobią, jak człowiek sam nie dopilnuje, więc i ową poręcz postawili tak daleko od kładki, że trzeba by mieć długie ręce, przynajmniej na dwa łokcie żeby dosięgnąć tej baryery.

Panna Olga, ujrzawszy kładkę, powiada odważnie:

— Ja przejdę sama, ja się nie boję. — I uniósłszy trochę sukienki, rzeczywiście bardzo zgrabniutko i śmiało przebierając nóżkami — a mówiąc nawiasem, zgrabniutkie ma nóżki — stanęła na drugiej stronie.

Laura za jej przykładem, zresztą już oswojona z tego rodzaju przeprawami, także przeszła. Adwokatowa bała się co prawda i musiałem ją za rękę prowadzić, ale dotrzymała placu i niezmiernie była uszczęśliwiona z tej niebezpiecznej przeprawy, klaskała

w ręce, śmiała się i dokuczała pozostałym paniom, że się obawiają. Jakoż z panną Anielą już trochę cięższa była przeprawa; idąc bokiem, prowadziłem ją mocno za rękę, za co też ściskała moją dłoń serdecznie, nie wiem tylko, czy ze strachu, czy też z przyzwyczajenia. Przy końcu jednak, gdy kładka zaczęła się przechylać w cieńszym końcu, rzuciła mi się bez ceremonii w objęcia i w tej pozycyi dostawiłem ją na brzeg.... Gdybym nie miał jeszcze żony — z pewnością w pierwszą niedzielę trzebaby dać na zapowiedzie — aniby mię to minęło, daję słowo... Tym razem jednak skończyło się na niezmiernie przeciągłem spojrzeniu z przyłożeniem rączki na piersi, z rumieńcem i westchnieniem zapewne nad dawną moją niewiernością....

Przyszła kolej na ciotkę, osobę, jak miałem honor już wspomnieć, dosyć korpulentną. Widzę, boi się, ale nadrabia miną, bo panie stojące na drugim brzegu, zaczynają jej dogadywać.

— Niech ciocia pozwoli, ja przeprowadzę....

— Dziękuję, ja sama potrafię, proszę się tylko cofnąć.

— Przynajmniej parasolkę niech ciocia złoży, bo będzie przeszkadzać....

— Tylko mi daj pokój....

W rzymskich wyciętych trzewiczkach, trzymając w jednej ręce parasolkę, drugą unosząc lekką bareżową suknię wraz z sznurkiem od kapelusza, idzie, ale tak trwożliwie i niezgrabnie, tak stąpa ciężko, że kładka zaczyna drgać jak struna. Ja wołam: śmiało, śmiało! ale zestraszona nic nie słyszy... Widzę, że się chwieje, więc dalej naprzeciw, chwytam ją za rękę, ale niestety — zapóźno. Straciwszy równowagę, ciotka buch do wody i mnie pociąga za sobą.

— Tonę, ratuj! — woła z trwogą, podczas gdy parasolka i kapelusz płyną, a na brzegu taki krzyk, że niech Bóg broni.

Naturalnie, skończyło się na strachu i przemoczeniu. Pobiegłem łapać parasolkę i kapelusz, a tymczasem obstąpiły ją kobiety i dalejże pocieszać i uspokajać.

— Ty naumyślnie mię wrzuciłeś! — zawoła, przeszywając mię piorunującym wzrokiem.

— Ależ ciociu.... — mówię, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu.

— Umyślnie, nie tłómacz się, ja ciebie znam od dzieciństwa.... Nie bój się, napiszę ja do kapitana.... zobaczysz....

Sumituję się, usprawiedliwiam, przy-

sięgam, ale co spojrzę na nią, to tylko się duszę, wstrzymując od śmiechu, co jeszcze w większy gniew wprowadza szanowną matronę.

Już nie chce słyszeć o kąpieli, a że i inne panie zrażone takim przykładem nie mają ochoty powracać przez kładkę, więc stoimy wszyscy na owej wyspie, biedząc się nie na żarty, jak tu się dostać napowrót. Szczęściem, że jeden z fornali jedzie drabiniastym wozem po snopki w pole, więc zawracam go w tę stronę i jakoś po wielkich krzykach, prośbach i błaganiach, powciągawszy te damy między szczeble drabiny, przewożę w całości na drugą stronę.

Ciotka przez całą drogę ani się patrzy na mnie, i mimo że trudno jej stąpać po kamieniach, nie przyjmuje m-j ręki, ale z miną zagniewanej Switezianki, idzie do swego murowańca i w kwadrans przysyła mi przez Ignacowę list następującej treści:

„Złośliwość twoja i niegościnność przechodzi wszelkie granice. Nie myślę dłużej być przedmiotem dziecinnych i niesmacznych figlów, z łaski których musiałam położyć się w łóżko, i jeżeli do jutra nie wywiąże się jaka choroba, wyjeżdżam do domu. Proszę więc, żebym miała przed wyjazdem moje

pięćset reńskich, żałując mocno, żeś tak źle ocenił moje dobrodziejstwo.“

— Dobrze ci tak — mówi Hortensya, kiedym jej kartę pokazał — nie pożyczaj nigdy od familii, bo procentem cię obedrą i jeszcze mają to za łaskę. Proszę cię, przypomnij sobie, czy my kiedy mieliśmy co od niej, a ile ona nas nie wyzyskiwała! Ile ja jej nie naposyłałam produktów ze wsi, ileś ty zajęcy posyłał, trudził się j-j interesami, jeździł po śmierci męża, a teraz, gdy jej przyszło pierwszy raz pożyczyć na parę miesięcy te kilkaset reńskich, wzięła sześć procent!

— Dziesięć.... — dodaję

— Co, dziesięć? — zawoła żona. — A powiedziałeś sześć?

— Wstyd mi było....

— Ej Ksawery, Ksawery, kiedy ty odúczysz się kłamać! Proszę cię. jedź mi zaraz do miasta, sprzedaj co bądź i niech na jutro będą pieniądze. Dać jej a niech sobie tylko jedzie ta nieznośna grymaśnica.... Myślisz, że o tem nikt nie wie, żeś pożyczył? Jej służąca rozgadała przed wszystkimi, że gdyby nie jej pani, która nas poratowała, toby nas wyrzucono z Małych Długów, bo

my jesteśmy bankruci i różne historye, których ci już nie chcę powtarzać....

Byłem zirytowany do żywego. Wołaj Iwanka, niech zaprzęga do bryczki i marsz do miasta.... Naturalnie, że przy takiem położeniu, na którem się moi Herodowie natychmiast poznali, tak dalece zostałem obdarty na cenie pięćdziesięciu par żyta i pszenicy, tak się musiałem opisać, że gdybym był od ciotki wcale nie brał, a od razu i przed dwoma miesiącami zrobił toż samo co dzisiaj, byłbym ze sto reńskich oszczędził.... Ale stało się, czy to człowiek mało głupstw w życiu narobi!

Nazajutrz tedy, mimo że prócz zżętego żyta już sto kóp pszenicy prosiło się, aby je zwozić, odstawiam parę koni do wozu a cztery do koczyka, żeby już raz wywieść tę sekutnicę — i idę do niej

— Ma ciocia swoje pieniądze — mówię dość szorstko, rzucając jej zwitek banknotów — i proszę o weksel.

Zaświeciły się jej oczy, gdy zobaczyła pieniądze, ale wnet zrobiła przygnębioną minę, a westchnąwszy ciężko, uśmiechnęła się żałośnie.

— Cóż ci tak pilnego?

— Wszakże ciotka pisała wczoraj żeby dziś były.... I konie są gotowe do wyjazdu....

Nie mówiąc nic, odliczyła pieniądze oddała mi weksel i kiedy już obwiązała tasiemką pugilares, powiada:

— Nie gniewaj się Ksawerciu, ja byłam wczoraj tak rozdrażniona. Spytaj Ignacowej, czy przez całą noc zamrużyłam oko.... raz febra i zimno, potem znowu gorączka.

Ja na to nic, tylko powstając, dodaję z flegmą:

— Pociąg odchodzi o czwartej, a droga nie bardzo dobra, więc jeżeli ciocia chce jechać, proszę być gotową na jedenastą

— Więc ty chcesz chorą kobietę wypędzać z domu? — zapytuje, patrząc mi z pokorą w oczy.

— Ja przecież nie wypędzam, ale tak ciocia mi napisała.

— Mój drogi, pisze się wiele pod wpływem żalu. Przepraszam cię bardzo, jestem nerwową i kapitan nieraz to samo mi powtarza... Pojadę, kiedy sobie tak życzycie — dodaje z ciężkiem westchnieniem, ale już nie dzisiaj... Mój drogi Ksawerciu, nie trzeba być tak obraźliwym względem ciotki. Pamiętasz, jak ja cię to odprowadzałam do gimnazyum, kiedy cię matka pierwszy raz przywiozła do

Lwowa i u nas postawiła na stancyi, a ty bałeś się iść do kancelaryi i trzymałeś mojej sukni... Ciotka może się gniewać chociażby i niesłusznie.. Przyznaję, że nierozsądnym był zarzut z mojej strony, ale ta dziecinna adwokatowa się śmiała i ty się śmiałeś, ja myślałam, żeście się zmówili.. Ale ty również jesteś gorączka i zaraz do miasta, pożyczać.. Pewnieś zapłacił duży procent? Jeżeli ci potrzeba to masz — mówi rozwijając pugilares — weź napowrót, mnie jeszcze nie tak pilno...

— Dziękuję cioci, już nie potrzebuję, a przynajmniej uniknę przechwałek o dobrodziejstwach, bo jeżeli zostanę w Małych Długach, które podobno tylko ciocia uratowała od licytacyi, to nie będę za to ciotce obowiązanym.

— A to znów coś nowego! W imię Ojca i Syna — mówi żegnając się lewą ręką — akieś plotki.

— Zapewne że plotki, które służąca cioci rozgaduje przed całą służbą naszą, w karczmie i we wsi..

— Ignacowa! — krzyknie zagniewana, a gdy weszła owa sprawczyni plotek zaczęła się formalna indagacya. Co ja chcę wyjść, ciotka wstrzymuje mię za rękę.

— A nie odchodź mój kochany, może ty myślesz, że to ja... coś podsłuchała, jak one mają zwyczaj, i pozwoliła sobie...

Musiałem tedy być świadkiem nadzwyczaj nieprzyjemnego badania, łajania Ignacowej ze wszystkiemi akcesoryami płaczów, przysiąg, zaklinań i pomstowań na tych, co się bajkami trudnią, a w końcu dowiedziałem się, że od pierwszego pani Ignacowa nie ma już miejsca u ciotki...

Wypadłem z murowańca jak z łaźni parowej, a ponieważ ciotka nie jedzie, daję dyspozycyę furmanom, żeby natychmiast zaprzęgali do wozów i jechali po snopki. Żona, która zapewne oczekiwała z niecierpliwością skutku mojej misyi, dostrzegłszy zmiany frontu, wyszła na dziedziniec.

— No coż, nie jedzie?

— Nie jedzie.

— Spodziewałam się tego... Ksawery, kiedy ty będziesz miał energię?

— Nie mogę wypędzać kobiety chorej, zwłaszcza kiedy jest moją ciotką.

— I ty myślisz, że ona chora?

— Chora czy niechora, jednak skoro powiada, że nie może jechać, trudno ją gwałtem pakować do powozu.

— A ktoż ci to każe?

— Ja nie wiem kto...

— Czegoż się irytujesz. Dalibóg z tobą to trudno dojść jakiego ładu. Zamiast się gniewać tam, gdzie potrzeba, to ty okazujesz się najczulszym siostrzeńcem, a dąsasz się przedemną. Czy ja pożyczałam... czy ja radziłam?

Ledwie jedno minęło — już jest i drugie. Chciałem wyjechać na pole, aby zapomnieć o wszystkiem, gdy zastępuje mi drogę pani Adolfowa, cała we łzach i rozpaczy....

— Ah mój drogi panie! — rzecze, zbliżając się ku mnie z załamanemi rękoma — Adolf, Adolf....

— Co Adolf?

— Chory.... bardzo chory....

— Czy pani miała list, czy wrócił już posłaniec z poczty?

— Wrócił — odpowiada z rozpaczą — i listu nie ma.

— Więc zkądże taka wiadomość?

— Niezawodnie chory i bardzo chory, skoro nie napisał.... Przyrzekł mi, że codzień będzie pisał... Pierwszy raz nie ma listu.... Mój drogi panie Ksawery, ja pojadę, natychmiast muszę jechać.... Ach, ja to prze-

widywałam. on miewa takie ataki do głowy.... Boże drogi, pocóż ja go opuszczałam!...

Perswaduję jej, że to przewidzenie, że może list zawieruszył się na poczcie, może nie miał czasu napisać, może się spóźnił — nic nie pomaga, płacze i desperuje.... pojadę, pojadę!...

— Proszę kochanej pani, to się na nic nie zdało — mówię już trochę zniecierpliwiony. — Pociąg tylko raz na dzień idzie do Lwowa i to o dwunastej, więc nie zdążymy....

Po tej wiadomości, jeszcze większa rozpacz. Co tu robić z takiem utrapieniem!... Przychodzi mi na myśl, aby jechać samemu do miasta, i jeżeli nie ma listu na poczcie, zatelegrafować do niego.

O mało mię nie pocałowała za taką propozycyę.

— I ja pojadę z panem.

— Sądzę, że konno będzie prędzej.

— Nie, nie, i ja pojadę.... Przez ten czas, nimbyś pan wrócił, umarłabym ze zmartwienia. Mój drogi panie, każ zaprządz do bryczki, tylko bardzo prędko, ja zaraz będę gotowa.

Powiadam żonie o tej awanturze, a ona tylko się śmieje.

— Dobrze ci tak, nie zapraszaj gości.... Piękne damy z miasta takie są wszystkie.... Widzisz, a krzywisz się, jak ja czasami pokapryszę.... masz teraz przykład, porównaj....

Posyłam na gwałt po konie do stodoły, albowiem moje cugowe tak dobrze wożą pszenicę jak i fornalskie, a tu już widzę pani Wiktorya ze śmiejącemi się oczkami wychodzi gotowa do podróży.... Szczególniejsza rzecz, jak te kobiety prędko potrafią przejść od płaczu do wesołości i *vice versa.* Nawet z oczami coś tak sobie poradzą, że ani poznasz, jakoby przed chwilą płakały.

— Jedziemy?

— Zaraz pani, niech tylko przyprowadzą konie — ot, już Wańko wytacza bryczkę z wozowni. Boję się tylko, czy pani się nie znuży, bo to bez resorów, a droga kamienista.....

— Bądź pan spokojny, ja przyzwyczajona jestem do niewygód, a i moi chłopcy także....

— Więc pani i dzieci chce zabrać?

— Naturalnie, jakżebym je tutaj zostawiła!

— Panna Olga jest....

— Ależ ona taka roztrzepana... Mój

drogi panie, niech oni jadą... Cesia zostanie z nianką....

Żona proponuje, żebyśmy zjedli obiad, że za pół godziny będzie gotowy, bo to kilka godzin trzeba jechać tam i napowrót, ale ona ani chce słyszeć o jedzeniu, pakuje się na bryczkę, dzieci usadza w nogach, i tak czule, tak serdecznie obcałowuje maleńką Cesię u nianki na ręku, jakby z nią żegnała się na wieczność.

Co prawda, z wielką przyjemnością cośbym przetrącił, bo od piątej godziny z rana nie miałem nic w ustach, ale zróbże co chcesz z kobietą kochającą męża. Siadam tedy z miną skazanego na wywiezienie, a że chłopcy siedzą na dnie bryczki, więc muszę jedną nogę wystawić za pudło, jakby na przewietrzenie.... Figlarka Hortensya widzę śmieje się ukradkiem, co naturalnie nie wpływa na zwiększenie przyjemności podróży.

Nareszcie jesteśmy gotowi i jedziemy dalej. Bryczka jest sobie zwyczajną gospodarską dryndulką i trzęsie tak po kamienistej drodze, że ja ledwie na niej mogę wysiedzieć. Naturalnie, że chłopcy, siedząc w nogach na słomie, podskakują jak piłki i zaczynają płakać. Nie ma rady, musimy ich brać na kolana, co niewiele im pomaga, bo i sama

pani, leciuchna jak piórko, nieustannie zsuwa się z siedzenia i znowu trzeba stawać co chwila, aby coś poprawić. Za to na równiejszej drodze prowadzimy nadzwyczaj zajmującą rozmowę o Adolfie.

— Wystaw pan sobie, jak się biedaczek zapisze przy biurku, to takie mu latają przed oczami gwiazdki..... A prawda panie, że to jest bardzo niebezpieczne?...

— Nie sądzę, mnie tak samo latają, a dzięki Bogu zdrów jestem.

— Dziękuję panu — odpowiada, ściskając mnie za rękę — uspokoiłeś mnie. A wie pan, jak ja jemu zatelegrafuję?

— Nie wiem.

— „Jesteś niegodziwy Adolfku, żeś nie napisał. Nie kocham cię za to. Odpowiedz natychmiast, czy jesteś chory, tylko nie kłam.“ A co, dobrze będzie?

— Bardzo dobrze....

Nareszcie przyjeżdżamy do miasteczka, i prosto na pocztę. Uprzejma pani ekspedytorka przerzuca wszystkie listy nieodebrane — do pani Wiktoryi rzeczywiście nic nie ma. Z tej okazyi zaczyna się rozmowa między niemi o mężach, z mężów przechodzą na dzieci. Pani ekspedytorowa przyprowadza swoje, pani Wiktorya każe się swoim z tamte-

mi całować — chłopaki nie chcą, więc schodzi gawędka na charaktery, potem na choroby, potem na doktorów i tu następuje spór między niemi. Żona pocztmistrza utrzymuje, że nie ma na świecie lepszego doktora, jak nasz Bimberg, a pani Wiktorya jest za doktorem B. we Lwowie. Ta chwali swojego, ta swojego, aż w końcu widząc, że o depeszy do Adolfa ani słychu, ośmielam się przypomnieć. Żegnają się tedy, całują, i jakby odwieczne znajome, a pani ekspedytorka jeszcze na ulicy powtarza mojej towarzyszce:

— Na trzy dni przed nowiem kochana pani jeden pastylek santoninowy rano, jeden wieczór.... Całuję rączki pani dobrodziejki.... na czczo....

Ułożyliśmy depeszę na stacyi, a pani powiada: będziemy czekać na odpowiedź. Urzędnik telegrafu objaśnia, że to tak prędko nie nastąpi; ja zapewniam, że umówię posłańca, który natychmiast do Małych Długów depeszę odniesie — nic nie pomaga:

— Będę czekała.

Zajeżdżamy tedy do austeryi, naturalnie żydowskiej, w której, jak zwykle w naszych miasteczkach, prócz stajni dla koni, znaleźć można paradny salon propinatora, z wysoko zasłanemi łóżkami, do którego za-

prasza się gości lepszego autoramentu. Prócz wódki i bułki suchej jak drzewo, niczego tu więcej nie dostanie, chyba że to jest dzień piątkowy, a pani propinatorka raczy odstąpić głowę gotowanej i dobrze opieprzonej ryby.

Niestety, nie był to piątek.

— Macie co do jedzenia? — pytam starego Mendla, spacerującego w negliżu i z fajką w ustach po sieni.

Poszedł na naradę do małżonki, a po chwili wraca z tryumfującą miną:

— Jest....

— No cóż jest?

— Smażona róża....

— Co, co?

— Róża w miodzie — mówi, wysuwając ostrożnie salaterkę z framugi pieca, gdzie właśnie ustawiła ją żona dla ostygnięcia.

— Ach, róża! — zawoła pani Wiktorya ze smiejącemi się oczyma — proszę o różę.

Mendel z taką samą powagą przyniósł dwie porcelanowe popielniczki od cygar, szczęściem że bez popiołu, i w nie nałożył owej róży. Z głodu pani adwokatowa zjadła dwie pary tych popielniczek, poczęstowała i dzie-

ci, a ja musiałem poprzestać na suchej bułce i kieliszku wódki.

Otóż w tak przyjemny sposób czekaliśmy coś cztery czy pięć godzin, bo dopiero wieczorem przyszła depesza do Adolfa, że jest zdrów jak ryba, że całuje Wicię z dziećmi i list pisze.

Radość mojej towarzyszki nie do opisania; całuje telegram, skacze, rękami klaszcze i jedziemy napowrót.

— Wie pan — mówi do mnie — za karę trzy dni nie będę pisała do niego.

— Dobrze pani zrobi.

— Albo nie. Prawda panie, że onby się zanadto martwił, ten biedny mój Adolf.

— Zapewne żeby się martwił....

— Więc tylko dwa dni. On znowu nie jest taki zły.... może nie miał czasu, a najprędzej, że poszedł do swojej siostry, i ona go zagadała.... nie uwierzysz pan, jak Helenka lubi dużo mówić.... Nie, nie, tej przykrości mu nie zrobię i napiszę jutro, ale mu tak napiszę....

Nie mogła dokończyć, bo właśnie bryczka tak silnie uderzyła o kamień, że obadwaj chłopcy, leżący w nogach na słomie, naraz się przebudzili. Manipulujemy tedy inaczej: ja przenoszę się na deskę obok furma-

na, siedzenie rozwiązujemy i wszystko troje układają się wzdłuż bryczki.... Jedziemy dalej; słyszę, pani się kręci, potem wzdycha, nareszcie powiada, że nie może wytrzymać. Znowu tedy stajemy, poprawiamy i z wielką biedą już około dziesiątej dociągamy do domu. Biedna kobiecina jest tak zmęczona, że prawie na rękach znoszę ją do pokoju i oto mamy już trzecią chorą osobę w domu.

Po tylu wypadkach dnia tego, po takiem znużeniu, wygłodzeniu się i nudach, myślałem, że przynajmniej wyspię się spokojnie, aby jutro wstać do dnia i objechać roboty, zostawione na łasce ekonoma. Jakoż około jedenastej kładę się na moim sienniku w kancellaryi, i zdaje mi się, że jestem w raju, tak jakoś dobrze, gdy mogę się swobodnie rozciągnąć. Już, już zasypiam, gdy wtem przez drzwi zamknięte dolatuje mię przeraźliwy krzyk Laury: Ach, ach!... potem głuchy łoskot, jakby ktoś z krzesła upadł na podłogę....

Zrywam się, kładę na siebie, co mogę, i dalejże koło murowańca popod oknami na taras, z tarasu do wielkiej sali, a z sali do mieszkania Laury. Po drodze nawija mi się jeszcze pod nogi jakiś wielki pies czarny i mało się nie przewracam. Patrzę — Laura

leży zemdlona na podłodze, przy niej książka z porozrzucanemi kartami.... Chwytam ją na ręce, zaczynam krzyczeć, a tymczasem przybiegła żona. Trzeźwiemy, pryskamy wodą, co, jak — wreszcie przychodzi do siebie.

— Ach, te oczy, te oczy! — mówi, pokazując na drzwi od sali, i ściska mię mocno za rękę.

— Jakie oczy, gdzie? — pytamy, lecz ona tak jest zastraszona, a serce tak mocno jej bije, że prawie słyszę z daleka jego tętno.

Dopiero po niejakim czasie, gdy się już nieco uspokoiła, opowiada, że czytając książkę siedziała przy stole, a że dość parno w pokoju, więc otworzyła drzwi do sali i z sali na werandę. Naraz, zdaje się jej, że struna w fortepianie zabrzękła, spojrzy ku drzwiom — a tu przed nią dwoje świecących czarnych oczu.... Ot, ot, ot.... znowu patrzą! — krzyknie w tej chwili i chowa się za mnie.

Oglądam się — prawda, błyszczą dwa jasne punkta, ale to właśnie wchodzi pani Jarotkowa w mocno wypukłych okularach....

— To pani Jarotkowa, nie lękaj się.... jakże można! Czy pani tu była przed kwadransem? — pytałem guwernantki.

— Nie, ja już od godziny spię, tylko usłyszawszy krzyk tej pani i głosy państwa,

wstałam i biegnę, aby się dowiedzieć, co takiego...

— Szczególniejsza rzecz — mówię do żony — któżby to był?...

— Najwyraźniej widziałam oczy, duże, czarne, świecące... straszne oczy...

— Niezawodnie hrabina — rzecze półgłosem Jarotkowa do żony.

— Jaka hrabina? — zawoła, dosłyszawszy te słowa Laura.

— Dzieciństwo — co się też pani roi... Wstydź się pani, wierzyć w podobne baśnie...

— Są rzeczy na świecie, o których się filozofom nie śniło — mówi mi na to z całą powagą Hortensya.

— Tyle razy radziłam — dodaje stara z pewnego rodzaju tryumfem — żeby dać na nabożeństwo żałobne i sprowadzić księdza....

— Niedorzeczności.... strachy jakieś bez sensu....

Jarotkowa zamilkła, jednakże na usilne dopytywania się Laury, musiała pokrótce objaśnić ją o mniemanych strachach we dworze, skutkiem czego przenosi łóżko i idzie do mojej kancellaryi, a ty panie gospodarzu zajmuj ten niebezpieczny posterunek. Już to tak zawsze bywa, że na nas mężczyznach

wszystko się krupi. Eh, to dalibóg nie do wytrzymania, myślę sobie, jeżeli te zachwycające istoty zechcą mi tak codzień zawracać głowę. Ani to ja gospodarstwa mogę przypilnować, ani spokojnie zjeść obiadu, ani się przespać, bo chodzę wciąż jak odurzony. Nie ma innej rady, albo przyjdzie uciekać, albo coś takiego zrobić, żeby mi dały pokój.... Alojzy.... przypominam sobie — on tylko jeden potrafi mię oswobodzić... Rzucę go na pastwę, jak się rzuca podczas polowania prosię wilkom, i niech on sobie tam daje radę. Święty człowiek z tego Alojzego, a dla nich jakby figura z wosku, którą przekształcać mogą co chwila.

Siadam tedy na drugi dzień rano i piszę list na trzech stronicach, jako tu wszyscy usychamy z niecierpliwości, kiedy przyjedzie, a szczególniej jedna śliczna i ciepła wdówka (Alojzy szczególniejszy ma afekt do tego rodzaju wdówek), która zachwycona jest fotografią jego, i ciągle się dopytuje, a gdzież jest ten Alojzy? ten feniks między mężczyznami? Dalej piszę mu tak: „Wiem, że nie wiele ci się już należy od świata, jednak ożeniwszy się z tak zachwycającą i bogatą osóbką, będziesz miał tę przyjemność, że umrzesz porządnie i wygodnie z całym akom-

paniamentem czułej rozpaczy i głośnych łez, a nie samotnie gdzieś tam w szpitalu.“ W dopisku jeszcze dodaję te słowa: „Jeżelibyś nie mógł sam przyjechać, to proszę cię, odszukaj artystę Madrygała zwanego (wiem, że go Alojzy nie cierpi) i uproś, żeby on przyjechał do Małych Długów, a jeszcze lepiej przyjedźcie oba....“

Mój fortel z wdówką i Madrygałem udał się wybornie. Odwrotną pocztą dostaję list, żeby w niedzielę wysłać fornalkę do olei. O Madrygale nie było ani słówka.

Nie mówię nikomu o całej tej korespondencyi, ale jestem taki kontent, jakby mnie kto na sto koni wsadził. Nie obchodzi mię już zmiana przymierzy, która się w dwa dni między paniami odbyła, a wskutek której ciotka Prudencya, ta nieznośna, chciwa, wyzyskująca i Bóg wie jaka tam ciotka, naraz znajduje się w łasce u mojej żony. Nie wiem co, ale zdaje mi się jakiś przyjemny list od kapitana skłonił tę szanowną damę do zaproszenia pani Jarotkowej na partyjkę maryasza w murowańcu. Grały przez cały wieczór, guwernantka wygrała cóś ośmdziesiąt centów, ale to nic w porównaniu z tem, co ja na drugi dzień widzę i słyszę. Żona, moja cioteczko droga, do niej, ona: moja ty śli-

czna Horciu, jakie ty masz pyszne włosy, jaką płeć delikatną, jaki wdzięk w ruchach.... a ciotka znowu, jaka wesoła w towarzystwie, jaka rozsądna — słowem, cud się stał taki, o którym nie tylko filozofom, ale waszemu uniżonemu słudze ani się śniło. Natomiast na pannę Anielę i adwokatowę bij zabij, na Laurę toż samo, bo pokazuje się, że jest skończoną kokietką, za którą inne tylko się muszą rumienić.... Panna Olga została jeszcze w rezerwie, dobra jest i pracowita to prawda, ale bez żadnego zdania, ot tak sobie — nic.

V.

Furmankę po Alojzego wysłałem pokryjomu, więc siedzimy wszyscy przy stole, a tu mój Wańko buch z bata raz, buch drugi, i wóz zatacza się przed ganek. Kto, zkąd? — Alojzy.... Ach, pan Alojzy! I wszystko wylęga do sieni. Została tylko Laura ze mną.

— Polecam twojej łasce mojego przyjaciela — odzywam się nieco złośliwie. — On sam wygląda jak strach, więc już innych strachów nie potrzebujesz się obawiać.

— Ty zawsze lubisz tylko dokuczać — mówi zarumieniona, i choć nie spojrzała w okno, jestem przekonany, widziała go doskonale. Kobiety potrafią tak nibyto nie patrzeć a widzieć.

Z prawdziwym tryumfem i z niekłamaną radością wprowadzono mojego bohatera

do sali jadalnej. W minutę znalazło się zaraz dla niego nakrycie, żona prosi, aby usiadł przy niej, ciotka przy niej, pani Wiktorya wita go jak zbawcę, dopytując, kiedy widział Adolfa, panna Aniela bierze od niego torbę podróżną, Olga kładzie nóż i widelec, a nawet stara Jarotkowa rozkosznie śmieje się jednem, zdrowem okiem.

Przedstawiam go siedzącej nieśmiało Laurze, a on na migi pyta mię: czy to ta? Ta, odpowiadam skinieniem głowy i uważam, skrzywił coś nosem, chociaż ciekawie przypatruje się z boku.

Cóż państwo chcecie! W pięć minut zmieniają się kompletnie humorki mojego towarzystwa. Zjawiło się trochę mężczyzny (bo juźciż Alojzego za co innego uważać nie można) a chore wstają, ślepe widzą, chrome chodzą, i na wszystkich obliczach znać weselszy powiew wiatru.

Mój przyjaciel z miną co najmniej baszy, siedzi, zajada i plecie im duby smalone o wszystkiem, co się tam stało we Lwowie.

— Widziałeś pan kapitana?

— Widziałem, jużby tu przyjechał, tylko ma ciężkie zmartwienie.

— No, cóż mu się stało? — pyta bledniejąc ciotka.

— Nie może zapiąć munduru na guziki...

— Co też pan mówisz?...

— Daję słowo, tak utył, że kazał sobie uszyć nowy mundur i czeka.

— Ach niegodziwy człowiek!

— Powiada, że to z tęsknoty....

— A mojego Adolfa, kiedy pan widział?

— Dziś rano łaskawa pani. Jeszcze spał, więc kazałem go obudzić i mówię: pisz list braciszku.

— Napisał?

— Musiał, mam gdzieś ten list, zdaje mi się w sakwojażu.... Wygląda jak lew, cały zarośnięty aż pod oczy.

— Patrzcież — skorzystał z mojej nieobecności i brodę zapuszcza. A prosiłam go jak kogo dobrego: mój Adolfku, jak mię kochasz, brody nie zapuszczaj.... Prawda, musi okropnie wyglądać.... Ho, ho, nie ciesz się tak mój paniczu — mówi dalej, przebiegając oczami krótką osnowę listu — niechno przyjadę....

— A kiedy mu tak ładnie....

— Nie, nie, nie. Co najwięcej, pozwo-

lę zostawić małą hiszpankę... Jaki to zdrajca, słyszałaś Olesiu, Adolf brodę zapuścił!

— I z ojcem pani widziałem się wczoraj — odzywa się Alojzy do panny Anieli. — Codziennie rano spacerują z doktorem O. po Jezuickim ogrodzie.

Na twarz panny Anieli wystąpił rumieniec, bo doktor należy do liczby tych ofiar, które mają za nią przepadać...

— I to mówię pani, prowadzą się pod rękę, a konsyliarz przy każdej przechadzce obrywa mu po dwa guziki, z czego sądzę, że muszą być na bardzo czułej stopie. I do pani mam ukłony od kogoś — dodaje, zaczepiając pannę Olgę — niech pani zgadnie od kogo?

Panna upiekła raka i nie dopytywała nawet od kogo, bo wszyscyśmy wiedzieli, że pan Aleksander, pomocnik adwokata, miał się od dawna do niej. W końcu i mnie się dostało za swoje.

— A cóż kontenta pani z kapelusza? — mówi do żony. Horcia tylko machnęła ręką.

— Mówiłem mu, do czego to podobne, kupować wyszły z mody kapelusz i płacić 25 reńskich. Zeby mi się poradził, byłbym za połowę dostał daleko odpowiedniejszy dla młodej osoby...

— Ksawery, a powiedziałeś dziesięć!

— Eh co on tam plecie, no dziesięć..

— Daję pani słowo dwadzieścia pięć, byłem w sklepie i nawymyślałem tej pani.

Trudno się było zapierać, ale za takie gadulstwo byłbym go udusił na miejscu. Tymczasem musiałem się porządnie zewstydzić i wytrzymać groźne spojrzenie małżonki. Wiedziałem, co tam będzie za bura potem, przy gościach nie śmiała.

Gdy przyszło do ulokowania Alojzego, Hortensya ani chciała słyszeć o skarbcu i zwykłą koleją rzeczy dostał mu się mój dotychczasowy pokój, a ja ponury skarbiec z sąsiedztwem ciotki i sąsiedztwem kur objąłem w posiadanie. Zgodziłem się na wszystko, a nawet wyniósłbym się i do karceresu, bo z jego przybyciem uzyskałem jaką taką swobodę. Na drugi dzień już zapomniano, że istnieje jakibądź Ksawery w Małych Długach, a na ustach wszystkich Alojzy, pan Alojzy, kochany Alojzy i nikt więcej. Taka to jest na świecie wdzięczność i pamięć ludzka!

Co przyjadę na śniadanie lub obiad do domu, Alojzy gospodaruje między paniami jakby ochmistrzyni w pensyonacie, urządza wycieczki, organizuje zabawne gry na dzie-

dziedzińcu, deklamuje wesołe wierszyki, przyrządza wiszące hamaki między drzewami, słowem ten umierający we Lwowie Alojzy kompletnie tu odżył, a nawet ulubione kury wypuścił razem do stada innych kur dworskich ciesząc się, że ich pobladłe grzebienie nabrały ponsowego koloru.

Tego samego dnia zaraz po przyjeździe, Alojzy, ulegając wewnętrznej potrzebie wiedzenia o wszystkiem, już wybadał moją żonę o różne szczegóły, o osobie i sytuacyi pani Laury. Wiadomości te jednak nie musiały wypaść zbyt dobrze, skoro na drugi dzień rano mówi do mnie:

— Słuchajno Ksawery, o jakiejże to pisałeś wdówce?

— No, o Laurze.... Czy ci się nie podoba?

— Mniejsza o to, czy podoba lub nie podoba, bo dla mnie to już wszystko jedno, tylko gdzież ona jest pulchna albo ciepła?...

— Alboż źle się prezentuje?... a co do serca, to zaręczam, ma nietylko ciepłe ale gorące. Znasz przysłowie: u wdowy chleb gotowy....

— Tylko niezdrowy — dodaje ze skrzywioną miną — zwłaszcza, jeżeli nie ma tego.... wiesz.... mamony.

— Laura będzie miała....

— Lekcye daje....

— Bo jest dumna, ale ma bogatego stryja bezdzietnego, który jej cały majątek zapisze....

— He, he, kiedy to będzie!

— Może masz racyę; kto tak schorowany i komu niewiele się już należy, to lepiej że da pokój....

— Eh, tak znowu nie — rzecze trochę urażony.

— Zawsze to samo słyszałem od ciebie...

— Było, ale teraz jestem daleko zdrowszy. Powiem ci prawdę, wiejskie powietrze poprawiło mi apetyt... Jak ciebie kocham, czuję się tak rzeźwym, jak nigdy.

— Chwała Bogu, bardzo się cieszę, że ci tak dobrze w Małych Długach, jesteś w swoim żywiole, masz tyle kobiet....

— Eh, kiedy uważasz, takie jakieś....

— Jednak Laura zerka na ciebie oczami.... Oj, bałamucie stary, bałamucie.... Co jabym dał, żebym miał takie szczęście do kobiet....

— Na co mi to! — odrzekł z westchnieniem i poszedł do siebie.

Alojzy i Laura ciągle trzymali się z daleka. Mimo rumieńców na wspomnienie do-

ktora O., panna Aniela stara się gwałtem zagarnąć Alojzego pod swoją wyłączną komendę, a że jest z natury natarczywą, więc biedny Alojzy musi jej kamieniami przyciskać rośliny, przeznaczone do zielnika, gatunkuje owady i motyle. Ze swej strony panna Olga, o ile tam może, stara się zwracać na siebie jego uwagę, biega z fartuszkiem przypiętym na piersiach, dogadza przy nalewaniu herbaty, albowiem przyjęła na siebie część gospodarską przy śniadaniu. Nikt prócz niej nie może odgadnąć, ile kawałków cukru potrzeba kłaść do szklanki, czy i kiedy nalać mu drugą całą, albo połowę, albo jedną trzecią część — pan Alojzy pod tym względem jest nadzwyczaj grymaśny — ot, jak każdy podżyły kawaler.

No, ciotka i moja żona zapewne nie mogą mieć żadnej pretensyi do niego, a jednak widzę adorują go i jak się tylko zdarzy sposobność, to wtrącą jakieś bardzo niewinne słówko przeciw Laurze.... coś w rodzaju prezerwatywy na rozczarowanie i rozwianie iluzyi, jeżeliby chciał je mieć kiedykolwiek.

— Powiedz mi Horciu — mówię raz do żony — co wy z ciotką macie przeciw tej biednej Laurze?

— Albo co?

— No, przecież widzę, kłujecie ją tak powoli. Co ona wam zrobiła złego?...

— Zdaje ci się, mój drogi. Nie poczuwam się do czegoś podobnego.... może ciotka, bo ona rzeczy iście zirytowana jest tem kokietowaniem Alojzego....

— Dajcież pokój, ona nie śmie spojrzeć....

— No, no, no, już ja ci mówię, że tak jest.... I on coś tak chciałby się zbliżyć....

— Wiesz, że wyborna jesteś ze swojemi uwagami.... Sam mi mówił niedawno, że mu się zupełnie nie podoba....

— Ktoby wam tam wierzył.... My kobiety, to mamy takie oczy, że dostrzeżemy, jak skazówka posuwa się na zegarze, jak się kwiat rozwija....

— Ha, jeżeli tak jest, to niech się zbliża....

— Szkoda go dla niej. To jest kobieta fałszywa, pozuje na niewinną pensyonarkę, a maluje się jakąś wodą co rano....

— Nie prawda....

— Nie bój się, ja już wiem. Udaje taką czułą matkę, cały dzień tylko Tadziusiu, Michasiu, a tego nie rusz, a tu nie idź.... Mój kochany, i ja jestem matką i mam dzieci, adwokatowa także ma swoje, a czy my się

tak cackamy i prezentujemy z naszą czułością. To wszystko na efekt. A jaka zgadzająca się na wszystko: i to dobre i to dobre, i to piękne, wszystko jej smakuje...

— Więc i to źle?

— Naturalnie, bo dlaczegóż posyła do pachciarza po mleko i płaci?

— Nie chce ci robić subjekcyi, a zresztą, może nie śmie tak się dopominać.

— Jaka mi delikatność i skromność! Nie, mój drogi, Jarotkowa dobrze mówi, że to jest umyślnie, aby mi dokuczyć, bo zaraz sługi mówią: pani nawet bratowej żałuje mleka...

— Uprzedzasz się moja Horciu, a to jest niesprawiedliwość. Daj Boże, żeby wszystkie takie były kobiety jak ona.

— O, zapewne dla ciebie, który zawsze byłeś i jesteś jej adoratorem.

— Jak ciebie kocham....

— No, no, daj pokój!...

Nie chciała więcej słyszeć moich zaklęć, lecz pogroziwszy mi palcem na pół seryo na pół żartem, pobiegła do gospodarstwa.

VI.

Dwa tygodnie już bawi Alojzy u mnie, i sam jeden kąpie się codziennie w rzece, bo wszystkie te panie, które przyjechały właśnie po to — nigdy nie mają czasu. Ciotka nieustannie oczekuje kataru i kapitana, a nie może się doczekać ani jednego ani drugiego. Z tego powodu jest ciągle w stanie nerwowego rozdrażnienia, bez względu że przyjaciółka jej Jarotkowa zapewnia z kart, jako niezawodnie przyjedzie. Król kierowy ciągle stoi przy dziewiątce pikowej, co oznacza podróż. Pani Wiktorya zdaje się, jest już zupełnie wsią znudzona — wyczerpawszy wszystkie przyjemności. Narysowała wierzchnią część góry, stojącej naprost okna, roztarła paluszkiem jedną chmurę nad nią — i dała pokój rysunkom. Uwiła ogromny wieniec z bławatków, ubrała w niego wszystko troje

dzieci, a zawiesiwszy resztę na krzyżu stojącym przy drodze — już przesyciła się kwiatami. Przez jeden dzień bawiła się w piasku z dziećmi, którego gromadę dla ich zdrowia kazałem przywieźć na dziedziniec, potem we dwa dni wyczytała wszystkie powieści, jakie tylko miałem w bibliotece, potem zachciało jej się gracować ulice w ogrodzie, potem karmiła kurczęta i kury Alojzego, wreszcie zaczęła pisać arkuszowe listy do Adolfa, nalegając, naturalnie w sekrecie, aby koniecznie przyjeżdżał, bo inaczej piechotą z dziećmi powędruje do Lwowa.

Panna Aniela także jest rozczarowana i melancholijna, a gdy zobaczy z daleka Alojzego, to udając, że go nie widzi, postępuje z oczami wzniesionemi do góry, jakby wszystkie boleści serca ofiarowała Panu Bogu. Jedna tylko panna Olga uwija się i wiecznie czemś zajęta. To szyje, to kraje, to smaży konfitury z żoną, a choć od ciągłego stania przy ogniu wygląda jak pomidor, nie traci swej naturalnej wesołości.

Co do Laury, to Bóg ją tam wie co myśli. Najczęściej przesiaduje z dziećmi na tarasie, a jak się spotka z Alojzym w ogrodzie, czy na dziedzińcu, to widzę idą obok siebie przynajmniej na sążeń. Ona głowę ma

pochyloną na dół, on ścina prętem główki bodiakom i trzeba tylko uprzedzenia mojej żony, żeby w ich postępowaniu dojrzeć czego więcej nad zwykłą konwencyonalną rozmowę.

Pamiętam, deszcz padał coś przez dwa dni z rzędu, goście nasi ziewali od rana do wieczora jakby na komendę, gdy zjawił się gajowy, trzymając kilka prawdziwych grzybów.

— Ach, grzyby! — zawołała radośnie pani Wiktorya — pójdziemy na grzyby do lasu!

Wszyscy otoczyli gajowego, panna Aniela rozpoczęła metodyczny wykład o różnicy między trującemi i nietrującemi, Olga pobiegła po książkę, żeby się dowiedzieć, jak się grzyby marynują, a kochana ciotka, przywoławszy kucharkę, dawała instrukcyę, w jaki sposób dusić grzyby w śmietanie na sposób czeski, którego to sposobu nauczył ją sam kapitan.

Ułożono tedy wycieczkę do lasu na grzyby. Alojzy zaproponował, aby jechać drabiniastym wozem i widocznie tak manewrował, że wypadło mu usiąść koło Laury, która nie mogła sobie dać rady z dwojgiem dzieci. Nie dość na tem, ale jeszcze później

zabłądzili oboje w lesie. Wołamy, krzyczymy, szukamy — nie ma....

— Zrobimy im figla — mówi ciotka — i schowamy się gdzieindziej, niech nas szukają.

Projekt ten bardzo się podobał paniom, i miał ten skutek, że zbłąkani wędrowcy leśni dopiero może w godzinę razem z dziećmi trafili do nas.

Przyznaję, że nie chciałbym być w skórze biednej Laury w czasie powrotu do domu.

— Już to pani Laura — odzywa się półgłosem ciotka do panny Anieli — jak chce, potrafi stracić głowę

— A nawet i drugiemu dopomódz do tego.

— Powiedz mi pan, panie Alojzy — rzecze z naiwnością Wiktorya — jak to można zabłądzić w lesie? Idę prosto przed siebie, idę i w końcu muszę gdzieś wyjść.

— Tylko żeby iść prosto — dodaje moja żona — trzeba mieć przytomność.

— Więc ci co błądzą, nie mają przytomności? — zapytuje trochę zirytowany Alojzy.

— Zdaje mi się. .. — dorzuca Aniela.

— Otóż ja paniom powiem, że kom-

pletną mieliśmy przytomność z panią Laurą, prawda pani?

Zapytana zarumieniła się tak wyraźnie i nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, że wszystkie panie w śmiech. Alojzy tłómaczył się coraz to energiczniej, dowodził, że zdawało im się, że dobrze idą, że w lesie nader trudno się oryentować, znając nawet miejscowość, lecz wszystkie te argumenta przyjmowano dwuznacznie. Widziałem był zły, co mu się rzadko przytrafia, a na zażenowaną Laurę spoglądał z taką miną, jakby ją prosił o przebaczenie.

Wcześnie jakoś rozeszliśmy się na spoczynek. Ja w moim skarbcu, roztasowawszy się na pościeli, już zgasiłem świecę, gdy słyszę, ktoś puka do drzwi.

— Ksawery, spisz?

— Nie.

— Proszę cię, otwórz, mam pilny interes do ciebie — rzecze Alojzy.

Otworzyłem, zapaliłem świecę, a on nie pozwalając, abym go zapytał, co go tak nagle tutaj sprowadza, odzywa się drżącym głosem:

— Ksawery, zrobiłem wielkie głupstwo!

Domyślając się, że idzie o owo zbłąkanie w lesie, mówię żartobliwie:

— Co to za głupstwo; wielka historya, zbłądziliście.... A nasze panie śmieją się trochę, to co?

— Ale nie o to idzie.

— Więc cóż? mów, bo dalibóg jestem niespokojny, masz taką dziwną minę....

— Oświadczyłem się Laurze.

— Kiedy?

— W tej chwili.

— A niechże cię uściskam! — zawołam, zrywając się z posłania.

— Proszę cię, żartowali z niej w tak dokuczliwy sposób, że coś mię popchnęło; poszedłem i powiedziałem: pani, sprawiłem ci przykrość, więc panie dobrodzieju, jeżeli ofiara całego mojego życia zdoła zatrzeć to wrażenie, śmiem prosić, abyś łaskawą była uszczęśliwić mię swoją ręką....

— Tak powiedziałeś? Ależ to bardzo ładnie!

— Tak, jak Boga kocham, jednym tchem, i to mię właśnie przestrasza, bo uważasz, ona ani słowa na to. Spojrzała, łzy jej stanęły w oczach, a ja na kolana!

— Ślicznie!...

— Licha tam ślicznie, kiedy ona mówi: Wierz mi pan, cenię jego szlachetne

serce i wysokość ofiary, ale korzystać z nich nie mogę...

— Tam do licha... jeszcze się droży!.. Ha, już rozumiem, nie powiedziałeś nic o miłości, a kobiety wszelkich ofiar nie lubią.

— To też, proszę cię, kazała mi przyjść jutro po odpowiedź... Rozumiesz, jutro, to jest toż samo, co za lat sto.... Jak ci się zdaje, czy ona się zgodzi?

— Ha, Bóg to wie... Powinieneś przecie znać kobiety lepiej odemnie....

— Daj pokój z moją znajomością, w tej chwili jestem głupszy niż student z pierwszej klasy i jeżeli mi odmówi, palę sobie w łeb i basta! Proszę cię, co mi po takiem życiu....

— Więc ty naprawdę jesteś zakochany, Alojzy?... A widzisz bratku, jak to kosa trafiła na kamień — mówię, klepiąc go po plecach — a wyrzekałeś się, żartowałeś....

— Eh, daj mi pokój! — ofuknął w dość opryskliwy sposób — nie czas na żarty. Słuchaj, ty musisz iść do niej i zapytać formalnie.

— Dobrze, pójdę.

— Więc się ubieraj prędko....

— Co, o godzinie jedenastej? Czyś ty zwaryował?

— Ona jeszcze nie spi, mój drogi Ksawerku, idź, bo uważasz nie ręczę za siebie, czy nie zwaryuję do jutra..

— No, no, nic ci nie będzie. Idź połóż się spać i bądź dobrej myśli. Mam przeczucie, że to wszystko dobrze się skończy.

Siedział jeszcze u mnie ze dwie godziny i ciągle toż samo w kółko aż do znudzenia: czy ona zechce, czy nie zechce? — wynosząc przytem pod niebiosa wszystko, co się tylko odnosi do Laury. i twarz i figurę i słodycz i skromność i rozum, dystynkcyę, serce, słowem ledwie że go po północy musiałem wyprosić, aby sobie poszedł.

— Słuchaj Ksawery — mówi już we drzwiach — tylko czy tak czy owak sprawa się skończy, musi to być tajemnica. Nie mógłbym znieść tego, żeby te wszystkie kwoki stare jak ciotka albo ta Aniela, robiły sobie jakieś żarciki. Jak pojadą.....

— Albo one pojadą? — przerywam z wątpliwą miną.

— Niechno się tylko dobrze skończy, to ja się postaram, że pojadą.... Zostaw to mnie....

Nie było jeszcze szóstej, gdy znowu puka do skarbca.

— Wstawaj, już ósma.... Całą noc ani

oka nie zmrużyłem. A do tego jakieś jeszcze psy i koty włóczyły się po tarasie i przychodziły do sali. Jeden taki czarny, wielki, wszedł po cichutku i stanął we drzwiach.... Myślałem, że padnę, zobaczywszy naraz świecące jego oczy....

— Teraz się domyślam strachu Laury — mówię do niego, i opowiedziałem całą historyę podań o o hrabinie i biskupach, tudzież o przestrachu bratowej, która przedtem zajmowała ten pokój.

Człowiek ten przez całe dwie godziny, dopóki służąca nie otworzyła okiennic w pokokoju Laury, trapił mię ciągle swoją miłością i swoją rozpaczą, jeżeliby odmówiła. Widocznie Pan Bóg za tyloletnie igraszki jego z uczuciami kobiet, dopuścił, aby przez tę jedną noc niepewności odpokutował i znosił całe brzemię utrapień miłosnych. I żal mi go było, i śmiać mi się chciało, wyglądał bowiem jak człowiek pod szubienicą, czekający ułaskawienia.

— Zlituj się Alojzy, idź ty się umyj i uczesz, bo dalibóg, jak cię zobaczy w tym stanie, to się przelęknie. Gdzież kochanek może mieć tak rozczochraną łysinę i takie czerwone oczy?...

Poszedłem, a on stał na warcie z da-

leka na dziedzińcu, i widziałem, jak się niecierpliwił, depcząc młode kaczęta, które właśnie tą ścieżką zdążały przed oficynę na śniadanie.

Laura wyglądała nie lepiej od niego, znać było, że także nie spała, a sine prążki pod oczami dowodziły, że nie obeszło się i bez płaczu.

— Domyślam się poselstwa! — rzecze z smutnym uśmiechem, podając mi krzesło.

— Tem lepiej — rzeknę bo się obejdzie bez oracyi. Więc jakże się decydujesz Lauro? Z mojej strony to tylko mogę powiedzieć, że jest moim serdecznym przyjacielem, że to człowiek z najlepszem sercem, najuczciwszy.... najszlachetniejszy....

— Wiem to wszystko, i dlatego właśnie zdecydował się zrobić ofiarę dla mnie....

— Któż tu mówi o ofiarze! — przerywam, biorąc ją za rękę

— Sam mi to wyznał....

— Bo nie umiał inaczej. Co mi to za ofiara, kiedy się ma otrzymać tę śliczną rączkę takiej jak ty osoby.... Ależ on zakochany jak dzieciak.... Daję ci słowo, nie widziałem więcej rozgorączkowanego, więcej zrozpaczonego kochanka. Powiedział mi wczoraj,

że jeżeli odmówisz, palnie sobie w łeb, tu zaraz pod twojem oknem....

Groźba ta, przed którą, jak wiadomo, zawsze bardzo łatwo uginają się kobiety, żeby nie mieć na sumieniu czyjej bądź śmierci — oddziałała skutecznie na Laurę. Spuściła oczy, umilkła, a pierś pod uderzeniami serca falowała zanadto żywo, żebym tego nie spostrzegł.

— Więc jakże mi radzisz Ksawery? — rzecze, biorąc mię za obie ręce i patrząc łagodnie w oczy.

— Nie przyszedłbym tutaj, gdybym miał zamiar odradzać. Moja droga więcej tu idzie o twoje serce...

Złapałem ją, i mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że nacieszyłem się w duszy jej zachwycającem pomięszaniem. To bladła, to płonęła szkarłatem, a ja wciąż powtarzam swoje:

— Serca się radź własnego Lauro, nic tylko serca...

— Ksawery! — zawoła nagle, puszczając moje ręce — czego mi tak dokuczasz! Niech przyjdzie!

Otworzyłem okno, i skinąłem ręką na Alojzego. Nigdy sarna, goniona w lesie przez ogary, nie daje takich skoków, jakiemi w tej

chwili pędził Alojzy do ganku. Zdawało mi się, że dał tylko dwa susy przez dziedziniec a już był w pokoju i klęczał u nóg Laury....

— Przedewszystkiem — mówi Laura, prowadząc go do łóżek, gdzie spali obaj chłopcy — musisz być ich ojcem, ale to ojcem prawdziwym, kochającym ojcem.

Za całą odpowiedź Alojzy pochwycił jednego i drugiego na ręce, ot tak rozespanych, i przyciskając ich do siebie, tańcował po pokoju....

— Jakżeż tak można — rzecze mu łagodnie matka, odbierając przestraszone dzieci — jeszcze się zlękną...

Wyszedłem, bo rzeczywiście nie byłem już potrzebny, a znalazłszy się w sali jadalnej na śniadanie, oświadczyłem, że Laura jest chorą, i dziś wcale nie wyjdzie.

— Takieście ją panie zmartwiły wczoraj, że biedaczka dostała migreny.

— Wyleczy ją pan Alojzy, wyleczy! — odzywa się na to panna Aniela.

— Powinien — odpowiadam na to — chociaż nie kończył medycyny jak doktor O., zdaje mi się, domowy lekarz pana konsyliarza.

Umilkła, i widziałem, że całe towarzystwo straciło humor, jakby w przeczuciu,

że powszechna służba Alojzego dla nich już się skończyła.

Cały dzień nie pokazała się Laura, i uskarżała się przed odwiedzającemi ją paniami na ból głowy. Za to Alojzy był w wyśmienitym humorze, co właśnie zbiło z tropu wszystkich, żeby jakieś bliższe stosunki istniały między nimi.

Położyłem się spać o dziesiątej, i nie wiem jak długo spałem, gdy budzi mię gwałtowne dobijanie sie do drzwi

— Ksawerciu, serce ty moje! — woła ciotka — otwórz!

Zrywam się, i ledwie zdążyłem odsunąć zasuwkę, gdy szanowna dama z kucharką Ignacową wpadają jak bomby do skarbca....

— Ksawery — mówi urywanym głosem, chwytając mię za rękę — słyszysz, hrabina.... fortepian....

Nie mogę zrozumieć, co one chcą odemnie, ale rzeczywiście dochodzi mnie lekkie bębnienie na klawicymbale w sąsiedniej sali....

— Chodzi ktoś po tarasie.... wyraźnie chodzi po kamieniach.... Ksawery.... zmiłuj się.... biskup....

— Trzeba zobaczyć — mówię, zapalając świecę i puszczam się przez pokój ciotki ku tarasowi.

Dygotając ze strachu, idą z daleka za mną obie kobiety, a gdym stanął cichutko przy drzwiach, głos fortepianu już przycichł, ale za to wyraźnie mogę rozróżnić stukanie butami po kamiennej posadzce.... Co to jest, myślę, a jakkolwiek i mnie pewien strach przejmuje, otwieram drzwi i wchodzę ze świecą na taras. Pusto, ciemno i nie ma nikogo! — Przechodzę tu i tam, zaglądam w krzaki jaśminu wyglądające przez balustradę — nigdzie nic.

Tymczasem z przeciwnej strony tarasu dolatują trwożliwe pytania panny Anieli:

— Czy to pan, panie Ksawery?

— Ja....

— Ach mój panie, słyszałeś pan — mówi przededrzwiami płaczliwym głosem — hrabina grała w sali.... Ach. ja się boję....

Na ten głos odważyły się wejść i ciotka z Ignacową, a że zrobił się pewien hałas we dworze, więc i panna Aniela i pani Wiktorya otwierają swoje okna, pytając, co się stało? Wytacza się cała sprawa o hrabinie, ta mówi to, ta mówi to, a ciotka powołuje się na mnie, żem słyszał, jak ktoś chodził po tarasie.... Nastaje prawdziwa trwoga w całej części domu. Nie chcą mię puścić od siebie, lecz zgromadziwszy się razem w mie-

szkaniu adwokatowej aż dygotają ze strachu. Co tu robić!

Idę do Alojzego, on spi jak zabity, a drzwi od sali do tarasu zamknięte. Więc rada w radę, decydują się wszystkie spać w dwóch pokoikach u adwokatowej a mnie każą zająć naprzód wysunięty posterunek w pokoju panny Anieli. Znoszą się tedy materace, wszystko to roztasowuje się na podłodze jakby gdzieś w karczmie na popasie, i panie i sługi mieszczą się pokotem. Pokazuje się tedy, że strach jest najlepszym niwelatorem stanów.

Uciszyło się jakoś, jednak ciotka nie dowierza i razem ze mną czatuje przy drzwiach od tarasu, czy się spacer biskupów nie powtórzy. I niedługośmy czekali, bo może w pół godziny najwyraźniej po kamykach puk, puk, i to niedaleko od naszych drzwi, jakby ktoś chodził. Przyznaję, że i mnie ciarki przeszły po skórze, ale biorę na odwagę i znowu wybiegam ze świecą i znowu nie ma nikogo — cisza, a wszystkie drzwi wiodące na taras, zamknięte. Co będzie, to będzie, myślę sobie, trzeba się przekonać. Kładę więc cieplejsze ubranie, zapalam fajkę i sadowię się na ławeczce — przyjemna pozycya, nieprawdaż? Ma się rozumieć, że strach miał tyle rozumu i więcej się nie pokazał, a gdy na wscho-

dniej stronie nieba świtać poczęło, niewiadomo kiedy i jak wypadła mi fajeczka z ręki i usnąłem na dobre.

— Ksawery! — woła nademną żona — te panie chcą dzisiaj jechać do Lwowa!

Rzeczywiście, strach nocny taki sprawił popłoch między niemi, że wszystkie jak jedna powtarzają: jechać, tylko jechać!

Ha, skoro jechać i skoro nasze prośby i perswazye na nic się nie zdały, a moje panie jak żony wojskowych pakują się pospiesznie — zatem, pozbierawszy jakie tylko miałem konie i ekwipaże, sam odprowadzam je gromadą do stacyi kolejowej, ładuję do wagonu i już z sercem nieco lżejszem powracam nad wieczorem. Nie może mi jednak wyjść z głowy to chodzenie po tarasie, bo jakkolwiek nie bardzo wierzę w strachy, jednak coś było w tem, co na własne uszy słyszałem.....

Dojeżdżam już do dworu, gdy z daleka na drodze widzę idącą naprzeciw mnie gromadkę. Zona z Laurą pod rękę, Jarotkowa za niemi, a trzymając obu chłopców za ręce, postępuje z boku pan Alojzy. Oczywiście nastąpiła już zmiana przymierzy i zmiana humoru; wszyscy jak najweselej usposobieni śmieją się, rozmawiają głośno i nie wi-

dać wcale, aby nocne zdarzenia wywarły na nich jakiebądź przygnębienie.

— Znalazł się strach! — woła już z daleka Hortensya, powiewając chustką.

— No, co? — zapytuję ciekawie, zeskakując z bryczki.

— Wystaw sobie, to nasza Burusia kotka, ktoś jej na nogi poobsadzał łupiny z włoskiego orzecha i ona biedaczka tak pukała po kamieniach.

— Barbarzyniec! — mruczy Jarotkowa, poprawiając okulary — gdzie tu serce tak męczyć moją kocinę... Żebym wiedziała, kto to taki, powiedziałabym mu takie słowa prawdy, żeby popamiętał....

— Żywicą miała przyczepione stopy — dodaje żona — musieliśmy aż gorącą wodą parzyć.

— To niezawodnie Ignacowa, kucharka ciotki Prudencyi.... Z oczu jej widać, że to jest zła kobieta...

Spojrzałem na Alojzego i myślę sobie: oj bratku, bardzo masz podejrzaną minę, ale już nic nie mówię, choć on wstrzymuje się tylko od śmiechu, kontent, że mu się sztuka udała.

Po kolacyi, gdy pierwszy raz od trzech tygodni znalazłem się w swoim pokoju i ode-

tchnąłem pełną piersią, żona powiada do mnie:

— Ksawery, odkądże to zaczynasz mieć sekrety przedemną? Swatałeś Alojzego a mnie ani słowa o tem?...

— Moja kochana, prosili o tajemnicę, żeby nikomu nie wspominać....

— Ty wiesz bardzo dobrze, że żona w każdym razie należy do wyjątków. Poczekaj, zacznę i ja mieć swoje sekrety przed tobą, a nie wiem, czy będziesz z tego kontent.... Naprzykład wiem, kto Burusię ubrał w te orzechy, i nie powiem.

— Wielka tajemnica — Alojzy!

— Alojzy! mówi zdziwiona. — Nigdybym się nie spodziewała tego!

— Sądziłem, że wiesz....

— Żebym wiedziała, tobym cię nie zagadywała w ten sposób.... przecież od was prostą drogą niczego się nie dowiemy.... No proszę, Alojzy, i cóż on miał w tem za interes?

— Prosta rzecz, chciał się pozbyć niepotrzebnych świadków, kiedy będzie gruchał do Laury. Ja myślę, że i ty nie bardzo się gniewasz na niego, bo co do mnie już tych gości miałem póty — kończę, pokazując ręką na szyję.

— Ej filucie, filucie, ktoby ci wierzył.... Wy wszyscy tacy jesteście; przed żonami udajecie świętoszków, a niech się tylko jaki buziak pojawi, zaraz w attencye i nadskakiwania. Nie bój się, widziałam ja, coś ty wyrabiał z panną Wiktoryą!

Nie było sposobu wytłómaczyć zazdrośnej żonie, że pani Wiktorya nic a nic mnie nie obchodzi.

— A jeździłeś z nią do miasteczka? Ja cię znam Ksawerku, gdyby tak mnie się zachciało, z pewnością nie zrobiłbyś takiego poświęcenia.... oj nie!

Oto macie czytelnicy historyę najazdu pierwszego i ostatniego na Małe Długi. Wieść o strachach we dworze tak się rozniosła wkrótce po całej okolicy a nawet i w samym Lwowie, że gdybym teraz na klęczkach prosił piękne panie o przyjęcie naszej gościny — tylko sobie zatykają uszy z przestrachem, powtarzając:

— Nie, nie, nie, za nic w świecie!

Koniec.